



znaki CZASU

KWARTALNIK
RELIGIJO
SPOŁECZNY

80P.8571



znaki czasu

KWARTALNIK
RELIGIJO
SPOŁECZNY

C 26188

5/1 - 1987

znaki
CZASU KWARTALNIK
RELIGIJNO
SPOŁECZNY

CENTRE DU DIALOGUE
MONTMORENCY

**Redakcja: Andrzej MICEWSKI (redaktor naczelny;
adres: Dietrichgasse 51/18; 1030 Wiedeń)
Ks. Zenon MODZELEWSKI SAC (Paryż)
Danuta SZUMSKA (Paryż)
Ks. Stanisław TUREK ZP (Rzym)**

Opracowanie graficzne: Ks. Witold URBANOWICZ SAC

Administracja: Ks. Tadeusz PUTON SAC

Editeur: Association Centre du Dialogue — Montmorency

**Adres redakcji i administracji: 25, rue Surcouf, 75007 Paris,
tel.: 45.51.42.85 oraz 45.55.81.03**

WARUNKI PRENUMERATY

Prenumerata roczna

poczta zwykłą FF 200 (US \$ 30)

poczta lotniczą FF 260 (US \$ 37)

Cena pojedynczego egzemplarza FF 55 (US \$ 8)

Ks. Bp Władysław Miziołek

W OCZEKIWANIU NA II KRAJOWY KONGRES EUCHARYSTYCZNY W POLSCE

Poważnym wydarzeniem religijnym w Polsce ma być II Krajowy Kongres Eucharystyczny, zaplanowany na pierwszą połowę czerwca 1987 roku. Znaczenie tej uroczystości podnosi fakt, że na Kongres ma przybyć z trzecią pielgrzymką do rodzinnego kraju Ojciec Święty Jan Paweł II.

Kongresy eucharystyczne mają na celu pogłębienie i uczczenie największej tajemnicy wiary, jaką jest Eucharystia, ukazując przede wszystkim jej związek z życiem ludzkim. Eucharystia w swojej potrojnej funkcji: ofiary Mszy świętej, Komunii świętej i trwałej obecności Chrystusa pod postaciami sakramentalnymi, stanowi także centrum życia liturgicznego i religijnego chrześcijan. Kongresy eucharystyczne starają się ożywić i umocnić wiarę w Eucharystię, ożywić jej cześć poprzez referaty, wykłady, seminaria, dyskusje oraz przez różne rodzaje nabożeństw, których punktem kulminacyjnym jest Msza święta i procesja eucharystyczna. Rozróżniamy kongresy międzynarodowe, czyli ogólnokościelne, krajowe i diecezjalne. Kongresami ogólnokościelnymi kieruje stały Komitet Międzynarodowych Kongresów Eucharystycznych, urzędujący w Rzymie; kongresy krajowe organizuje episkopat danego kraju, dostosowując tematykę i program kongresu do potrzeb krajowych.

Historia

Kongresy eucharystyczne mają już ponad stuletnią historię. Narodziły się one najpierw we Francji w drugiej połowie XIX wieku z troski o ożywienie kultu eucharystycznego. Pierwszy tego rodzaju kongres odbył się w Lille w dniach 28—30 czerwca 1881 roku i zgromadził około ośmiu tysięcy wiernych.

Ówczesny papież Leon XIII poparł ideę kongresów eucharystycznych i zachęcił do dalszego ich urządzania. Na kongresie w Jerozolimie w 1893 roku po raz pierwszy wziął udział legat papieski, a w kongresie w Rzymie w 1905 roku uczestniczył sam Ojciec Święty Pius X. W naszych już czasach Paweł VI przybył na kongres w Bombaju (1964 rok), a Jan Paweł II brał udział w międzynarodowych kongresach w Lourdes (1981 rok) oraz w Nairobi (1985 rok). Początkowo kongresy odbywały się co rok, w okresie międzywojennym — co dwa lata, po drugiej wojnie światowej — co cztery lub pięć lat. Dotychczas odbyły się 43 kongresy międzynarodowe.

Z biegiem lat program poszczególnych kongresów ulegał wzbogaceniu i był wyrażany poprzez konkretne hasło. Po drugiej wojnie światowej, wraz ze wzrostem zainteresowania sprawami społecznymi, również i tematyka kongresów eucharystycznych została skierowana na aktualne problemy Kościoła i świata. Tak na przykład kongres w Monachium w 1960 roku obradował pod hasłem „Eucharystia braterską ucztą miłości”. Nawiązał on w aspektach pokutnych do zbrodni hitlerowskich i wysunął element ekumeniczny. Kongres w Bombaju w 1964 roku podjął hasło: „Nowy człowiek przez Eucharystię”, poszukując dróg odnowy współczesnego człowieka. Kongresy w Bogocie w 1968 roku i w Melbourne w 1973 zwróciły uwagę na konieczność podjęcia przez Kościół aktualnych spraw społecznych. Również problematyką społeczną zajął się kongres w Filadelfii w 1976 roku zwołany z okazji 200-lecia istnienia Stanów Zjednoczonych Ameryki. Hasło tego kongresu: „Eucharystia i głód w rodzinie ludzkiej” ukazywało wieloraką postać głodu współczesnego człowieka: głód chleba i Boga, głód wolności, sprawiedliwości, głód prawdy i wzajemnego zrozumienia. Kongres w Lourdes w 1981 roku pod hasłem: „Jezus Chrystus chlebem dla nowego świata” ukazywał rolę Eucharystii kształtującej Kościół, budzącej wiarę, rozwijającej miłość ewangeliczną wśród ludzi, prowadzącej do źródła nadziei w zjednoczeniu z Chrystusem. Wreszcie ostatni międzynarodowy kongres eucharystyczny w Nairobi, stolicy Kenii, w 1985 roku odbywał się pod hasłem: „Eucharystia a rodzina chrześcijańska”, rozważając palącą dziś problematykę rodziny.

Udział Polaków w międzynarodowych kongresach eucharystycznych zaznaczył się po raz pierwszy na kongresie w Wiedniu w 1912 roku. Polacy utworzyli tam odrębną sekcję, obradującą w kościele św. Michała. W przemówieniach kongresowych nawiązywano do odsieczy wiedeńskiej króla Jana Sobieskiego w 1683 roku i do zaślub Polaków.

W okresie międzywojennym na kongresy eucharystyczne udawały się pielgrzymki z Polski. Jedna z nich w powrotnej drodze z międzynarodowego kongresu w Kartaginie w 1930 roku zatrzymała się w Rzymie. Na audiencji u Ojca Świętego Piusa XI, ówczesny

Prymas kardynał August Hlond przyrzekł Ojcu Świętemu zorganizowanie międzynarodowego kongresu eucharystycznego w Polsce. Przyrzeczenie to dotychczas nie zostało spełnione.

Natomiast w dniach od 26 do 29 czerwca 1930 roku odbył się w Poznaniu I Krajowy Kongres Eucharystyczny. Na uroczystości kongresowe przybyły do Poznania dziesiątki tysięcy pielgrzymów z kraju i zza granicy. Obrady plenarne odbywały się w „Wielkiej Rotundzie” na terenie Targów Poznańskich, ponadto w różnych kościołach Poznania obradowało 16 sekcji: kapłańska, zakonna, misyjna, charytatywna, pedagogiczna, młodzieży męskiej, młodzieży żeńskiej, akademicka, inteligencji, piśmiennictwa i prasy, tercjarska, apostołstwa modlitwy, unijna, kobiet, emigrantów, akcji katolickiej. Prelekcje głosili duchowni i świeccy, wybrani spośród najbardziej znanych intelektualistów ówczesnych czasów.

Nie tylko w Poznaniu, ale w całej Archidiecezji Poznańskiej i Gnieźnieńskiej odbywały się w dniach Kongresu specjalne nabożeństwa eucharystyczne, dla których Księgarnia św. Wojciecha wydała osobną książeczkę pt. „Triduum Eucharystyczne”. Nabożeństwa prowadziły do zjednoczenia się z Chrystusem w Komunii świętej.

Podobnie jak w kongresach międzynarodowych do drugiej wojny światowej, punktem szczytowym i zarazem kończącym Kongres była procesja eucharystyczna, która prowadziła trasą pięciokilometrową z katedry na stadion sportowy w pobliżu kościoła Bożego Ciała. Według ogólnych obliczeń w procesji wzięło udział około 250 tysięcy wiernych, duchowieństwo diecezjalne i zakonne, siostry zakonne, prawie wszyscy biskupi wraz z nuncjuszem arcybiskupem Franciszkiem Marmaggi, który był mianowany legatem papieskim na Kongres. Na stadionie została odprawiona Msza święta pod przewodnictwem księcia Adama Sapiehy, metropolity krakowskiego; słowo Boże głosił biskup Leon Wetmański z Płocka.

Według oświadczenia kardynała A. Hlonda celem Kongresu było: narodowe wyznanie wiary, oddanie chwały Chrystusowi eucharystycznemu, pogłębienie życia religijnego, doprowadzenie jednostek, organizacji katolickich i narodu do źródła życia nadprzyrodzonego, do pełni chrześcijaństwa i do apostołstwa. Zdaniem Kardynała Prymasa Krajowy Kongres w Poznaniu był największym wydarzeniem religijnym w Polsce odrodzonej.

Duszpasterskie założenia II Krajowego Kongresu Eucharystycznego

II Krajowy Kongres Eucharystyczny ma przede wszystkim charakter duszpasterski. Należy to rozumieć w podwójnym znaczeniu. Po pierwsze: Kongres ma się odbywać w Warszawie, ale udział w jego przygotowaniu i przebiegu bierze cała Polska. Program przygotowania duchowieństwa i wiernych do Kongresu zatwierdziła Konferencja

Episkopatu i realizuje się go we wszystkich diecezjach. Gdy Ojciec Święty Jan Paweł II przybędzie na Kongres i odwiedzi kilka diecezji, program jego pobytu przebiegał będzie w łączności z programem Kongresu.

Ponadto duszpasterski charakter Kongresu sięga poza czas jego przebiegu w określonym, tygodniowym terminie. Jego duszpasterskie założenia wprowadzane są w czyn już w okresie przygotowania, jak również mają stać się przedmiotem rozważań i pogłębiania w ogólnokrajowym programie duszpasterskim w latach następnych. Przypomnijmy, że w Polsce programy duszpasterskie są opracowywane dla całego kraju i po przyjęciu przez Konferencję Episkopatu realizowane we wszystkich diecezjach.

Hasło, pod którym odbywać się będzie Kongres, stanowią słowa z Ewangelii św. Jana: „Do końca ich umiłował” (13, 1). W słowach tych wyraża ewangelista postawę Chrystusa Pana w kontekście Ostatniej Wieczerzy i Jego śmierci. „Do końca” oznacza: aż do ostatniej chwili swego życia, aż do całkowitego oddania siebie w Wieczerniku i na Golgocie. A jeśli słowa te rzutują w pierwszym rzędzie na mękę i śmierć Zbawiciela, to Eucharystia jest z nią jak najściślej związana: jest śmierci Chrystusowej stałą „pamiętką”, ustawicznym odtwarzaniem i uobecnianiem w sposób sakramentalny.

Hasło kongresowe ma wskazywać w teologicznych rozważaniach i w duszpasterskiej działalności na kilka dziedzin życia religijnego.¹

Najpierw ma pogłębić zrozumienie Eucharystii i cześć oddawaną Chrystusowi Panu w tym sakramencie

Eucharystia stała od początku i stoi zawsze pośrodku życia chrześcijan, ich kultu i działań duszpasterskich, dlatego stosunek do niej decyduje o poziomie wiary i życia chrześcijańskiego.

W zrozumieniu i czci Eucharystii musi tkwić świadomość obecności Boga, Jego bliskości. Mówimy często o „tajemnicy” (misterium) Eucharystii i świadomość tego elementu nie może być przytłumiona czy w ogóle zaniknąć w osobistej czci i w publicznym kulcie tego sakramentu. Pierwsi chrześcijanie przychodzili na swoje zgromadzenia liturgiczne, by podczas ofiary eucharystycznej spotkać się ze zmartwychwstałym Chrystusem. Dzisiejszy człowiek zwrócony do świata przyrody i materii, nastawiony na opanowanie go narzędziami techniki, zatracił w pewnej mierze zdolność do odczuwania niewidzialnej obecności Bożej. Ponadto dzisiejsze dążenia do uproszczenia liturgii, do uczynienia jej jak najbardziej zrozumiałą, doprowadziły w wielu wypadkach do jej spłylenia, zracjonalizowania i przegadania. W liturgii i w osobistej czci Eucharystii musi być miejsce na *sacrum*, na odkrycie i spotkanie się z wiecznością.

Ta bliskość Chrystusa w Eucharystii jest zarazem „pamiętką”

Jego męki i zmartwychwstania: *Ile kroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie. Dlatego też, kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej* (1 Kor 11, 26 nn). Pamiątka (greckie *anamnesis*) w znaczeniu biblijnym nie oznacza wyłącznie myślowego czy słownego wspomnienia przeszłości; jest to uobecnienie zbawczego wydarzenia, dokonanego raz jeden w historii, ale aktualizowanego w teraźniejszości, ukazującego i teraz całe swoje znaczenie i moc zbawczą.

Świadomość obecności Chrystusa w Eucharystii i uobecnianie stale przez nią Jego śmierci i zmartwychwstania wskazuje na to, że jesteśmy w promieniach Bożej miłości, podtrzymującej nas i wyzwalającej od zła. W ten sposób Eucharystia ukazuje godność człowieka, do którego zbliża się Bóg ze swoją miłością, jak również dodaje mu odwagi, nadziei i mocy nadprzyrodzonych.

Kongres eucharystyczny poprzez zbliżenie do Chrystusa ma prowadzić do osobistej świętości człowieka

Świętość, czyli moralna doskonałość człowieka, jest ideałem, do którego w kształtowaniu życia ludzkiego zmierza Kościół w oparciu o słowo Boże. Jak przypomniał Jan Paweł II w *Liście do Młodych Catego Świata* z 31 marca 1985 roku, poziom wartości moralnych jest podstawą istotnej wielkości człowieka, jego prawdziwie ludzkiej godności, najważniejszym wymiarem doczesności i historii. Historia bowiem życia ludzkiego pisana jest nie tylko „od zewnątrz” wydarzeniami, w które włączone jest nasze życie, lecz przede wszystkim pisana „od wewnątrz”, moralnymi wartościami człowieka.

Dążenie do doskonałości moralnej w ujęciu chrześcijańskim wymaga od człowieka:

- wyzwolenia się od panowania w nim grzechu i zła;
- zachowania Bożych przykazań; jak zaznaczył Chrystus Pan: *kto ma przykazania moje i zachowuje je, ten Mnie miłuje* (J 14, 21);
- rozwijania w sobie miłości Boga i bliźniego, polegającej na stałym wysiłku dążenia do dobra, nawet za cenę poświęcenia i ofiary;
- pokonywania swojego „ja”, swojej miłości własnej, by tę miłość oczyszczoną z szukania siebie skierować ku Bogu i bliźniemu.

Jesienią 1985 roku obradował w Rzymie Nadzwyczajny Synod Biskupów zwołany w dwudziestą rocznicę zakończenia Soboru Watykańskiego Drugiego dla omówienia i oceny stanu wprowadzenia nauki soborowej w życie Kościoła. Właśnie w powszechnym powołaniu do świętości widzi ten Synod podstawowe zadanie wskazane przez Sobór.

Współczesna cywilizacja skierowała całą uwagę i wszystkie wysiłki na zewnątrz człowieka, na poznanie i opanowanie świata

maturalnego i na wytworzenie jak najwygodniejszych materialnych warunków egzystencji ludzkiej. Jest to jeden z największych błędów, a może nawet najważniejszy, za co płaci się dziś zagrożeniem samego bytu ludzkiego. Uznając potrzebę i pożytek działań zmierzających do polepszenia ekonomicznego bytu jednostek i społeczeństw, należy zakwestionować ustawienie ich na pierwszym miejscu oraz ich wyłączność. Ztraca się przez to właściwą hierarchię wartości w życiu ludzkim: człowiek przed rzeczą, etyka przed techniką, „być” przed „posiadać”. Zbliżenie się do Boga przyczynia się zawsze do podniesienia godności człowieka, stanowi źródło sił duchowych do pokonania zła i rozwoju dobra, pozwala dojrzeć u siebie egoizm, opanowywać go i umacniać miłość Boga oraz bliźniego. Eucharystia jako spotkanie i zjednoczenie z Chrystusem staje się w ten sposób podstawą duchowego rozwoju i dojrzewania.

Osobista świętość człowieka jest także źródłem ładu moralnego w społeczeństwie i narodzie

Na budowanie tego ładu i jedności narodu poprzez Eucharystię chce wskazać Kongres eucharystyczny. Mówimy o narodzie, bo w obecnych, powojennych granicach olbrzymia większość obywateli przyznaje się do Kościoła katolickiego.

Na temat odnowy moralnej narodu wypowiadał się kilkakrotnie Jan Paweł II podczas swej drugiej pielgrzymki do kraju w 1983 roku. W homilii wygłoszonej w Warszawie (17.06.1983) na temat trzechsetnej rocznicy zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem nawiązał do czasów obecnych:

Człowiek jest powołany do odnoszenia zwycięstwa w Jezusie Chrystusie. Jest to zwycięstwo nad grzechem, nad „starym człowiekiem”, który tkwi głęboko w każdym z nas... Mocą Boga, która za sprawą Jezusa Chrystusa działa w nas przez Ducha Świętego, człowiek powołany jest do zwycięstwa nad sobą. Do zwycięstwa nad tym, co krępuje naszą wolną wolę i czyni ją poddaną złu. Zwycięstwo takie oznacza życie w prawdzie, prawości sumienia, miłość bliźniego, zdolność przebaczenia, rozwój duchowy naszego społeczeństwa... Zwycięstwo takie jest nieodłączne od trudu, a nawet cierpienia tak, jak zmartwychwstanie Chrystusa jest nieodłączne od krzyża.

Przechodząc następnie do sytuacji narodu, Papież mówił:

Naród nade wszystko musi żyć o własnych siłach i rozwijać się o własnych siłach. Sam musi odnosić to zwycięstwo, które Opatrzność Boża zadaje mu na tym etapie dziejów. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, że nie chodzi o zwycięstwo militarne, jak przed trzystu laty, ale o zwycięstwo natury moralnej. To ono właśnie stanowi istotę wielokrotnie proklamowanej odnowy. Chodzi tu o dojrzały ład życia narodowego i państwowego, w którym będą respektowane podstawowe prawa czło-

wieka. Tylko zwycięstwo moralne może wyprowadzić społeczeństwo z rozbicia i przywrócić mu jedność...

Do tego tematu powrócił Ojciec Święty w homiliach na Jasnej Górze. Przemówienie do młodzieży i dnia następnego na temat wolności narodu podsumował mocnymi słowami:

Naród jest przede wszystkim bogaty ludźmi. Bogaty człowiekiem. Bogaty młodzieżą! Bogaty każdym, który czuwa w imię prawdy, ona bowiem nadaje kształt miłości...

Naród ginie, gdy znieprawia swojego ducha — naród rośnie, gdy duch jego coraz bardziej się oczyszcza; tego żadne siły zewnętrzne nie zdołają zniszczyć.²

Budowanie ładu moralnego w społeczeństwie i narodzie przez osobistą świętość ludzi opiera się głównie na przykazaniu miłości bliźniego oraz na łączności z Chrystusem eucharystycznym.

Odpowiedź miłości, jaką ma dać człowiek Chrystusowi na Jego miłość, nie może ograniczać się do samego Chrystusa, lecz musi rozciągać się także na ludzi. Chrystus Pan w wielu wypowiedziach ewangelicznych utożsamia siebie z najbardziej potrzebującymi: *Coście uczynili jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili* (Mt 25, 40), w opisie zaś sądu ostatecznego uważa ustosunkowanie się człowieka względem potrzebujących i opuszczonych za stosunek do siebie samego (por. Mt 25, 31-46). Łączność miłości Boga i bliźniego stwierdza wyraźnie św. Jan Ewangelista: *Kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi* (1 J 4, 20).

Dążąc więc do osobistej świętości, człowiek nie może pozostać obojętnym wobec drugich, na ich potrzeby, na krzywdę i niesprawiedliwość, na zło, jakie w różnej formie wciska się w życie społeczne. Przenikająca nas w spotkaniu z Chrystusem Jego miłość i nasza miłość, jaką odpowiadamy Chrystusowi, buduje również „komunię” z ludźmi. Eucharystia w Komunii świętej ma nie tylko znaczenie chrystologiczne — spotkania z Chrystusem, ale i społeczne — spotkania i zjednoczenia się wszystkich, którzy jednoczą się w Chrystusie. Na tym fundamencie można budować między ludźmi więź wspólnotową, włączając w nią rozmaite elementy ludzkie i przyrodzone.

Szczególnym rodzajem społecznej miłości jest działalność charytatywna — wyraz chrześcijańskiej „caritas” wobec potrzebujących pomocy, chorych, opuszczonych, zaniedbanych. Do niej również pragnie nawiązać Kongres Eucharystyczny.

Jedną z plag dzisiejszego życia jest samotność człowieka. Człowiek dzisiejszy zwrócony jest do świata i pochłonięty pracą, działaniem. Liczy się przede wszystkim produkcja i ceniony jest człowiek w wieku produkcyjnym. Natomiast ludzie chorzy, niepełnosprawni, emeryci, starzy — usunięci są jako niepotrzebni na margines życia społecznego. Nieraz tym osobom nie tyle potrzebny jest pieniądz, ile ludzka życzliwość i pomoc. Pojawiający się coraz częściej na łamach

czasopism wyraz „eutanzja” i dyskusje nad „śmiercią na życzenie” wskazują na powagę problemu i na odpowiedź, jaką dzisiejszy świat techniki i laicyzacji zdolny jest dać na problem samotności i zmęczenia życiem.

Ponadto w naszych warunkach — częściowo na skutek panującego systemu, a częściowo poprzez lata pomocy żywnościowej i odzieżowej nadsyłanej zza granicy — ludzie nauczyli się brać, a nie dawać. Zmalała świadomość obowiązku dzielenia się z potrzebującymi i przychodzenia z pomocą bratu, będącemu w nieszczęściu czy potrzebie.

Kongres pragnie pobudzić wiernych do działania w duchu chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia. Szczególne zadania będą tu miały parafialne zespoły charytatywne, które w związku z Kongresem powinny być odnowione czy powołane do życia w każdej parafii i zajmą się organizowaniem pracy dobroczynnej. Jeżeli w roku Kongresu Eucharystycznego uda się uaktywnić w Kościele w Polsce, w szerszym wymiarze, zasoby miłości Boga i bliźniego, będzie to oznaczało promocję narodu na drodze moralnego odrodzenia.

Miejsce Eucharystii w całości życia i działalności Kościoła

Znaczenie Kongresu i związanych z nim działań duszpasterskich uprzytomnią nam bardziej poniższe rozważania o miejscu Eucharystii w życiu Kościoła.

Eucharystia stała zawsze pośrodku życia i kultu chrześcijan. O pierwszej gminie chrześcijańskiej w Jerozolimie czytamy w *Dziejach Apostolskich*, że *trwali oni w nauce Apostołów i w wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwie* (2, 42). Jako zasadnicze czynniki, kształtujące życie tej gminy, wymienia zatem św. Łukasz *naukę Apostołów, miłość braterską i Eucharystię*.³

Teolog kościoła ewangelickiego Oskar Culmann stwierdza, że Eucharystia była od czasów apostoelskich zasadniczym składnikiem kultu chrześcijańskiego. Zebrania kultyczne pierwszych gmin chrześcijańskich obejmowały zawsze — obok czytania Pisma świętego i modlitw — czynność „łamania chleba”, a tylko w wypadku akcji misyjnej ograniczały się do samego głoszenia Ewangelii. Misyjny charakter pism nowotestamentalnych i życia pierwszych gmin chrześcijańskich tłumaczy w dużej mierze przewagę funkcji kerygmatycznej w księgach świętych.⁴

Sobór Watykański Drugi stwierdza, że *wszystkie sakramenty, tak jak wszystkie kościelne posługi i dzieła apostołstwa, wiążą się ze świętą Eucharystią i do niej zmierzają... Dlatego Eucharystia przedstawia się jako źródło i szczyt całej ewangelizacji*.⁵

Jeżeli zatem Eucharystia stoi w centrum życia i kultu chrześcijańskiego, jak ma się ukierunkować działalność duszpasterska Kościoła?

Przede wszystkim nie w tym znaczeniu, jakoby kult eucharystyczny, czy nieco szerzej: liturgia — miała zastąpić wszystkie inne zadania duszpasterskie. Odnosi się to szczególnie do ludzi stojących z dala od praktyk religijnych lub wręcz niewierzących, których trzeba najpierw pozyskać dla wiary. Samo sprawowanie liturgii nie sprowadzi tych ludzi z zewnątrz do Stołu Pańskiego; trzeba ich szukać najpierw tam, gdzie się znajdują, i przemówić do nich tak, aby zrozumieli zaproszenie i na nie przybyli. Bez wątplenia, celem, który w pracy Kościoła wobec tych ludzi przyświeca, jest doprowadzenie ich do Eucharystii, ale dokonuje się to na końcu działalności duszpasterskiej.

Natomiast dla wiernych, uczęszczających do kościoła i nie zaniebujących praktyk religijnych, Eucharystia ma być tym czynnikiem, który w zasadniczy sposób kształtuje ich życie chrześcijańskie. Jeżeli bowiem liturgia, a w stopniu najwyższym Eucharystia uobecnia rzeczywistość tajemnicę zbawienia Chrystusowego, w której wierni uczestniczą poprzez wiarę, nadzieję i miłość, to muszą oni z niej czerpać moc do wszystkich spraw swego życia. Wprawdzie i wtedy formacja liturgiczna i sprawowanie liturgii nie będzie jedynym zadaniem duszpasterstwa i życia religijnego, ale zasadniczym. Przez świadomy, czynny, osobowy udział w liturgii wierni zmiierzają do układania i rozwiązywania w jej świetle problemów swojego życia i swej śmierci.⁶

Jeśli zaś chodzi o miejsce Eucharystii w całości życia i działalności Kościoła, przypomnijmy, cośmy powiedzieli wyżej, że życie Kościoła urzeczywistnia i rozwija się w trzech dziedzinach: przepowiadania, kultu i posługi miłości. Odpowiadają temu trzy działy teologii pastoralnej: katecheza, liturgia, diakonia. Żaden z tych działań nie może istnieć sam bez niebezpieczeństwa skarlłowacenia i uwiądu; stanowią one w swojej odrębności ścisłą jedność.

Nie może być zatem w Kościele samej posługi eucharystycznej, czy szerzej mówiąc: samego kultu. Do tego starają się nieraz zacieśnić rolę Kościoła jego przeciwnicy. Nie może również kapłan katolicki, choć *jego posługa do Eucharystii zmierza i w niej znajduje swoją pełnię*,⁷ ograniczyć swego działania do Mszy św. i czynności kultycznych, bo to zacieśniałoby jego osobowość kapłańską i nie byłoby zgodne z nowotestamentalnym posłannictwem kapłana. Czasy, w których taka praktyka wchodziła w życie, jak na przykład w średniowieczu, okazywały się dla wiary zgubne, wywoływały sprzeciw wybitnych jednostek czy zakonów lub powodowały powstawanie herezji. Dziś podobne zacieśnienie czynności kapłańskich grozi w krajach, gdzie brak jest kapłanów na skutek małej ilości powołań.

Jeśli chodzi o Pismo święte Nowego Testamentu i o życie pierwszych gmin chrześcijańskich, co jest dla nas regułą i wzorem, to niewątpliwie w pierwszym okresie przeważało w działalności

Kościółta przepowiadanie Ewangelii. Dla św. Pawła jego powołanie apostołskie jest równoznaczne z zadaniem głoszenia Chrystusa i Jego zbawczego dzieła: *Wszystko pochodzi od Boga, który pojednał nas z sobą przez Chrystusa i zlecił nam postugę jednania.* [...] *Tak więc w imieniu Chrystusa spełniamy posłannictwo jakby Boga samego* [...] *W imię Chrystusa prosimy: jednajcie się z Bogiem* (2 Kor 5, 18-20). Nawet liturgiczną funkcję sprawowania Eucharystii nazywa Apostoł *Głoszeniem śmierci Pana* (1 Kor 11, 26) aż do powtórnego Jego przyjścia.

Obok przepowiadania ukazuje się w pismach Nowego Testamentu jako sprawa istotna w działaniu pierwszych gmin troska o jedność i miłość braterską. Na wzór Chrystusa, który samego siebie oddał dla zbawienia świata i dla Ojca Niebieskiego, przedstawiciele urzędów kościelnych mają poświęcać się postudze (diakonii) miłości i jedności *celem budowania Ciała Chrystusowego, aż dojdziemy wszyscy razem do jedności wiary i pełnego poznania Syna Bożego, do człowieka doskonałego.* [...] *Żyjąc prawdziwie w miłości, sprawimy, by wszystko rośło ku Temu, który jest Głową — ku Chrystusowi* (Ef 4, 12-15). Dzieje Apostolskie dają nam wiele dowodów postugi jedności i miłości, tak w powołaniu urzędów diakonów, jak w zwołaniu Soboru w Jerozolimie, czy w Pawłowej kolekcji na rzecz potrzebujących w macierzystej gminie jerozolimskiej.

Z powyższych rozważań wynika konieczność jedności wszystkich trzech podstawowych działań Kościoła, które w rezultacie mają zmierzać ku Eucharystii. Liturgia potrzebuje przepowiadania jako koniecznego budowania fundamentu wiary. Natomiast bez społecznych dzieł miłości i miłosierdzia Kościół zamknąłby się ze swoją liturgią we wnętrzu świątyń i nie otwierałby się na świat. Nie jest zatem dziełem przypadku, że od najstarszych czasów sprawowanie Eucharystii połączyło się z głoszeniem słowa Bożego i z procesją darów ofiarnych, zamienioną później na zbieranie ofiar na tacę na cele potrzeb Kościoła, także w dziedzinie charytatywnej. Nie trzeba wyjaśniać, że te formy przepowiadania i postugi miłości we Mszy świętej wymagają i są wezwaniem do ich poszerzenia, w katechizacji dzieci i młodzieży, w katechezie dorosłych, w przygotowaniu do sakramentów świętych w wysiłkach pozyskania dla wiary stojących z dala od Kościoła i niewierzących, jak również do szerokiego pola działalności charytatywno-społecznej stosownie do sytuacji i potrzeb wiernych.⁸

Eucharystia kształtuje Kościół

Centralne znaczenie Eucharystii w życiu Kościoła wynika z faktu, że ona w najdoskonalszy sposób tworzy i kształtuje Kościół. Wprawdzie i inne czynniki, jak głoszenie słowa Bożego, działalność

hierarchii, a przede wszystkim obecność i działanie Ducha Świętego sprawiają powstanie i jednocześnie się Kościoła, ale w sprawowaniu i działaniu Eucharystii najwyraźniej zaznacza się sama sakramentalna natura Kościoła.

Już św. Paweł Apostoł, napominając pierwszych chrześcijan co do należytego zachowania się na zebraniach eucharystycznych, stosuje argumentację, że wspólne spożywanie Ciała i Krwi Pańskiej tworzy wspólnotę mistycznego Ciała Chrystusowego, czyli Kościoła: *Czy kielich błogosławieństwa, nad którym wypowiedamy słowa błogosławieństwa, nie jest uczestnictwem we Krwi Chrystusowej? Czy chleb, który łamiemy, nie jest uczestnictwem w Ciele Chrystusowym? Ponieważ istnieje tylko jeden chleb, więc i my wszyscy tworzymy jedno ciało, bo wszyscy mamy udział w tym jednym chlebie* (1 Kor 10, 16 nn).

Sobór Watykański Drugi określił Kościół między innymi słowem *misterium*, to jest miejscem i narzędziem zbawczego planu i działania Bożego. Ponieważ zaś greckie słowo *mysterion* przetłumaczone zostało w Piśmie świętym także przez *sacramentum*, stąd Sobór mówi dalej, że *Kościół jest w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego*, jest powszechnym sakramentem zbawienia.⁹ W sakramentach odbija się najgłębsza istota Kościoła jako pra-sakramentu zbawienia: w Kościele bowiem ukazuje się obecność Boga udzielającego się ludzkości w osobie Jezusa Chrystusa i przynoszącego jej zbawienie. Podobnie jak sakramenty, Kościół posiada w swojej jedności podwójny charakter: jest ludzkim, materialnym, historycznym znakiem, a zarazem nosi w sobie łaskę zbawienia. Ta jedność zbawczej obecności Bożej, przejawiającej się w ziemskich, historycznych znakach, odnosi się nie tylko do istoty Kościoła, ale i do jego działania. Obdarowywanie łaską w Kościele i przez Kościół dokonuje się w sposób sakramentalny, odzwierciedlający naturę Kościoła. Dlatego sakramenty, a zwłaszcza Eucharystia, są najwyższym urzeczywistnianiem się Kościoła: Kościół je sprawuje, ale i one jednocześnie kształtują i ukazują w najdoskonalszy sposób Kościół jako narzędzie zbawienia. *Prawdą zasadniczą — mówi Jan Paweł II — nie tylko doktrynalną, ale równocześnie egzystencjalną, jest, że Eucharystia buduje Kościół, buduje jako autentyczną wspólnotę Ludu Bożego, jako zgromadzenie wiernych naznaczone tym samym znamieniem jedności, która była udziałem apostołów i pierwszych uczniów Pana. Eucharystia wciąż na nowo buduje tę wspólnotę i jedność. Zawsze zaś buduje ją i zawsze odradza na zbawczym zrzebie ofiary samego Chrystusa przez to, że odnawia Jego śmierć krzyżową, za cenę której nas odkupił.*¹⁰

Dziś, w okresie wzmożonego indywidualizmu i subiektywizmu oraz zapędzenia sprawami życia materialnego — eklezjologiczne, wspólnotowo-twórcze znaczenie Eucharystii uchodzi naszej uwagi.

Św. Paweł Apostoł, pisząc do Koryntian o sprawowaniu Eucharystii i związanych z nią agap, używa czterokrotnie w tym samym rozdziale wyłącznie czasownika „schodzić się”, „gromadzić się”. My przeszliśmy na indywidualistyczną nomenklaturę: „spełnić obowiązek czy nakaz wysłuchania niedzielnej Mszy świętej”, „uczestniczyć we Mszy świętej”, „być w kościele na Mszy świętej” itp. W czasach przedwojennych sprawowana była w niedzielę w parafiach, zwłaszcza wiejskich, tylko jedna Msza święta zwana „sumą”, ewentualnie druga wcześniejsza, nazywana „wotywą”. Wtedy wspólnotowy charakter niedzielnego zebrania wiernych bardziej rzucał się w oczy, co dziś przy licznych niedzielnych mszach świętych trudne jest do zauważenia. W każdym razie wspólnotowy charakter zgromadzeń liturgicznych powinien być zaznaczony, czemu może służyć i wprowadzenie do Mszy świętej, i wezwania modlitwy powszechnej przez uwzględnianie aktualnych potrzeb wspólnoty parafialnej, i homilia, i ogłoszenia parafialne.

Wspólnotowy charakter nabożeństw, zwłaszcza niedzielnej Mszy świętej, wymaga czynnego włączenia wszystkich wiernych w przebieg obrzędu i przygotowania do spełniania poszczególnych zadań podczas nabożeństwa.¹¹ Podział funkcji, włączenie wszystkich w żywy udział w poczuciu wspólnoty dokonuje się najłatwiej w mniejszych, jednorodnych grupach, jak na przykład w grupach ruchu „Światło i Życie”, w neokatechumenacie, w ruchu odnowy w Duchu Świętym, czy w parafialnej Mszy świętej dla dzieci. Jednakże i te grupy nie mogą pozostać same dla siebie, odizolowane od całości wspólnoty, raczej powinny stać się animatorami w niedzielnych i świątecznych nabożeństwach całej parafii.

Znaczenie niedzieli w religijnym życiu poszczególnych wiernych i wspólnot parafialnych

Mówiąc o Eucharystii, nie można pominąć niedzieli i niedzielnych zgromadzeń eucharystycznych.

Wprawdzie liturgia i Eucharystia zmierza do uświęcenia każdego poszczególnego człowieka, ale do uświęcenia jednostki w Kościele. Kościół zaś ze swej istoty i nazwy jest „zgromadzeniem”. Nowotestamentalne określenie *Ekklesia tou Theou* oznacza „zgromadzenie, zebranie Ludu Bożego”. Chrystus Pan w czasie swej publicznej działalności tworzył Kościół i dopiero, gdy z chwilą zesłania Ducha Świętego był on gotów, Apostołowie rozpoczynają głoszenie Ewangelii, udzielają Chrztu świętego, włączają do Kościoła i prowadzą ochrzczonych drogą chrześcijańskiego życia. Środki zbawienia: Ewangelia i sakramenty zostały przekazane Kościołowi, a cała zbawcza ekonomia Boża zmierza ku temu, *aby wszystko na nowo zjednoczyć w Chrystusie jako Głowie* (Ef 1, 10), *by rozproszone dzieci Boże groma-*

dzie w jedno (J 11, 52). Włączanie, wcielanie, zespalanie, zbieranie i gromadzenie są stałymi i istotnymi przejawami działalności Kościoła, tworzącymi wspólnotę z Bogiem i z braćmi. Dlatego i wspólne nabożeństwo chrześcijan jest urzeczywistnianiem, ujawnianiem się Kościoła.

Już w Liście do Hebrajczyków spotykamy się z napomnieniem: *Nie opuszczajmy naszych wspólnych zebrań, jak to się stało zwyczajem niektórych, ale zachęcajmy się nawzajem* (Hbr 10, 25). Zawiniona nieobecność na wspólnych modlitewnych zgromadzeniach jest — jak tłumaczy dalej autor Listu — początkiem odpadania od wiary, a zarazem zapowiedzią Bożego sądu i kary.

Księgi Nowego Testamentu i pisma wczesnochrześcijańskie mówią o zgromadzeniach chrześcijan „pierwszego dnia tygodnia”, to jest w niedzielę.¹² Namiestnik Bitynii Pliniusz Młodszy zawiadamia cesarza Trajana o chrześcijanach, że „mają zwyczaj w określonym dniu [...] gromadzić się, aby w śpiewach czcić swego Boga — Chrystusa”. Sprawozdanie Pliniusza wskazuje, że świętowanie niedzieli należało już od początku II wieku do znaków, po których ogólnie rozpoznawano chrześcijan. Już wcześniej nazwano niedzielę „dniem Pańskim”, jak świadczy Apokalipsa (1, 10), ponieważ Kościół sprawował tego dnia misterium paschalne.

Właśnie pamiątka zmartwychwstania Chrystusa była powodem gromadzenia się chrześcijan na modlitwę w dniu niedzielnym. Wprawdzie pierwszego dnia tygodnia rozpoczyna się dzieło stworzenia, Bóg ukazuje się jako Stworzyciel; również ten dzień wybiera Bóg w Starym Przymierzu na objawienie się patriarchom i prorokom (np. Rdz 7, 10 n.; Ag 1, 1 nn.) — zasadniczy jednak pozostał fakt objawień się w niedzielę zmartwychwstałego Pana: Marii Magdalenie (J 20, 11-18), Piotrowi i innym uczniom (Łk 24, 34-49), uczniom z Emaus (Łk 24, 13-32), Apostołom i św. Tomaszowi (J 20, 24-29). Gdy ukrzyżowany Chrystus po swoim zmartwychwstaniu ukazuje się w niedzielę, oznacza to, że w Nim ukazuje się Bóg w jedyny w swoim rodzaju sposób, że Chrystus jest Synem Bożym. W Nim znajduje rozwiązanie i swój najwyższy sens tak życie poszczególnego Chrystusa ukazały ludziom drogę, do której zmierzają wszystkie drogi ludzkie, prowadzące do celu. Dlatego nie brano w rachubę innych dni z wydarzeniami zbawczymi, jak czwartek — ustanowienie Eucharystii, piątek — dzień śmierci Chrystusa, choć z punktu widzenia ówczesnych warunków społecznych były łatwiejsze dla zebrań chrześcijan, lecz niedzielę — dzień zmartwychwstania Pana. Dopiero cesarz Konstantyn w 321 roku wydał dekret zezwalający na gromadzenie się chrześcijan w niedzielę o godz. 9 na nabożeństwo, zwalniając również na nie chrześcijańskich żołnierzy. W 250 lat później

przeniesiono ustawowo prawa dnia sobotniego na dzień Wielkanocy, a w następstwie i na niedzielę.

Gromadzenie się chrześcijan w niedzielę na Mszę świętą jest znakiem żywej wiary i jej świadectwem. Kościół, który się nie gromadzi, zamiera. Kościół nie może się przekształcić w towarzystwo naukowe czy kulturalne o pewnych poglądach lub w ruch o pokroju duchowym, bo ze swej natury jest *ekklesia*, czyli zgromadzenie. Kościół jest znakiem i świadectwem, moc zaś tego świadectwa polega zasadniczo na sile jego zgromadzeń.

Wraz z przekształceniem się dzisiejszej struktury industrialnej i kulturowej nastąpił kryzys dnia świątecznego. Skrócenie tygodnia do pięciu dni pracy ustawiło niedzielę w grupie wolnych dni końca tygodnia, jako ich zakończenie. Turystyka, wyjazdy, sport i tak zwany przemysł rozrywkowy wywierają niszczący wpływ na nabożeństwa niedzielne i na samo chrześcijańskie pojęcie dnia świętego. W tym sensie należy krytycznie ocenić pozwolenie na sprawowanie niedzielnej Eucharystii w sobotnie popołudnie i wieczór. Wprawdzie ułatwia to spełnienie obowiązku uczestniczenia w niedzielnej Mszy świętej, ale nie rozwiązany pozostaje problem świątecznego odpoczynku i jego chrześcijańskiego rozumienia. Niewątpliwie, koła historii i rozwojowego procesu dzisiejszej epoki nie da się odwrócić. Jednak zagadnienie właściwego spędzenia niedzielnego odpoczynku musi stać się przedmiotem rozważań w dzisiejszych warunkach i gruntownego pouczenia wiernych. Jest to tym bardziej potrzebne, że wielu ludzi, zwłaszcza z młodszej generacji, zatraciło sens świętowania i duchowego wypoczynku.

Szczytowym punktem niedzieli jest sprawowanie Eucharystii, pamiątki śmierci i zmartwychwstania Chrystusa: *Głosimy śmierć Twoją, Panie, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale*. Jest to najgłębsze życiowe znaczenie niedzieli i celebracji eucharystycznej, ustawiające życie ludzkie w pełnej perspektywie doczesności i wieczności. Dlatego Ojcowie Kościoła nazywają niedzielę „dniem ósmym”, który poza cykl tygodniowej pracy i święta przenosi nas do rzeczywistości pozaświatowej. Takie zaś spojrzenie na życie nadaje właściwy sens i kierunek wszystkim naszym ziemskim sprawom.

Zakończmy ten punkt naszych rozważań uwagą znanego profesora pastoralisty, że chociaż dziś — pod koniec drugiego tysiąclecia — nie możemy całego świata uczynić chrześcijańskim, to jednak bardzo wiele zrobilibyśmy dla całej społeczności ludzkiej, gdybyśmy przynajmniej — wszyscy chrześcijanie — świętowali niedzielę.¹³

Zakończenie

Episkopat polski wiąże z Kongresem duże nadzieje, zwłaszcza co do pogłębienia życia religijnego w kraju. Nie chodzi przy tym o same uroczystości kongresowe w czerwcu 1987 roku. Więcej wagi przywiązuje się do działalności duszpasterskiej i teologicznej poprzedzającej Kongres i zaplanowanej na najbliższe lata, a rozumianej jako owoce i kontynuacja Kongresu. W tym znaczeniu można powiedzieć, że II Krajowy Kongres Eucharystyczny już się od jesieni 1986 roku rozpoczął.

Ks. Bp Władysław MIZIOŁEK

PRZYPISY

1. Założenia duszpasterskie i cele Kongresu omawiamy na podstawie ustaleń Episkopatu Polski, artykułu Ks. Kard. Prymasa J. Glempa: „Gdy otwierają się bramy dla Drugiego Kongresu Eucharystycznego” (Warszawa 1986) oraz „Programu Duszpasterskiego” na rok 1986/1987, przyjętego przez Konferencję Episkopatu.
2. Teksty z homilii Jana Pawła II: w Warszawie na Stadionie Dziesięciolecia 17.06.1986, nr 5 i 8; w Częstochowie na Jasnej Górze 18.06.1983, do młodzieży przed Apelem Jasnogórskim, nr 7, oraz podczas jubileuszowej Mszy świętej 19.06.1983, nr 6.
3. Połączenie wyrażenia „łamania chleba” z modlitwą wskazuje raczej na Eucharystię, nie na agapę.
4. OSKAR CULLMANN, *Le culte dans l'Eglise primitive*, Neuchâtel - Paris, 1948³, str. 26—31.
5. Dekret o posłudze i życiu kapłanów, nr 5.
6. Por. M. LÖHRER, *Die Feier des Mysteriums der Kirche*, w: *Handbuch der Pastoraltheologie*, Herder 1970, Band I, str. 317—355.
7. Dekret o posłudze i życiu kapłanów, nr 2.
8. Por. JOHANNES H. EMMINGHAUS, *Grenzen und Chancen der Liturgie innerhalb der Gemeindepastoral*, art. w: *Theologisches Jahrbuch* 1983, Leipzig, str. 73—85.
9. Konstytucja Dogmatyczna o Kościele, Sobór Watykański Drugi, nr 1 i 48.
10. Encyklika *Redemptor hominis*, nr 20.
11. Por. Konstytucja o Liturgii świętej, Sobór Watykański Drugi, nr 28 i 29.
12. Por. Dz 20, 7; 1 Kor 16, 2; Didache 14, 1; Didascalia II, 59, 1—3.
13. Por. WILHELM ZAUNER, *Die Feier des Sonntags als offene Katechese*, art. w: *Theologisches Jahrbuch* 1983, Leipzig, str. 86—94.

Ks. Bp Marian Przykucki

**Przewodniczący Komisji Episkopatu Polski
do spraw Duszpasterstwa Rodzin**

INICJATYWY DUSZPASTERSKIE KOŚCIOŁA NA RZECZ RODZINY

Zainteresowanie rodziną nigdy nie było obce Kościołowi. W ostatnich jednak dziesięcioleciach troska ta stała się jakby wyraźniejsza. Jest tak zapewne dlatego, że wyraźnie wzrosła również liczba zagrożeń utrudniających, czy wprost uniemożliwiających prawidłowy rozwój życia rodzinnego. Już w 1948 roku Pius XII mówił: „W tym niezdrowym okresie historii nie ma instytucji tak chorej jak rodzina”. W związku z tym współczesnej rodzinie „Kościół powinien zanieść niezmienną, a zawsze nową Ewangelię Jezusa Chrystusa, gdyż właśnie rodziny powołane są do przyjęcia i przeżywania Bożego planu wobec nich, w zależności od obecnych warunków świata, w jakich żyją” (FC 4). Różne badania socjologiczne wykazują, jak rozległym, zasadniczym i często gwałtownym przemianom społecznym i kulturowym podlega rodzina. Jan Paweł II określa jej położenie jako „mieszanie błasków i cieni”. I choć Papież wylicza najpierw pozytywy (FC 6), to jednak duszpasterz nie może nie zdawać sobie sprawy ze wszystkiego, co podstawowym wartościom rodziny zagraża.

Niektóre inicjatywy duszpasterskie Kościoła na rzecz rodziny mają już swoją odległą historię: na przykład św. Pius X planował utworzenie Kongregacji do spraw Rodzin. Zamiar ten wprawdzie nie został nigdy zrealizowany, ale świadczy o tym, że Pius X doceniał rolę, jaką w posłannictwie Kościoła przyjdzie spełnić rodzinie. Dlatego też pewnie sam zaplanował układ nowej Kongregacji (AK III, 21).

W roku 1930 ukazała się encyklika *Casti connubii* Piusa XI, zawierająca całościowy wykład katolickiej nauki o małżeństwie. W komentarzach encykliki może razić dzisiaj przeakcentowanie strony prawno-kanonicznej, a pominięcie teologiczno-duszpasterskiej. Faktem jest jednak, że *Casti connubii* wpłynęła na odnowienie teologii małżeństwa oraz zainteresowała tym problemem światową opinię publiczną na 10 lat przed powstaniem socjologii małżeństwa i rodziny oraz na 30 lat przed pierwszym Międzynarodowym Kongresem Naukowym w Sprawie Rodziny, który odbył się w Paryżu w 1958 roku (AK II, 1359).

Nauka Kościoła odnośnie do małżeństwa i rodziny jest więc rzeczywiście „prastara i wciąż nowa”, choć największym impulsem dla podjęcia na nowo troski o rodzinę okazała się nauka Soboru Watykańskiego Drugiego (zwłaszcza obu jego Konstytucji o Kościele: *Gaudium et spes* i *Lumen gentium*), oraz ostatnich papieży. Jan Paweł II w homilii z okazji Dnia Rodzin w Roku Jubileuszowym sam wymienił kamienie milowe pogłębiającej się refleksji Kościoła na temat rodziny, mówiąc o *Casti connubii*, *Gaudium et spes*, *Humanae vitae*, *Familiaris consortio*. Wypowiedzi Kościoła zawarte w tych dokumentach określił papież jako profetyczne, to znaczy pozostające w służbie prawdy, „demaskujące wszystko to, co jest nie do przyjęcia i zaakceptowania, co powinno być zmienione, gdyż godzi w ludzką godność, życie, wolność czy wiarę” (DEF, s. 6). Dlatego właśnie każda praca na rzecz rodziny zakłada z jednej strony realistyczne, jasne rozeznanie sytuacji społeczno-ekonomiczno-kulturowej, w jakiej rodzina się znajduje (FC 4, 80). Bez tej bowiem orientacji niemożliwe byłoby zmienianie rzeczywistości, przekształcanie jej. Z drugiej strony jakakolwiek próba przemiany istniejącej rzeczywistości wymaga się silnej tożsamości chrześcijańskiej i katolickiej. Wtedy dopiero chrześcijanie naprawdę będą solą ziemi i światłem świata (Bp Jullien — wypowiedź na Sympozjum Europejskim). Chodzi po prostu o to, by teologiczna wizja małżeństwa i rodziny wyprzedzała jakiegokolwiek badania psychologiczne, socjologiczne, ekonomiczne czy polityczne, choćby w sposób właściwy i bardzo pożyteczny były uprawiane.

Niniejszy tekst składa się z trzech części. Każda została poświęcona jednej z podstawowych wartości, którym służy rodzina. Są to: *prawda, miłość i życie*.

Układ taki został podpowiedziany przez dwa przemówienia Jana Pawła II: otwierające i zamykające Synod Biskupów w 1980 roku. W homilii otwierającej obrady 26 września Papież mówił: „Lektura dzisiejszej liturgii mówi o tym, jak Bóg, w swym odwiecznym planie, połączył podstawowy obowiązek rodziny, którym jest dar życia, ofiarowany przez rodziców swym dzieciom — z powołaniem do miłości, do uczestnictwa w tej Miłości, która pochodzi z Boga,

ponieważ On sam jest Miłością”. W czasie Mszy odprawianej na zakończenie Synodu 26 października, w Kaplicy Systyńskiej mówił: „Podstawowy owoc tej sesji Synodu tkwi w fakcie, że zadania rodziny chrześcijańskiej, której istotą jest miłość, nie mogą być realizowane bez życia w pełni prawdy”.

Inicjatywy duszpasterskie Kościoła ukazane zatem zostaną najpierw jako:

- troska o prawdę o rodzinie;
- troska o rodzinę jako wspólnotę miłości;
- troska o życie w małżeństwie i rodzinie.

TROSKA O PRAWDĘ O RODZINIE

Troska ta dotyczy przekazania i zapoznania przede wszystkim wiernych, lecz także i ludzi stojących poza Kościołem, z jego autentyczną nauką dotyczącą małżeństwa i rodziny. Regulamin pracy Komisji Episkopatu Polski do spraw Duszpasterstwa Rodzin informuje, że zadaniem Sekcji Doktrynalnej Komisji jest ukazywanie i pogłębianie chrześcijańskiej doktryny o małżeństwie i rodzinie (p. 19). Z tą samą prośbą zwrócił się Ojciec Święty 26 listopada 1982 roku do uczestników Sympozjum Europejskiego na temat *Familiaris Consortio*: „Kościół jest zatroskany o coraz głębsze pojmowanie prawdy, którą winien głosić. Chodzi o zamiar Boga dotyczący małżeństwa i rodziny”.

Z poczucia tej właśnie troski zrodziły się inicjatywy Soboru i wyrosła z jego nauki encyklika *Humanae vitae*. W jej imię podjęte zostały obrady Synodu Biskupów, nią wreszcie zajął się Jan Paweł II w *Familiaris consortio*, a ostatnio Stolica Apostolska formułując Kartę Praw Rodziny. Papieżowi chodzi o ukazanie wiernym najgłębszych korzeni, samych podstaw, motywów nauki Kościoła o małżeństwie i rodzinie. Papież pragnie, by nauczanie ukazało źródło samego Objawienia, które samo tylko może odkryć pełną prawdę o człowieku. Wiernych trzeba zachęcać do trwania przy tej nauce, do przyjęcia jej, bo to pozwoli im w konsekwencji zrozumieć i podjąć ich życiowe powołanie. Stąd też apel Jana Pawła II do teologów, aby jednoczyli swoje wysiłki, we współpracy z hierarchicznym Magisterium i starali się coraz lepiej naświetlać podstawy biblijne nauki Kościoła, jej motywacje etyczne i racje personalistyczne. „Dzięki temu będzie możliwe w kontekście organicznego wykładu przedstawić naukę Kościoła dotyczącą tego ważnego tematu w sposób naprawdę dostępny wszystkim ludziom dobrej woli, ułatwiając coraz jaśniejsze i głębsze jej zrozumienie. W ten sposób zamysł Boży będzie mógł być coraz pełniej urzeczywistniany” (FC 31). Dzięki takiemu integralnemu i biblijnemu wykładowi nauki Kościoła stanie się dla wiernych

zrozumiałe, że powołanie ich wynika z ewangelicznego rozumienia miłości, płciowości, całej wreszcie osoby ludzkiej. Jest życzeniem Ojca Świętego, by pracę tę podjęło wielu ludzi i dla jej realizowania powołał do istnienia Instytut Studiów nad Małżeństwem i Rodziną, który winien stać się swoistym centrum, pozostającym w służbie Kościoła.

Zatroskanie papieża i biskupów nie jest przypadkowe. Nauka Kościoła o małżeństwie i rodzinie jest dziś bardziej niż kiedykolwiek zagrożona. Znalazła potężnych przeciwników, głównie w środkach masowego przekazu, a także w ustawodawstwie legalizującym rozpad małżeństwa i zabijanie poczętego życia. Socjologia wykrywa w życiu społecznym następujące prawo: to, co częste, staje się w powszechnej świadomości normalne, a to, co normalne, szybko zostaje uznane za normatywne, za dobre. Stępienia wrażliwości moralnej sumienia ludzkiego na takie przejawy zła, jak rozwód, czy *abortus*, doświadczamy wszyscy. Świadomy tego Kościół podjął szereg środków zaradczych.

Przygotowanie dzieci i młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie przez kursy przedmałżeńskie i katechezy przedślubne

We wspomnianym już wyżej regulaminie czytamy, że zadaniem Sekcji Doktrynalnej Komisji Episkopatu jest „inspirowanie treści programu katechezy szkolnej z uwzględnieniem potrzeb duszpasterstwa rodzin”.

Dzięki wysiłkom duszpasterskim ostatnich 25 lat udało się osiągnąć znaczną intensyfikację w katechezie na wszystkich poziomach przygotowania do małżeństwa i życia w rodzinie. Nie ulega jednak wątpliwości, że ilość katechez dotycząca tej problematyki powinna ulec zwiększeniu. Kilka bowiem jednostek lekcyjnych w klasie IV i VIII szkoły podstawowej, a potem dopiero kurs przedmałżeński w ostatnich klasach szkół średnich, nie są w stanie spełnić wszystkich wymagań stawianych przygotowaniu do małżeństwa.

Godne podkreślenia wydaje się to, że wychowanie dzieci i młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie zostało w Polsce ujęte w ramy instytucjonalne już w obu Instrukcjach Episkopatu Polski: z 12 lutego 1969 i 11 marca 1975. Instrukcje przewidują trzy etapy przygotowania do małżeństwa: — *dalsze* — od urodzenia do 16 roku życia; — *bliższe* — od 17 roku życia do zgłoszenia się w biurze parafialnym. Przygotowanie to oznacza tak zwany kurs przedmałżeński w ramach dwudziestu spotkań; *bezpośrednie* — czyli duszpasterstwo narzeczonych, obejmujące trzy nauki przedślubne, wygłoszone przez księdza i trzy indywidualne spotkania w punkcie poradnictwa rodzinnego.

Obowiązujący od wielu lat sposób przygotowania młodych

chrześcijan do małżeństwa nie został jeszcze uznany za własny przez pewną ilość duszpasterzy. Jest więc zadaniem duszpasterzy diecezjalnych i dekanalnych nieustanne czuwanie na tym odcinku.

Dodajmy, że ten sam schemat przygotowania zawiera adhortacja *Familiaris consortio* (66). Możliwe, że Jan Paweł II korzystał w jakimś stopniu z polskich doświadczeń.

Celem dydaktycznym katechizacji przedmałżeńskiej jest zapoznanie z katolickim punktem widzenia między innymi na takie sprawy, jak trwałość małżeństwa, wierność, *abortus*, rozumienie małżeńskiej miłości, a przede wszystkim ukazanie małżeństwa i rodziny w perspektywie Bożej. Nie jest ono przecież tylko, jak uczy *Humanae vitae*, wynikiem umowy społecznej. Zamyślił je Bóg, i On ma względem małżeństwa i rodziny określone plany. Właściwe ukazanie i zrozumienie tego Bożego planu ułatwi potem małżonkom podjęcie i wypełnienie ich powołania.

Nie jest to tylko zadanie teoretyczne. Nauka dowodzi dziś bowiem, że w normalnych układach teoria, ideał, winien kształtować praktykę. Amerykański filozof i psycholog Erich Fromm powiada, że także nauka miłości winna przebiegać w dwu etapach: pierwszy to opanowanie teorii, drugi — opanowanie praktyki. Polega zresztą na tym nie tylko sztuka miłości, lecz również sztuka całego życia. „Ten, kto nic nie wie, nic nie kocha — mawiał w XVI w. Paracelsus — im więcej wiedzy wiąże się z jakim przedmiotem, tym większa jest miłość”.

Ogromna praca Kościoła, mająca na celu właściwe przygotowanie młodych do małżeńskiego i rodzinnego życia, jest bez wątpienia jedną z najcenniejszych inicjatyw podjętych na rzecz rodziny. W Polsce obejmuje ona znaczną większość dzieci i młodzieży. Cała rzesza kapłanów, katechetów, świeckich współpracowników duszpasterstwa rodzin czuwa nad realizacją działania, które Jan Paweł II określił jako „bardziej niż kiedykolwiek w naszych czasach konieczne”.

Jeśli więc i na tym polu zauważone zostały pewne niedociągnięcia, to może chodzi raczej tylko o ciągłe udoskonalanie tego ważnego odcinka katechizacji. *Familiaris consortio* poleca zresztą Konferencjom Episkopatu zredagowanie Dyrektorium Duszpasterstwa Rodzin, które między innymi miałyby „ustalić zakres tematów, czas trwania i metody kursów przygotowawczych, z zachowaniem równowagi między różnymi aspektami: doktrynalnym, pedagogicznym, prawnym i medycznym” (66). Ta praca na polskim terenie jest chyba szczególnie potrzebna, pilna i oczekiwana przez większość duszpasterzy.

Bardzo istotnym postulatem w omawianej sprawie byłyby dobór odpowiednich katechetów, zwłaszcza w ostatnich klasach szkół średnich.

Osiągnięcia współczesnej pedagogiki wykazują, że przy przekaza-

zie informacji ze strony nauczyciela do ucznia ważne są: inteligencja, sprawiedliwość, okazywanie zaufania, przyjacielskość, doświadczenie i kompetencja. Uczniowie wrażliwi są zwłaszcza na wewnętrzne przekonanie nauczyciela do przekazywanej treści oraz na fakt, czy przekazujący potrafi zainteresować i zafascynować przekazywaną treścią. Jest pewne, że katecheci w różnym stopniu przykładają się do wypełniania obowiązku. Wyraża się to między innymi oryginalnością podejścia do przekazywanej treści, inwencją, pomysłowością, troską o wyniki, zaangażowaniem w sprawy nauczania, wykorzystaniem pomocy naukowych. Istnieje niewątpliwa korelacja między tak rozumianym entuzjazmem nauczyciela a efektami dydaktycznymi. Podobnie rzecz się przedstawia z kształtowaniem właściwej postawy u słuchaczy. Katecheta musi pamiętać, że liczy się dla nich przede wszystkim jego kompetencja, fachowość i wiarygodność. Chodzi o to, jaki użytek robi z posiadanych informacji, czy nimi manipuluje, podkreślając jedne, ukrywając inne, a zwłaszcza, czy jest do głoszonej prawdy osobiście i wewnętrznie przekonany i pragnie słuchaczy za sobą pociągnąć. W katechezie przedmałżeńskiej, gdzie w grę wchodzi sprawa tak ważna, winna zniknąć wszelka przypadkowość, niesolidność i obojętność.

Dokształcanie kleru

Dokonuje się ono w różnoraki sposób: służą mu przede wszystkim systematyczne wykłady z teologii rodziny, prowadzone w seminariach duchownych. W późniejszych latach wielu, bardziej zainteresowanych tą problematyką księży, podejmuje studia w ośrodkach uniwersyteckich KUL i ATK, Akademii w Krakowie, gdzie znajdują się Instytuty Studiów nad Rodziną.

W ramach diecezji dokształcanie odbywa się poprzez różne formy wykładów organizowanych dla duchowieństwa, na przykład z okazji Konferencji rejonowych, skupień posoborowych, poprzez spotkania duszpasterzy dekanalnych i oddziaływanie poprzez nich na konfratrów z dekanatów.

Godne podkreślenia jest znaczne zainteresowanie alumnów problematyką rodziny. Świadczą o tym zarówno żywe spotkania Instruktorstwa Krajowego Duszpasterstwa Rodzin z klerykami, jak też pewne ich działania spontaniczne. Znaki tego zainteresowania oczywiście bardzo cieszą. Nie sposób przeczyć znaczącej roli, jaką w duszpasterstwie rodzin pełni kapłan. *Familiaris consortio* mówi: „Żaden program duszpasterstwa organicznego nie może nigdy na żadnym poziomie, pominąć duszpasterstwa rodzin” (70). Stąd też apel papieża, by zarówno kapłani, jak i zakonnicy czy zakonnice, do podjęcia zadań tego zakresu byli kształtowani i przygotowywani od początku swojej formacji.

W czasie obrad Synodu Biskupów w Rzymie zabrała też głos, jak wiemy, Matka Teresa z Kalkuty. W jej prostej, szczerzej wypowiedzi musi uderzyć apel o kapłanów skierowany do Ojca Świętego: „Poślij do nas świętych kapłanów, daj nam przewodników, którzy wraz z Maryją pójdą z nami szukać zagubionych dzieci, by je z powrotem przywieść na łono rodziny. Dziecko zagubiło się gdzieś, przez to nastąpiło rozbitcie całej rodziny. Rodzina nie ma racji istnienia, jeśli w niej zabrakło dziecka. Potrzeba nam świętych kapłanów, by byli aniołami w naszych skłóconych i cierpiących rodzinach, bo ludzie, wśród których pracuję, cierpią bardzo” (AK I, 356).

Nie może zabraknąć kapłanów odpowiednio przygotowanych i najgłębiej przekonanych o tym, że pracując dla rodzin, pracują naprawdę dla Kościoła — jak to już uczyła Konstytucja duszpasterstwa o Kościele w świecie współczesnym (47). Jan Paweł II powiedział to jeszcze wyraźniej: praca dla rodzin jest pracą dla ludzkości (FC 86), a dobro Kościoła i społeczeństwa jest związane z dobrem rodziny (FC 3). Papież jest także świadom, że przygotowanie kapłanów do pracy dla dobra rodziny wymaga cierpliwości, uczucia i czasu. Praca Kościoła dla rodziny i jego dorobek są bogate. Kapłan winien zapoznać się z nauką Kościoła o małżeństwie i rodzinie poprzez studium encykliki *Humanae vitae*, *Familiaris consortio*, poprzez zaznajomienie się z instrukcjami Episkopatu oraz z Kartą Praw Rodziny. Wskazana jest także znajomość, choćby w najbardziej podstawowym zakresie, metod naturalnych etycznej regulacji poczęć, a także demograficznej sytuacji kraju. Środki masowego przekazu nie przestają szerzyć niepokoju i mitów. W komunikacie Przewodniczącego Komisji Episkopatu do spraw Duszpasterstwa Rodzin „Działanie antynatalistyczne w Polsce” z dnia 28 marca 1984 czytamy: „Wszyscy mimowolnie w jakiejś mierze ulegamy propagandzie szerzonej przez środki masowego przekazu. Stąd w wielu środowiskach nastąpiło samouspokojenie w odniesieniu do spraw ludnościowych. Jest to wysoce niepokojące, ponieważ nawet mimo przejściowej wyżki urodzeń, Polska nadal znajduje się w obszarze reprodukcji prostej i zbliża się do stanu reprodukcji zwężonej. Dowodem tego są współczynniki reprodukcyjne netto, które osiągają wielkość 1,052 dla kraju łącznie. W miastach natomiast współczynniki te od dwudziestu lat są stale niższe od jedności, co oznacza, że pokolenie rodziców nie jest zastępowane przez pokolenie dzieci. Biorąc pod uwagę tempo procesów urbanizacyjnych, łatwo można przewidzieć, że dalsze upowszechnianie się modelu rodziny miejskiej pociągnie za sobą spadek zastępowalności pokoleń. Zagrożenie jest obecnie nasilone przez masową emigrację zarobkową i polityczną młodzieży oraz niezwykle trudne warunki bytowe rodzin”.

Ważne wreszcie przy omawianiu sprawy dokształcenia kleru dla skuteczniejszej pracy duszpasterstwa rodzin jest zagadnienie „jedno-

ści osądów moralnych i duszpasterskich kapłanów” (FC 34). Regulamin Komisji Episkopatu stanowi, że jednym z zadań Sekcji Doktrynalnej jest przygotowywanie i opiniowanie rozstrzygnięć moralnych. Znalazły one wyraz między innymi we „Wskazaniach dla spowiedników z zakresu spowiedzi małżeńskiej”, wydanych w 1971 roku.

Wydaje się wskazane tam, gdzie nie zostało to dotąd zrobione, ponowne opublikowanie wspomnianych tu dokumentów Episkopatu: Pierwszej i drugiej Instrukcji i Wskazań dla spowiedników oraz rozpowszechnienie ich zwłaszcza wśród młodszych roczników duchowieństwa.

Formą dokształcania kleru stają się coraz częściej rekolekcje kapłańskie. Od dawna zabiega o to Episkopat Polski (por. Regulamin: Sekcja Przygotowania Kadr dla Duszpasterstwa Rodzin: „Zadaniem Sekcji jest zapoznanie misjonarzy i rekolekjonistów z potrzebami rodzin i przyjętymi wytycznymi i pastoralnymi”).

Nie trzeba podkreślać, że jak na każdym odcinku pracy duszpasterskiej, tak i w pracy na rzecz rodziny najwięcej zależy od indywidualnej postawy kapłana, jego gorliwości i przejęcia się pełnioną posługą. Same decyzje administracyjne nie wystarczą. Niemniej trzeba ten zapal nieustannie budzić i podtrzymywać w najgłębszym przekonaniu, że służy naprawdę dobrej sprawie.

Dokształcanie wiernych świeckich

Praca ta częściowo idzie w parze z dokształcaniem kleru: wydziały uniwersyteckie zajmujące się rodzinami kończą przecież nie tylko duchowni.

Posłuchajmy raz jeszcze papieża: „Jest zadaniem bardziej niż kiedykolwiek nagłym odnowienie w każdej kobiecie i każdym mężczyźnie świadomości prawdy dotyczącej ich małżeństwa i wartości etycznych, którym powinno służyć. Ta prawda często jest zaciemniona przez błędy i relatywizm moralny” (Symposium Europejskie). Nie może, niestety, sprostać temu zadaniu katecheza szkolna, z którą zresztą wielu wiernych kończy na poziomie szkoły podstawowej. Nie wystarczą kazania czy listy pasterskie Episkopatu. Nie wystarczy żadna nawet najwspanialsza jednorazowa inicjatywa (wspomnijmy choćby Wielką Nowennę z jej hasłem „Rodzina Bogiem silna”). Potrzebne są stałe akcje dokształcające. Dopominali się zresztą takich działań sami wierni świeccy. Odpowiedzią Kościoła stały się najpierw stowarzyszenia samych rodzin. Kościół musi troszczyć się nie tylko o to, by jego nauczanie zostało przez małżonków przyjęte, lecz także i o to, by zaofiarować im środki konieczne do przestrzegania go w praktyce. W tym kontekście domagają się ożywienia wszystkie inicjatywy mające na celu pomoc małżeńską, pogłębienie ich życia

duchowego przez modlitwę, przyjęcie przez wspólnotę ich radości i trudności, częste przyjmowanie sakramentów oraz ułatwienie im uczestnictwa w ruchach i stowarzyszeniach rodzin (por. Sympozjum Europejskie).

W Polsce najbardziej znaną formą stowarzyszeń rodzin są tak zwane „rodziny rodzin”. Podstawą powstawania takich zespołów jest zbliżenie się ludzi przez pewne podobieństwo problemów i doświadczeń życiowych. Rodziny te pomagają sobie wzajemnie, a równocześnie szukają w Ewangelii wskazówek i pociechy, dzielą się zdobytymi doświadczeniami, wspólnie się modlą. Spełniają również ważną rolę pozwalając na wymianę myśli, na refleksję nad życiem religijnym i nad problemami życia rodzinnego. W różnych formach istnieje i działa w tej chwili w Kościele około 70 stowarzyszeń rodzin, z których najbardziej znane są Equipes de Notre-Dame Morimonto Familiar Christiane (w Ameryce Łacińskiej), Focolarini we Włoszech. W Polsce oprócz rodziny rodzin działają także grupy neokatechumenalne oraz oazy rodzin.

Familiaris consortio wyróżnia trzy płaszczyzny stowarzyszeń rodzin:

1. Stowarzyszenia ściśle *apostolskie*, których celem jest wzajemne umacnianie się w wierności Ewangelii.

2. Stowarzyszenia *kulturowe*. Pielęgnują one zdrowe wartości kulturowe i etyczne, szerzą troskę o integralny rozwój osoby, zajmują się prawną opieką nad matką i dzieckiem. Do grupy tej zalicza *Familiaris consortio* również te zrzeszenia, które mają na celu upowszechnianie metod naturalnej regulacji poczęć.

3. Stowarzyszenia *społeczne*. Ich celem jest walka o sprawiedliwość społeczną, godność i wolność jednostek i rodzin, współpraca z instytucjami wychowawczymi, a zwłaszcza ze szkołą.

Podobnie jak w wypadku katechizacji, tak i w stowarzyszeniach rodzin ich celem najistotniejszym nie jest wyłączenie zdobywanie informacji i dokształcanie. Każde jednak zgromadzenie jest okazją do zapoznania się z katolicką wizją małżeństwa i rodziny.

Temu samemu celowi służą istniejące już w wielu diecezjach Studia Życia Rodzinnego, które poprzez stałą działalność mają przygotować wiernych świeckich do współpracy w duszpasterstwie rodzin. Cele Studium są zarazem teoretyczne (zdobycie odpowiednich wiadomości z teologii, psychologii, pedagogiki, nauk społecznych, biologiczno-medycznych, metod naturalnych), jak i praktyczne (nabycie umiejętności wykorzystania zdobytej wiedzy teoretycznej w poradnictwie rodzinnym, w katechizacji itp.). Tam, gdzie istnieją, cieszą się na ogół dużą popularnością, tam, gdzie jeszcze ich nie ma — dopominają się o nie wierni. Powstanie Studium Życia Rodzinnego zasugerowała adhortacja *Familiaris consortio* (70). Papież mówi o otwartym przy Uniwersytecie Laterańskim Wyższym Instytu-

cie poświęconym studium problemów rodziny dodając, że podobne instytucje powstały w wielu diecezjach. Inicjatywy te winny cieszyć się „zachętą i poparciem” ze strony biskupów, powinno ich być coraz więcej i winny być udostępnione także świeckim, „którzy wniosą w nie swój wkład pracy zawodowej, lekarskiej, prawniczej, psychologicznej, społecznej, wychowawczej, celem przyjscia z pomocą rodzinie.

Jak wielkie znaczenie ma taka współpraca świeckich (lekarzy, prawników, nauczycieli) z duszpasterstwem rodzin, może świadczyć choćby reakcja pewnych grup antyklerykalnych. Oto w numerze 11/1984 *Perspektyw* Ryszard Świerkowski — redaktor odpowiedzialny za sprawy ideologii i wychowania w tym piśmie — ubolewa: „W czasach dla budownictwa wyjątkowo niepomysłnych istnieje wyjątkowo rozbudowany front inwestycyjny. Są i inne świadectwa triumfalizmu wiodącego ku stopniowej reanimacji funkcji ongiś nadających Kościołowi charakter instytucji nie tylko religijnej. A więc domy boże, jako obiekty kultury masowej, w nich wernisaże, koncerty, wieczory poetyckie, występy aktorskie, odczyty związane luźno albo wcale z treściami religijnymi. A więc budowanie mozaikowego układu struktur niereligijnych, w tym apostołat świecki takich grup, jak lekarze, prawnicy, nauczyciele”.

Przytoczona wyżej tendencyjna i bardzo przecież niesprawiedliwa wypowiedź stanowi pośrednio jakiś znak słusznego wyboru drogi obranej przez Kościół w omawianej dziedzinie. Nieprzypadkowo duszpasterstwo służby zdrowia i nauczycieli zostało tak zdecydowanie zaatakowane. Może się ono bowiem najbardziej przysłużyć sprawie rodziny.

Możliwościom dokształcenia wiernych świeckich sprzyja także działalność wydawnicza Kościoła lub instytucji inspirowanych się duchem chrześcijańskim. Wydaje się, że częste narzekania na brak właściwych pomocy w naszej pracy nie idą w parze z należyтым wykorzystaniem choćby tylko tego, co stoi do naszej dyspozycji. Oto wrywkowo tylko zaprezentowane pozycje dotyczące rodziny, a wydane w 1983 roku:

1. Bp Kazimierz ROMANIUK, *Małżeństwo i rodzina w Biblii*, Księgarnia Św. Jacka (Wyd. II).
2. *Jestem chrześcijaninem. Krótkie przygotowanie do małżeństwa*, (praca zbiorowa). Księgarnia Św. Jacka.
3. Włodzimierz FIJAŁKOWSKI, *Dar rodzenia*, PAX.
4. *Małżeństwo chrześcijańskie. Komentarze egzegetyczno-duszpasterskie do czytań biblijnych*, praca zbiorowa, PAX.
5. *Jan Paweł II o małżeństwie i rodzinie*, 1978—1982, PAX.
6. Ks. Józef WYSOCKI, *Rytuał rodzinny (Aby rodzina była bardziej Kościołem)*, Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne.

7. *Rok liturgiczny w rodzinie*, (praca zbiorowa), Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne.

Już choćby wymienione wyżej pozycje wskazują, że rynek wydawniczy wcale nie jest tak ubogi w pozycje dotyczące pracy dla dobra małżeństwa i rodziny. Dodać jednak trzeba liczne publikacje zawarte w różnego typu prasie katolickiej z niezamordowanie służącym sprawie rodziny *Ateneum Kapłańskim* (nry 434 i 435 omawiające Synod Biskupów 1980, nr 449 poświęcony *Familiaris consortio*). Dodajmy wreszcie zestaw kilkudziesięciu filmów polskich i zagranicznych, które z powodzeniem mogą być wykorzystane w propagowaniu katolickiej wizji małżeństwa i rodziny.

Wszystkie te środki (a i inne jeszcze, na przykład prelegenci, wykładowcy odpowiednio przygotowani) są do dyspozycji w pracy dla dobra rodziny, stanowią też niewątpliwie świadectwo tego, z jaką powagą traktuje Kościół ten odcinek swojej pracy.

TROSKA O MIŁOŚĆ W MAŁŻEŃSTWIE I RODZINIE

Prawda o miłości małżeńskiej została najpierw wyrażona w encyklice *Humanae vitae*. Nie jest to nauka nowa. Miłość jest przecież tą wartością etyczną, „której małżeństwo winno służyć” (Symposium Europejskie). Naukę tę Urząd Nauczycielski Kościoła powtarzał i przypominał wielokrotnie, a Paweł VI wywodził ją z dorobku Soboru Watykańskiego Drugiego. Obecny papież zarówno w *Familiaris consortio* jak i przy innych okazjach nieustannie do tej tradycji nawiązuje. Ostatnio zrobił to w czasie Dnia Rodzin z okazji Roku Jubileuszowego w Rzymie 25 marca 1984.

Troska Kościoła o miłość małżeńską przejawia się w nieustannym pogłębianiu refleksji teologicznej nad tą decydującą wartością małżeństwa i rodziny. Kościół pragnie swoim wiernym ukazać pełną prawdę o miłości małżeńskiej. Odnaleźć tę prawdę znaczy uwierzyć, że ma ona swoje źródło w samym Bogu, „a swą ostateczną sakramentalną pieczęć w Odkupicielu świata” (25.III.1984). Papież apeluje, by tę prawdę przyjąć sercem i sumieniem, by ją uczynić miarą małżeńskiego i rodzinnego życia. Od zwycięstwa tej miłości w sercu człowieka zależy przyszłość całej ludzkiej rodziny.

Mówimy tu o miłości małżeńskiej i rodzicielskiej. Te dwie płaszczyzny są jednak ze sobą najściślej związane. Niech zilustruje to wypowiedź samych rodziców, amerykańskich audytorów Synodu o rodzinie, pp. Dicka i Barbary Mc Bride: Kiedy przygotowywali się do ślubu, ich przyjaciel ksiądz, zadał im któregoś dnia następujące pytanie: „Co jest najważniejsze, czego Kościół żąda od was dla waszych dzieci? Gdy zaczęliśmy wyliczać wiele rzeczy i wartości,

przerwał nam i powiedział krótko: «najważniejsze, co możecie uczynić dla swoich dzieci, jest to, byście się wzajemnie kochali». Jako młodej i oddanej matce, wydawało mi się to stwierdzenie zupełnie zadziwiający. Wydawało mi się ciasne i egoistyczne. Później dopiero musieliśmy dochodzić do stwierdzenia jego prawdziwości (AK I, 446).

Tylko prawdziwa, a więc ofiarna na wzór miłości Chrystusa do Kościoła, miłość małżeńska może stanowić fundament miłości rodzicielskiej: „Patrzmy na nasze dzieci jako na wyraz naszej miłości, miłości, która stała się ciałem” (j.w.).

Synod Biskupów poświęcił wiele miejsca na teologiczną refleksję nad miłością małżeńską. Właśnie sakramentalność małżeństwa wyjaśnia pełny sens miłości małżeńskiej: „Podstawową normą i źródłem tej miłości jest darowanie się Chrystusa na Krzyżu za Kościół i dla Kościoła. Wiąż małżeńska przedstawia się z jednej strony jako odbicie jedności Osób w Bogu, a zarazem jako prototyp wszelkiej relacji międzypersonalnej wśród ludzi. Jako sakrament ta sama miłość jest znakiem jedności, dokonywanej przez Boga, tj. zbawczej jedności Chrystusa i Kościoła, w czym urzeczywistnia się odwieczny plan Boga. Wymowa sakramentu małżeństwa jest tu doniosła: odkupienie nie jest porzuceniem stworzenia, lecz jego udoskonaleniem, definitywnym zjednoczeniem się ze Stwórcą (AK II, 19) i w tym sensie sakrament małżeństwa jest nadzieją ludzkości rozbitej, nękaną kryzysami, zwątpieniami, osamotnieniem i niepewnością. To w tym sensie Matka Teresa rozróżnia różne rodzaje głodu: w Europie jest to często głód Boga, głód miłości (AK I, 362).

Służąc miłości małżeńskiej, ukazując jej wielkość i godność, Kościół ratuje rodzinę. Znana działaczka indyjska p. Maria Mascarenhas mówiła na Synodzie Biskupów: „Często rodzice pozbawiają dzieci przyływu miłości, której one nieustannie potrzebują. Może rodzice robią to nieraz bezmyślnie, albo też dlatego, że są zajęci zawodo. Dzieci mają wrażenie, że są opuszczone i znajdują się w innym świecie, a w swej tęsknocie za miłością udają się gdziekolwiek: do przyjaciół, książy, magazynów, filmu, telewizji, do narkotyków i bożyszczy” (AK I, 429).

Jak słuszne są te uwagi! Nietrudno dziś zauważyć, jak ginie dialog w rodzinie, dialog, który w atmosferze miłości jest czymś najbardziej naturalnym. Tygodnik *Polityka* zamieścił 30 grudnia 1978 roku wstrząsające w swej „zwyczajności” wyznanie chłopca: „Wstałem o godz. 8.30. Zjadłem śniadanie i zapaliłem telewizor i oglądałem teleranek. Po teleranku oglądałem telewizor do godz. 14. Zjadłem obiad i oglądałem telewizor. Po wieczornym odrobiłem lekcje, umyłem się i zjadłem kolację i oglądałem film. Po filmie poszedłem spać”.

Różne badania dotyczące patologii społecznych wskazują, że

przyczyn należy szukać u źródeł, to znaczy w rodzinach, w których zabrakło miłości. I tak na przykład 70% młodocianych przestępców pochodzi z rodzin rozbitych bądź rozwiedzionych; 60%, to dzieci alkoholików (*Polityka* 24/1975).

Na obradach Drugiego Tygodnika Higieny Psychiczej w Katowicach (23—26 listopada 1983) mówiąc o narkomanii ks. Cekiera, zajmujący się tym problemem już od 15 lat, wskazał, że tam, „gdzie niestabilne jest środowisko domowe, rodzina niepewna, żyjąca w permanentnym konflikcie, gdzie brak więzi emocjonalnej między rodzicami, wszędzie tam jest kilkakrotnie większa możliwość dewiantycznych zachowań dzieci, które uciekając z domów wpadają w nałóg, a niekiedy nawet popełniają samobójstwo. Proponuje się różne sposoby uzdrowienia sytuacji. Najefektywniejszy jest taki: chronić za wszelką cenę rodzinę przed chorobą, jaką jest brak miłości, a zdrowi będą wszyscy jej członkowie” (*Ład* 3/1984).

Cały nacisk na przygotowanie małżeństwa, zawarty w wypowiedziach papieży, w instrukcjach Episkopatu, w przygotowaniu, o którym była mowa w pierwszej części, nie ma niczego innego na celu, jak ukazanie małżeństwa jako wspólnoty miłości. Celem tego przygotowania ma być wychowanie do miłości małżeńskiej, a więc działanie świadome i długofalowe, które winno być zaczęte już we wczesnym dzieciństwie. Życie małżeńskie ma być ukazane jako powołanie, zadanie do odczytania, podjęcia i wypełnienia. Chodzi więc nie tylko o samo przekazanie wiadomości, lecz o oddziaływanie kształtujące postawę współpracy z Bogiem w sakramencie małżeństwa.

Takie widzenie celu katechezy przedmałżeńskiej umożliwi wypełnienie życzenia Jana Pawła II, by „przygotowujący się do małżeństwa, obok pogłębienia intelektualnego, poczuli się zachęcani do żywego włączenia się we wspólnotę kościelną” (FC 66). Ta świadomość udziału we wspólnotce Kościoła zrodzi z kolei podstawę do apostołskich działań rodziny. Troska Kościoła o miłość małżeńską nie kończy się w chwili zawarcia związku sakramentalnego. Od lat Kościół otacza opieką młode małżeństwa, organizując dla nich specjalne konferencje, spotkania rekolekcyjne (zamiast tracących na popularności nauk stanowych), pomoc charytatywną (zwłaszcza po roku 1980).

Ta pomoc Kościoła jest cenna i bardzo potrzebna. Młode małżeństwa rozpoczynają dzisiaj wspólne życie najczęściej w trudnych warunkach, z których problemem najbardziej zasadniczym jest własne mieszkanie. Na pewno nie sprzyja rozwojowi miłości małżeńskiej jego brak. Oczywiście, Kościół nie jest w stanie zastąpić państwa w wypełnianiu jego powinności. Inicjatywy Kościoła w tym względzie polegały na zwracaniu uwagi władz państwowych w memoriałach i listach do nich kierowanych. Sytuacja pogarszała się przecież od

dawna. Większość jednak wezwań Kościoła pozostawała bez odpowiedzi.

Problemem dzisiaj, w naszym kraju, są sprawy tak powszechnego użytku, jak meble, artykuły gospodarstwa domowego, ubiory dla niemowląt czy dzieci. W tej sytuacji Kościół zwrócił się z apelem do katolików krajów bogatszych, by pospieszyli Polsce z pomocą. Skala tej pomocy w ostatnich latach naprawdę była ogromna. Dzisiaj, kiedy pomoc zagraniczna raczej się kończy, Kościół stara się uczulić społeczeństwo na potrzeby innych, pobudzając w imię chrześcijańskiej solidarności wolę dzielenia się z tymi, którzy znajdują się w większej potrzebie. W wielu parafiach Polski akcje takie przyniosły nadszodkowane efekty. Praktyka ta zresztą znajduje również swoje uzasadnienie w *Familiaris consortio* (71), która pragnie uwrażliwić rodzinę na ludzi znajdujących się w potrzebie: starych, niepełnych, chorych, samotne matki, sieroty, wdowy i wreszcie kobiety skłaniające się ku zabiciu nienarodzonego życia.

Przewodniczący Komisji Episkopatu do spraw Duszpasterstwa Rodzin zwraca uwagę we wspomnianej już tutaj informacji, na kolejne działania Kościoła w tym względzie. W Polsce pojawiło się bowiem niebezpieczeństwo zakwestionowania wysiłku wychowawczego. Zobowiązuje to Kościół do zdecydowanego przeciwdziałania.

TROSKA KOŚCIOŁA O ŻYCIE

I małżeństwo, i rodzina mają służyć życiu. W dziedzinie konsekwentnej obrony życia, już od pierwszej chwili jego zaistnienia, zasługi Kościoła są chyba największe. „Prawda, którą głosi Kościół, jest prawdą życia” — Jan Paweł II, Symposium Europejskie. Cechą miłości małżeńskiej jest przecież płodność (HV, 9), gdyż zmierza ona do swego przedłużenia i wzbudzenia nowego życia. Taka jest prawda o miłości małżeńskiej, której uczy w dzisiejszych czasach Nauczycielski Urząd Kościoła (homilia z 25 marca 1984).

Familiaris consortio Mówi zdecydowanie, że Kościół jest powołany do tego, aby wszystkim ukazać z największym przekonaniem „swoją wolę rozwijania wszelkimi środkami życia ludzkiego i bronięcia go przeciw jakimkolwiek zasadzkom, niezależnie od stanu i stadium rozwoju, w którym się ono znajduje” (FC, 30).

Z tego powołania Kościoła do obrony życia zrodziła się ogromna praca, ciągle zresztą rozwijana i udoskonalana, poradnictwa rodzinnego na różnych szczeblach. Jednym z najistotniejszych jego nurtów jest propagowanie i nauczanie naturalnych metod kierowania płodnością. Dzięki wysiłkowi Kościoła nie ma już prawie w Polsce parafii, gdzie nie byłoby punktu poradnictwa rodzinnego. Zgodnie

z Instrukcją Episkopatu musi przejść przez punkt poradnictwa każda para narzeczonych.

Oczywiście, nie jest to praca łatwa. Sprzymierzeńców w niej nie ma Kościół zbyt wielu. Mimo upływu lat ciągle podtrzymywane są opinie o rzekomej nieskuteczności naturalnych metod kierowania płodnością. Służba zdrowia z własnej inicjatywy proponuje każdej kobiecie, która urodziła dziecko, założenie sprężynki — zatajając przed pacjentkami poronne działanie tych urządzeń. Towarzystwo Rozwoju Rodziny specjalizuje się głównie w zapobieganiu ciąży przy pomocy metod antykoncepcyjnych, co stoi w jaskrawej sprzeczności z nazwą tej organizacji. Prasa kobieca bezpośrednio atakuje sformułowania Karty Praw Rodziny w odniesieniu do regulacji poczęć: na przykład *Kobieta i Życie* nr 7/1984 (por. Informacja Przewodniczącego Komisji Episkopatu do spraw Duszpasterstwa Rodzin).

Praca Kościoła w tym zakresie opiera się głównie na współpracownikach świeckich duszpasterstwa rodzin. Trzeba powiedzieć, że niekiedy zaangażowanie świeckich znacznie przewyższa przejęcie się tą ważną przecież działalnością Kościoła ze strony duchownych. Zdarza się nawet, że przeszkody w pracy ludzi świeckich miały swe źródło w jej niedocenieniu przez duchownych. Ten etap wydaje się jednak szczęśliwie już raczej miniony.

Ogromna jest praca punktów poradnictwa rodzinnego. Trzeba jednak uczynić wszystko, aby udostępnić tę wiedzę ogółowi małżonków, a wcześniej jeszcze osobom młodym, poprzez informację i wychowanie jasne, stosowne i poważne, przy współudziale par małżeńskich, lekarzy i ekspertów (FC 33). Chodzi nie tylko o samo nauczanie metod naturalnych, lecz także o ukazanie korzyści, jakie wnoszą one w życie małżeńskie przez wzrost harmonii współżycia. Powściągliwość w okresie płodności kobiety prowadzi parę małżeńską do odkrycia nowych form wyrażania miłości. A przede wszystkim wzrasta międzyosobowy dialog, pokój i radość życia zgodnego z planem Bożym. Zadanie to wymaga refleksji, pouczenia i właściwego przygotowania kapłanów, zakonników i osób świeckich włączonych w pracę duszpasterstwa rodzin (FC 34). W tej dziedzinie Kościół nie może nie rozbudzać ze wzmoczoną energią poczucia odpowiedzialności tych, którzy jak lekarze, eksperci, doradcy małżeństw, wychowawcy i same małżeństwa, mogą skutecznie pomóc małżeństwom w przeżywaniu ich miłości tak, aby uszanowane były struktura i cel aktu małżeńskiego, który ją wyraża. Oznacza to szerszy, bardziej zdecydowany i systematyczny wysiłek, idący w kierunku poznania, oceny i stosowania naturalnych metod regulacji płodności (FC 35).

Nieustępliwej i żmudnej pracy Kościoła należy zawdzięczać dokonującą się powoli zmianę mentalności w odniesieniu do naturalnych metod regulacji poczęć, jaka dokonuje się w niektórych krajach. W Hongkongu zakończył się III Kongres Międzynarodowej

Federacji Dowartościowania Rodziny. 250 ekspertów z 60 krajów uczestniczyło w 10-dniowych obradach dotyczących naturalnej kontroli płodności. Otwarcia dokonała Matka Teresa. Na Kongresie stwierdzono, że metody naturalne nie tylko nie mają powodów do kompleksów niższości względem metod sztucznych, ale nie zawierają żadnych przeciwwskazań czy szkodliwych skutków związanych z tymi ostatnimi. Szesze stosowanie metod naturalnych, opartych na auto-obszervacji i znajomości problematyki dotyczącej płci oraz na rozmowach obojga małżonków, stanowi solidną bazę małżeńskiey i rodzinnej harmonii. W czasie Kongresu podano pewne dane szczegółowe:

— metoda symptotermiczna staje się na Haiti najbardziej popularnym sposobem regulacji poczęć;

— w Kalkucie Misjonarki Miłości nauczyły tej metody od 1978 r. do 1982 r. ponad 43.000 małżeństw spośród najbiedniejszych mieszkańców miasta;

— na Filipinach 100% więcej kobiet stosuje naturalne metody poczęć niż pigułki antykoncepcyjne. W ciągu trzyletniego okresu liczba nieplanowanych ciąż u kobiet stosujących metody naturalne nie była większa od tych, które stosowały pigułki antykoncepcyjne;

— stwierdza się rozszerzenie stosowania metod naturalnych w Kanadzie, Francji, pewnych krajach afrykańskich, a także w USA (OR 1/1984).

Może wydawać się dziwne zaangażowanie Matki Teresy i założonego przez nią Zgromadzenia w propagowanie metod naturalnej regulacji poczęć. Wyjaśniła to sama Matka Teresa na Synodzie w Rzymie. Jej podopieczni mówili często: „Właśnie wy, które złożyłyście śluby czystości, nadajecie się najlepiej, by nas uczyć. Nic bowiem nie pomaga w nauczaniu miłości innych bardziej niż panowanie nad samym sobą. Dziękujemy więc za nauczanie nas tego, dzięki czemu nasze rodziny zostały scementowane, są zdrowe i mogą mieć dzieci, kiedy i ile chcą”.

W Polsce wspomniana zmiana mentalności w stosunku do metod naturalnych nie jest niestety tak wyraźna i długo jeszcze tu pracy nie zabraknie. W świadomości wielu ludzi w odniesieniu do środków antykoncepcyjnych ciągle aktualne są te nieporozumienia, o których mówiła dr Mascarenhas z Indii. Wymieniła ona trzy mity, które powinny być rozwiane.

— Mit 1: Byłoby mniej przerwanych ciąż, gdyby antykoncepcja była powszechnie dostępna... Była to nadzieja sprzed 30 lat. Dzisiaj jest już pewne, że wraz z dostępnością i upowszechnieniem środków antykoncepcyjnych wcale nie szło w parze bardziej odpowiedzialne postępowanie w dziedzinie seksualnej, a tam, gdzie środki antykoncepcyjne są najłatwiej osiągalne, tam wskaźnik wywoływanych i powtarzanych przerwanych ciąż jest wyższy.

— Mit 2: Nowoczesne środki antykoncepcyjne są zdrowe i bar-

dziej skuteczne... Nie ma metody planowania rodziny łącznie ze sterylizacją, która byłaby skuteczna w stu procentach. Pigułka skuteczna jest w 92—98%. Przy tej zawodności pigułki furtką bezpieczeństwa stało się przerywanie ciąży, traktowane jako środek antykoncepcyjny.

— Mit 3: Legalizacja wyeliminuje nielegalne przerywanie ciąży... Nawet w Japonii, gdzie jest tak wiele legalnych przerwania ciąży, liczba nielegalnych ciągle wzrasta. Jedna trzecia przerwania dotyczy młodych niezamężnych dziewcząt, po czym 20% z nich staje się niepłodnymi na zawsze. Rządy nie przewidziały tego skutku, ale stwierdzały, że jest bardzo trudno powstrzymać tę falę. Odtąd niektóre rządy wprowadziły przymusową sterylizację po trzecim przerwaniu ciąży (AK I, 398-400).

Przeciwdziałanie przerywaniu ciąży wynika ze świadomości, że stanowi ono naruszenie fundamentalnego prawa osoby: prawa do życia. „Wszelki nacisk wywierany przez władze na rzecz stosowania środków antykoncepcyjnych, a nawet sterylizacji i spędzania płodu, winien być bezwzględnie potępiony i zdecydowanie odrzucony” (FC 30).

Obronie życia nienarodzonych poświęcone były liczne wypowiedzi papieży, zwłaszcza Pawła VI i Jana Pawła II, encykliki, ostatnio Karta Praw Rodziny.

W Polsce, w listach pasterskich Episkopatu, biskupi uświadamiali wiernym, jak wielką zbrodnią jest podniesienie ręki na poczęte życie. Z inspiracji Kościoła powstały stowarzyszenia spieszące z pomocą dziewczętom, które udało się przekonać, by urodziły, a nie zabijały swoich dzieci. Do działalności tej włączyły się niektóre żeńskie zgromadzenia zakonne.

W Kościele również zrodziły się ruchy w rodzaju *Gaudium vitae*, mające na celu obronę każdego poczętego życia.

Niestety, przeciwdziałanie przerywaniu ciąży jest mało skuteczne. Ilość dokonywanych abortów jest bardzo wysoka i prawdopodobnie przekracza liczbę urodzeń. Próby nakłaniania brzemiennej kobiety do odstąpienia od zamiaru poddania się sztucznej poronieniu są sporadyczne. Natomiast wzrasta ilość zabiegów dokonywanych za nieformalną odpłatnością. Dla części pracowników służby zdrowia zabiegi te stanowią źródło dochodów. Na tle powyższych informacji jeszcze bardziej nagląca staje się konieczność ścisłego współpracowania duszpasterstwa rodzinnego z innymi specjalistycznymi działami duszpasterstwa (z wydziałem katechetycznym, duszpasterstwem służby zdrowia, nauczycieli itp.).

Przedstawione wyżej uwagi dalekie są od wyczerpującego omówienia wszystkich inicjatyw Kościoła na rzecz rodziny. Ukazane tutaj zostały w pewnym szerszym kontekście, w powiązaniu z nauką Soboru Synodu oraz wskazaniem Papieży. Jakże są skutki tych

oddziaływań Kościoła? W czym zmieniły one położenie rodziny, w czym jej pomogły?

Mimo wszystkich przeszkód i trudności, jakie napotyka wprowadzenie w życie nauki Kościoła, mimo wysokich wymagań, jakie ta nauka człowiekowi stawia, skutki te są bardzo doniosłe. Można bowiem dostrzec prawdziwą zmianę postawy i wśród małżonków, i wśród narzeczonych. Dzięki bowiem wysiłkom Kościoła:

- zdobyli oni nową wizję życia rodzinnego;
- pogłębili tajemnicę ich wzajemnej miłości;
- odkryli w swojej miłości małżeńskiej jej źródło, którym jest

Bóg;

- nawiązali dialog małżeński i rodzicielski;
- ujrzeni szlachetny aspekt odpowiedzialnego rodzicielstwa;
- w przekazywaniu życia dostrzegli możliwość wzniesienia się ponad biologię;
- dostrzegli możliwość zamienienia życia domowego w świadectwo dawane chrześcijaństwu;
- zostali uświadomieni, że stanowią Kościół domowy;
- stopniowo uświadamiali sobie swoje włączenie w Boży plan miłości.

Praca Kościoła w Polsce pozwoliła spełnić większość tych postulatów, które same rodziny stawiały Ojcom Synodu:

1. By młodym ludziom już od dzieciństwa ukazywać wielkość sakramentu małżeństwa.

2. By przepowiadać małżonkom, że ich małżeństwo jest obrazem miłości Chrystusa do Kościoła.

3. By duchowni poświęcali się jeszcze bardziej rodzinom, tak, by powstał nieustanny dialog między małżonkami, biskupami i kapłanami.

4. By podkreślać w katechezie szczególną, przez Boga w plan zbawienia włączoną, rolę Matki Bożej.

5. By szczególną troską Kościół otoczył formację narzeczonych i małżonków.

6. By pod przewodnictwem Kościoła zostało zorganizowane nauczanie naturalnego planowania rodziny i odpowiednie poradnictwo w tym zakresie.

7. Wołanie o kapłanów, którzy trwając przy zasadach moralnych, okażą zrozumienie tego, przed czym stoi dziś nękana kryzysami rodzina.

Ojciec Święty mówił: „Nigdy, jak w tym wieku, rodzina nie była tak bardzo zagrożona i atakowana, lecz jednocześnie nigdy, jak w tym wieku, rodzina nie spotkała się z tak wielką pomocą, zarówno na płaszczyźnie kościelnej jak i świeckiej” (Dzień Rodzin 12.X.1980).

Podejmując zatem naszą pracę, nie możemy być małoduszni. Jest ona trudna i odpowiedzialna, odwagi i otuchy dodaje nam jednak fakt, że pracując dla rodziny, jesteśmy wierni Ewangelii i pracujemy naprawdę dla Kościoła, gdyż rodzina będąc sama „jakby domowym Kościołem”, gwarantuje istnienie i rozwój całego Kościoła (List Ojca Świętego z 15.VIII.1980).

Ks. Bp Marian PRZYKUCKI

WYKAZ UŻYWANYCH SKRÓTÓW

AK I — Ateneum Kapłańskie nr 434.

AK II — Ateneum Kapłańskie nr 435.

AK III — Ateneum Kapłańskie nr 449.

DEF — „Człowiek a wspólnota w deklaracjach Episkopatu Francji”. *Studia Theologica Varsaviensia* 17/1979 nr 2, s. 262.

EK — Encyklopedia Katolicka.

FC — Adhortacja *Familiaris consortio*.

OR — *Osservatore Romano* (wersja francuska).

Prof. Maria J. Radomska

**Rektor Szkoły Głównej
Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie**

KILKA UWAG O SZKOLNICTWIE WYŻSZYM

Mówiąc o szkolnictwie wyższym w Polsce trzeba podać trochę danych liczbowych, ponieważ nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, jak wielka grupa ludzi uczy się i pracuje w wyższych uczelniach.

Jest tych uczelni obecnie w Polsce 91, spośród których prawie 60% podlega Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a pozostałe innym resortom, przy czym we wszystkich, lub prawie wszystkich, obowiązuje Ustawa o Szkolnictwie Wyższym, o czym poniżej. Pracuje w nich 134 tysiące osób, a studiuje 350 tysięcy (wszystkie dane pochodzą z oficjalnych zestawień statystycznych i dotyczą roku 1984).

Rejonizacja uczelni jest bardzo różna. Rozmieszczone są one w 22 województwach na 49 istniejących, przy czym w Warszawie mieści się aż 12 wyższych uczelni, w Krakowie 11, ale są województwa, które posiadają tylko jedną, i to bardzo małą uczelnię zatrudniającą zaledwie kilku profesorów (na przykład Koszalin, Siedlce). Sytuacja uczelni w danym województwie jest jednak odwrotnie proporcjonalna do ich liczebności i rzeczywistej rangi. Województwo, które posiada jedną, jedyną szkołę wyższą (przeważnie jest to Wyższa Szkoła Inżynierska lub Pedagogiczna), dba o nią i zabiega o inwestycje dla niej, natomiast w stolicy na 12 uczelni zatrudniających 20% ogółu nauczycieli akademickich w kraju brak jest środków nie tylko inwestycyjnych, ale nawet czystościowych, i zarówno prezydent jak i przewodniczący w nawale innych obowiązków i kłopotów nie mają czasu na zajmowanie się wyższymi uczelniami, poza specjalnymi okazjami o naturze politycznej.

Zgodnie z obowiązującą obecnie ustawą o szkolnictwie wyższym opiekunami uczelni z ramienia regionu ma być Społeczna Rada Szkoły, którą powołuje Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej. W niektórych województwach (na przykład Lublin) powołano jedną radę dla wszystkich istniejących tam uczelni, w innych (na przykład Warszawa) odrębne rady dla każdej ze szkół wyższych. Rektor nie jest członkiem Rady, bierze udział w jej pracach. Z zapisu w ustawie i przepisach wydanych przez Radę Państwa wynika, że rola Rady jest zarówno opiekuńcza, jak i kontrolna. Co przeważa — zależy pewnie w dużej mierze od przewodniczącego, bo członkowie zostali nieraz powołani w sposób dość przypadkowy i wielu z nich jest mało zainteresowanych tą — przeważnie — n-tą funkcją społeczną w — i tak napiętym — kalendarzu zajęć.

Rozpisałam się na temat Rad Społecznych, ponieważ stanowią one *novum* i ich działalność będzie w dużej mierze wykładnikiem stosunku władz do szkół wyższych. Pomoc ze strony tych Rad byłaby bardzo przydatna w trudnej sytuacji uczelni. Jest ona rzeczywiście wybitnie skomplikowana pod różnymi względami. Zacznę od sytuacji materialnej. Większość dużych uczelni rozrosła się ogromnie pod względem liczby wydziałów, studentów i pracowników w latach 1955—1975. W latach pięćdziesiątych wydzielono z uniwersytetów wydziały lekarskie i rolnicze przekształcając je w odrębne uczelnie. Istniały wówczas imponujące plany rozbudowy, które zrealizowano w pewnym stopniu w niektórych uczelniach (Politechnika Warszawska, Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, Akademia Rolniczo-Techniczna w Olsztynie), w większości natomiast rozbudowa uległa bardzo szybko zahamowaniu (Uniwersytet Jagielloński, SGGW w Warszawie, Akademia Rolnicza w Krakowie), lub na skutek ciągle zmienianych koncepcji nie została w zasadzie rozpoczęta. Przykładem może tu być Uniwersytet Warszawski, w którym zamierzano rozbudowywać poszczególne wydziały umieszczane w różnych dzielnicach Warszawy, nieraz peryferyjnych — co miało również wyźwięk polityczny, a w rezultacie długotrwałych dyskusji zrobiono bardzo niewiele, gdyż przyszedł kryzys i w końcowych latach siedemdziesiątych wstrzymano wszystkie inwestycje dla uczelni wyższych poza kończeniem już zaawansowanych i budową domów studenckich i stołówek. Inaczej rzecz się miała tylko we wspomnianych uprzednio małych wyższych szkołach jedynych w swoich województwach. Stare i duże uczelnie pozostały w swych starych, szacownych siedzibach, których ponadto — nie mogę zrozumieć dlaczego — nie remontowano w ogóle od czasu wojny, a w których (przy starych, nieprzystosowanych instalacjach) pomieścić się musiały i muszą pracownie i laboratoria o zupełnie nowych zadaniach, przeznaczone dla nieraz dziesięciokrotnie wyższej liczby studentów i pracowników — w porównaniu z okresem, w którym były budowane. Toteż sytuacja

lokalowa większości starych uczelni, zwłaszcza krakowskich i warszawskich, jest zgoła tragiczna. Smutnym przykładem może być tutaj biblioteka Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, pracownie anatomiczne Akademii Medycznych w Warszawie i innych miastach, biblioteka i pracownie chemiczne SGGW. Podobnie niedobrze przedstawia się sprawa z aparaturą naukową. Większość jednostek uczelnianych pracuje na aparaturze przestarzałej, która w porównaniu z uczelniami zachodnimi jest na poziomie sprzed 20-30 lat, a w porównaniu z uczelniami węgierskimi lub NRD — 10-15 lat. Brak jest dewiz nie tylko na zakup nowej aparatury, ale nawet na części zamienne do posiadanej; niekiedy nawet z zakupem odczynników są trudności. W tej sytuacji wydawałoby się słuszne zorganizowanie laboratoriów środowiskowych, które pracowałyby na rzecz wszystkich uczelni, na przykład w Warszawie, Krakowie lub Poznaniu. Takie inicjatywy były podejmowane, ich realizacja jest jednak daleka od potrzeb, niejednokrotnie z winy samych uczelni, gdyż ten, któremu udało się zdobyć nowoczesny aparat, przeważnie strzeże go zazdrośnie przed innymi — nawet gdy nie jest w pełni wykorzystany — w obawie przed zepsuciem i brakiem części zamiennych. Bywają jednak i odwrotne, chwalebne przykłady, jest to jednak kropla w morzu potrzeb.

Ograniczenia dewizowe chyba najboleśniej uszczupliły dostęp do literatury naukowej zagranicznej. Doszło do tego, że nie sprowadza się nawet większości tzw. abstraktów — i pracownicy naukowi pozbawieni są możliwości zapoznania się choćby z tytułami światowych prac naukowych, o których odbitki można by poprosić autorów. Jak to się odbija na poziomie prac polskich, nie trzeba nawet pisać.

Prace badawcze w myśl nowej ich organizacji i koordynacji obowiązującej na lata 1986—1990 mają być, poza oczywistym celem głównym, dostarczycielem środków dla uczelni. Rozbieżność zdań między ośrodkami decyzyjnymi sprawiła jednak, że niektóre umowy nie zostały do października 1986 roku podpisane przez koordynatorów, a środki przeznaczone na programy badawcze, koordynowane przez wyższe uczelnie, zostały zmniejszone średnio o 25%. Ostatnio przeczytaliśmy w prasie, że środki na rok 1987 zostały zwiększone o 25% w porównaniu z rokiem obecnym, ale czy to porównanie dotyczy planu na rok 1986, czy też jego realizacji — nie wiadomo. Należy dodać, że wobec postępującej inflacji ta podwyżka nawet w pierwszym przypadku będzie tylko utrzymaniem dotychczasowego poziomu nakładów, a w drugim — obniżeniem.

Mimo tych wszystkich trudności jest prowadzonych w Polsce zaskakująco wiele badań naukowych na poziomie światowym. Ale wiele jest też temacików bardzo wąskich, praktycystycznych, wręcz pozorowanych i szukających odpowiedzi na pytania, na które

odpowiedziano już w wieku XIX. Ale tutaj przyczyn należy szukać raczej w sferze psychicznej — o czym za chwilę.

Dodatkowym utrudnieniem pracy naukowców są ich niskie uposażenia. Ostatnio dość często podwyższa się pensje nauczycieli akademickich, ale ciągle trudno jest dorównać średniej krajowej. Najgorsza jest sytuacja najmłodszych pracowników, gdyż uposażenie podstawowe asystenta wynosiło dotychczas około 13 tys. zł (obecnie 15 tys. zł), a st. asystenta około 14 tys. zł (obecnie 17 tys.). Jeśli miał on 1 dziecko i żonę na urlopie wychowawczym, to utrzymanie trójosobowej rodziny za tę kwotę (do której dodać należy kilka procent dodatku za wystęgę lat) było wręcz niemożliwe. Można co prawda podnieść swe zarobki pracami zleconymi w ramach koordynowanych badań, ale jest to w dużej mierze zależne od operatywności kierownika zakładu lub katedry. Toteż dość często się zdarza — niestety — obecnie, że najbardziej aktywni i najzdolniejsi młodzi pracownicy nauki przechodzą do innej, lepiej płatnej pracy. Dla przykładu podam, że w roku 1985 odeszło w ten sposób z mojej uczelni 16 adiunktów na około 400 zatrudnionych. Z reguły odchodzą nie ci, których chciałoby się pozbyć (leniwi, niezdolni itp.), ale ci, z którymi chciałoby się pracować dalej.

Stan wiedzy oraz poziom kwalifikacji i intelektu nauczycieli akademickich jest bardzo zróżnicowany. Śmiem twierdzić, że najlepsi pod tymi względami są najstarsi i najmłodszy. Najstarsi — to dziś profesorowie, którzy ukończyli studia tuż przed wojną lub w pierwszych latach powojennych, których do pracy w uczelni pociągnęła wyłącznie pasja badawcza i zamiłowanie do pracy pedagogicznej, ukształtowani przez dobre, piękne i wypróbowane wzorce akademickie i swych, nieraz wielkich, mistrzów. Najmłodszy — myślę tu o asystentach i części adiunktów — bo wybrali pracę w uczelni w okresie twórczych niepokojów w Polsce, przyzwyczajający się do samodzielnego myślenia jeszcze przed maturą i na studiach, naprawdę zainteresowani pracą naukową, a nie szukający kariery i pieniędzy, bo to było raczej możliwe do znalezienia gdzie indziej. Naturalnie, nie można generalizować tej opinii, ale mamy obecnie w wyższych uczelniach w Polsce część świetnych adiunktów i asystentów — inteligentnych, zdolnych, zamiłowanych w swej pracy.

Najgorzej — choć i tu uogólnienia byłyby niebezpieczne — przedstawia się sprawa w średnim pokoleniu nauczycieli akademickich. Myślę tutaj o tych adiunktach, którzy od lat 15 lub 20 nie mogą zrobić habilitacji, i o docentach bez habilitacji, mianowanych w pamiętnym dla uczelni roku 1968, których rozwój naukowy skończył się *de facto* wówczas. Jedni z nich — zajęci karierą polityczną — nie mieli czasu, a niejednokrotnie i możliwości intelektualnych na poważną pracę naukową, innych — nie będących działaczami politycznymi — przekonywano, że nie powinni uzyskiwać habilitacji, bo

tak jak i docentami, będą następnie mianowani profesorami, co — jak wiadomo — się nie stało. Ludziom tym zrobiono ówczesną nominacją autentyczną krzywdę. Znam też chwalebne wyjątki: docentów, którzy mimo nominacji spokojnie zakończyli swe rozprawy habilitacyjne, ale są to wyjątki.

Zarówno wśród mianowanych docentów, jak i młodszych profesorów, zwłaszcza w uczelniach technicznych, rolniczych i wyższych szkołach pedagogicznych jest wiele osób, które w swojej pracy zabiegają nie tyle o karierę naukową, co o karierę polityczną i zawodową. Wywodzą się oni przeważnie z dawnych działaczy politycznych organizacji młodzieżowych, którzy zostali przyjęci do pracy w uczelniach w latach sześćdziesiątych i wczesnych siedemdziesiątych z rekomendacji swych starszych kolegów i mentorów, aby tworzyć w środowisku akademickim pożądaną atmosferę i oddziaływać w określonym kierunku na studentów. Tak się — niestety — składa, że rzadko tylko (głównie na uniwersytetach), byli to jednocześnie ludzie bardzo zdolni i o wysokim poziomie intelektualnym. Częściej miała miejsce sytuacja wręcz przeciwna — postawą polityczną nadrabiano braki naukowe. W tym okresie przy rekrutacji młodych nauczycieli akademickich można więc mówić o selekcji negatywnej, którą pogłębiał fakt niskich uposażeń i brak mieszkań, będących do dyspozycji uczelni w dużych miastach. Dało to fatalne skutki w zakresie poziomu badań naukowych w niektórych jednostkach i panującej tam atmosferze.

Tym bardziej dbać należy o naprawę zdolnych młodych adiunktów i asystentów i tym ważniejsze się staje prawidłowe przeprowadzenie oceny nauczycieli akademickich zapowiedzianej na końcowe miesiące roku 1986. Na wiosnę władze ministerialne kładły główny nacisk na kryteria ideologiczno-polityczne w tej ocenie, obecnie (wrzesień-październik 1986) — podobnie jak i w innych dziedzinach, również merytoryczne względy zaczynają nabierać znaczenia. A trzeba sobie zdawać sprawę z wagi tej oceny. Od tego, jakim poziomem wiedzy i jakimi walorami moralnymi będą się legitymować nauczyciele akademicy, zależy nie tylko przyszłość polskiej nauki, ale także postęp naukowy, techniczny i moralny w Polsce XXI wieku.

Uczelnie przeżywały w ostatnich latach wiele wstrząsów. Liczne internowania, zwłaszcza młodszych pracowników nauki, w pierwszym okresie stanu wojennego, nadzieje związane w nową ustawą o szkolnictwie wyższym uchwaloną przez Sejm w 1982 roku, burzliwa zmiana tej ustawy wbrew stanowisku większości środowiska akademickiego w roku 1985. Jednym z podawanych powodów konieczności zmiany ustawy było rzekome zahamowanie rozwoju naukowego młodych pracowników. Liczby mówią co innego. W roku 1984, w okresie działania ustawy z 1982 roku, stopnie naukowe doktora uzyskało 2538 osób, a doktora habilitowanego — 508, w tym

odpowiednio w szkołach wyższych 2213 i 449, a w roku 1982 — a więc były to przewody prowadzone jeszcze przed wejściem w życie nowej ustawy — w szkołach wyższych nadano 2190 stopni doktora i 450 stopni doktora habilitowanego. A przecież zmniejszyła się liczba pracowników jeszcze nie doktoryzowanych i pogorszyły się znacznie warunki pracy naukowej.

Ustawa zmieniona w roku 1985 przyznała rozległe uprawnienia Ministrowi Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Skorzystał on z nich jesienią tegoż roku odwołując ze stanowisk kilku rektorów, kilkunastu prorektorów i kilkudziesięciu dziekanów. Było to tym bardziej bolesne, że dotknęło niejednokrotnie ludzi, którzy przez 4 lata z najwyższą ofiarnością starali się o obronę i uspokojenie swej uczelni. Sprawa ta była szeroko komentowana w Polsce i na świecie i może nie trzeba już o niej przypominać. Jeśli o tym piszę, to dlatego, że sądzę, iż w chwili obecnej — przy dążeniu do porozumienia między społeczeństwem i władzą — warto by może przywrócić środowisku akademickiemu zaufanie, które mu cofnięto zmieniając w zeszłym roku ustawę o szkolnictwie wyższym.

Jednym z najważniejszych elementów wyższych uczelni są oczywiście studenci. Na temat postaw polskiej młodzieży wiele napisano, ale może nie wszyscy zdają sobie sprawę, jak obecnie przedstawia się sytuacja w środowisku studenckim. Trzeba zacząć od tego, że ostatni rocznik, który przeżył okres 1980/1981 na uczelni, ukończył już studia. Burzliwy okres prawie nieskrępowanego działania NZS oraz innych organizacji i klubów, a także późniejsze trudne doświadczenia należą do przeszłości, a jego tradycja nie została chyba przekazana, bo młodzież zamknęła się w sobie i niechętnie mówiła o tym, co było, nawet z młodszymi kolegami. Podobnie było po roku 1968.

Obecnie na uczelnie wyższe przyjmuje się o około 25% mniej młodzieży niż w późnych latach siedemdziesiątych, gdyż ograniczono limity przyjęć, ale i liczba kandydatów na studia także zmalała. Na skutek stosunkowo niskich zarobków młodych absolwentów — w porównaniu z zarobkami młodych robotników wykwalifikowanych, rzemieślników itp. — w społeczeństwie narasta przekonanie, że studia „się nie opłacają”, a kosztowne utrzymanie syna lub córki w kilkuletnim okresie studiowania przekracza możliwości rodziny, zwłaszcza gdy mieszka ona w innej miejscowości niż siedziba uczelni.

Wśród inteligencji nadal na ogół panuje przekonanie, że skoro rodzice posiadają dyplom wyższej uczelni, to powinny go uzyskać również i dzieci, ale wśród robotników i rolników obserwuje się bardzo niebezpieczne wygasanie ambicji edukacyjnych. Chłop polski, którego najwyższą ambicją, już od końca zeszłego stulecia było wykształcenie dzieci, dziś często już rozumuje w ten sposób, że wykształcenie wyższe jest nieopłacalne. Tego rodzaju przekonania w społeczeństwie mogą mieć katastrofalne skutki w przyszłości, tym

bardziej że konsekwencją tego jest fakt, iż na studia decydują się jednostki nie najbardziej zdolne i dynamiczne, ale dość bierne. Oczywiście, przychodzi również część młodzieży bardzo inteligentnej i o wykrystalizowanych zamiłowaniach, ale jest jej chyba mniejszość. Bardzo by się przydały jakieś pogłębione studia psycho-socjologiczne na ten temat. Na razie można przytoczyć tylko liczby: w roku 1982 33% ogółu studentów I roku stanowiły dzieci robotników i 7,2% — rolników, w roku 1984 odpowiednio 31,9 i 6,9%.

Z drugiej strony można powiedzieć, że wskutek tego studenci nie stanowią elity. Postaw i przekonań młodzieży w wieku 19-25 lat, a więc tej, która będzie aktywna zawodowo na początku XXI wieku — nie można generalizować, ale niektóre z nich są charakterystyczne dla większości. Jedną z postaw jest większa samodzielność i niezależność w porównaniu z latami siedemdziesiątymi. Drugą — niechęć, lub może raczej niewiara w skuteczność działania społecznego w obecnych warunkach, a może i w ogóle. Istniejące oficjalnie organizacje młodzieżowe (ZSP i inne) skupiają zaledwie kilka procent studentów, przestały one być organizacjami masowymi, a są uczelnie, w których do partii nie należy ani jeden student. Jednocześnie bardzo trudno jest namówić studentów do pracy w samorządzie, który jeszcze przed paroma laty, przed ostatnią zmianą ustawy, był uważany przez nich — co prawda przez studentów starszych lat — za jedyne autentyczne pole społecznego działania. Dziś padają najczęściej wypowiedzi *nie warto, przecież to nic nie da, i tak nie pozwolą na poważniejszą pracę*. Istnieje wyraźna skłonność do życia w pojedynkę, na swój własny rachunek, studia i uczelnia zaczynają być przedłużeniem postaw istniejących w szkołach średnich, gdzie stosunek do swojej szkoły jest najczęściej obojętny i brak poczucia wspólnoty.

Jest to również bardzo niebezpieczne zjawisko, ale sądzę, że można by je przełamać tworząc właściwe warunki i atmosferę do pracy społecznej.

Wyniki w studiach dzisiejszej młodzieży studenckiej są sprawą złożoną. Dużo się mówi i pisze, że młodzież uzyskuje słabe oceny i że dąży do przedłużania okresu studiów, ale trzeba również zdawać sobie sprawę z tego, że młodzież ta w większości musi dorabiać na studiach, a istniejące spółdzielnie studenckie dają rzeczywiście duże możliwości w tym zakresie, przy czym miesięczne zarobki za pracę wykonywaną za pośrednictwem spółdzielni są niejednokrotnie znacznie wyższe niż uposażenie świeżo upieczonego magistra. Nie ma więc motywacji finansowej terminowego zakończenia studiów. Dopiero od niedawna istnieją bodźce materialne do uzyskiwania wysokich ocen na studiach. Wprowadził je nowy regulamin.

Dużą przeszkodą w dobrym studiowaniu jest także pijaństwo szerzące się u pewnej części młodzieży akademickiej, widoczne zwłaszcza w domach studenckich. Jest to poważny problem,

korespondujący ze wspomnianym brakiem zainteresowania pracą społeczną. Dotychczasowe przeciwdziałania nie okazały się skuteczne. Nie ma natomiast wśród studentów problemu narkomanii. Dzieje się tak dlatego, że zjawisko to rozpoczyna się w szkole średniej i młodzież uzależniona od narkotyków przeważnie nie dochodzi do matury, a tym bardziej nie jest w stanie startować do studiów wyższych. Wśród studentów narkomani należą do wyjątków.

Mimo podanych wcześniej zastrzeżeń, uważam, że polska młodzież akademicka jest w swej większości zdrowa moralnie i zdolna do przyjęcia wyższych ideałów. Dowodem tego jest choćby masowy udział studentów warszawskich w pielgrzymkach na Jasną Górę i duże zainteresowanie pracą w duszpasterstwie akademickim.

Maria J. RADOMSKA

Małgorzata Ciesielczyk

MARKSIZM A TEOLOGIA WYZWOLENIA

Nędza, ucisk i niesprawiedliwość społeczna stanowiły zawsze podatny grunt dla teorii stworzonej przez Karola Marksa. Z taką sytuacją, nacechowaną wyzyskiem człowieka przez człowieka, mamy do czynienia w Ameryce Łacińskiej, gdzie prowadzą swą działalność głównie teoretycy teologii wyzwolenia.

Marxizm przedstawiany jako teoria rzekomo wyjaśniająca mechanizmy przyswajania i wskazująca sposoby jego przezwyciężenia okazał się dla teologów wyzwolenia szczególnie atrakcyjny. W doktrynie marksistowskiej widzą oni najskuteczniejszy instrument analizy społecznej. „Przyswojenie sobie marksizmu stanowiącego efektywną metodę analizy rzeczywistości społecznej — czytamy w dokumencie końcowym Pierwszego Latinoamerykańskiego Kongresu «Chrześcijaństwo na rzecz socjalizmu» (Santiago de Chile 1972) — uświadomi ludziom konieczność przejęcia władzy przez robotników. Tylko taka władza umożliwi budowę autentycznego socjalizmu, który jak dotąd *jest jedynym znanym środkiem prowadzącym do totalnego wyzwolenia*”¹ (podkr. M. C.).

Czyż jednak tak chętnie używane przez Marksa kategorie, jak walka klas, rewolucja, socjalizm dadzą się pogodzić z chrześcijańskim światopoglądem? Choć negatywna odpowiedź na to pytanie jest dość oczywista, to jednak pojęcia ideologii marksistowskiej znajdują w teologii wyzwolenia szerokie zastosowanie. Przyjrzyjmy się zatem temu kontrowersyjnemu aliansowi nieco bliżej. Przedmiotem naszego zainteresowania będzie jedynie materializm historyczny, gdyż tylko ten — jak pisze Clodovis Boff w swej książce *Teologia i praktyka* — jest dla teologów wyzwolenia do przyjęcia: „[...] wewnątrz marksistowskiej budowy przeprowadzić musimy zdecydowaną linię demarkacyjną pomiędzy jej aspektem *filozoficznym* (materializm dialektyczny), który z powodu swego redukcjonistycznego i dyktatorskiego charakteru nie może zostać zaakceptowany, i aspektem *naukowym* (materializm historyczny), który jako metoda analizy społeczeństwa

i historii jest zasadniczo słuszny”.² Czy podział taki jest w ogóle możliwy i czy rzeczywiście materializm historyczny jest mniej apodyktyczny od dialektycznego?

Wyzysk i pauperyzacja

Jedną z najważniejszych kategorii marksistowskiej analizy społecznej jest „wyzysk”. Według Marksa jest on główną cechą systemu kapitalistycznego. Pracodawca płaci robotnikowi jedynie tyle, ile niezbędne jest, aby utrzymać go przy życiu. Wartość dodatkowa, która powstaje w wyniku tego wyzysku, jest źródłem bogactwa kapitalisty i zarazem biedy robotnika. „[...] położenie robotnika — czytamy w *Kapitale* — niezależnie od jego wysokich czy niskich zarobków musi się pogarszać proporcjonalnie do stopnia akumulacji nędzy”.³ „Robotnik staje się tym biedniejszy, im więcej bogactwa produkuje”.⁴ Podobnie jak Marks, także główni teologowie wyzwolenia widzą w kapitalistycznym systemie produkcji „obiektywną podstawę” niesprawiedliwości społecznej. „Logika gospodarki kapitalistycznej prowadzi do tego, iż w tym samym czasie, gdy nieliczni stają się coraz bogatsi, zdecydowana większość nieustannie ubożeje” — pisze czołowy teoretyk teologii wyzwolenia Gustavo Gutiérrez.⁵ O nieprawdziwości tej tezy mógł się przekonać jeszcze sam Marks. Już w drugiej połowie XIX wieku istniała wystarczająca ilość dowodów wskazujących, iż położenie robotników powoli ulega poprawie. Jednakże Marks faktów tych nie przyjął do wiadomości, ponieważ przeczyły one jego teorii permanentnego ubożenia klasy robotniczej. W pierwszym wydaniu *Kapitału* (1867) uwzględnił on różne dane statystyczne do 1865, względnie 1866 roku, jak na przykład sprawozdania o stanie zdrowia ludności (do 1865), sprawozdania inspektorów fabrycznych (z 1866). Nie podał natomiast żadnych danych dotyczących płac w Anglii po 1850 roku. W następnym wydaniu *Kapitału* zaktualizował wszystkie statystyki z wyjątkiem danych dotyczących płac robotniczych. Przyczyny tej luki należy się zapewne dopatrywać w fakcie, iż wzrost zarobków, który miał miejsce po 1850 roku, przemawiał przeciw marksowskiej teorii pauperyzacji. Także i dzisiaj nie brakuje przykładów, które jednoznacznie wskazują na to, iż nie można mówić o ubożeniu robotników jako „logicznej konsekwencji kapitalizmu”. Kraje Europy Zachodniej są najwymowniejszym tego przykładem. Nie znaczy to jednak, że zjawisko to w ogóle nie istnieje. Nigdzie nie występuje ono wyraźniej, jak właśnie w socjalistycznych państwach Europy Wschodniej. Nie mniej wymowny jest przykład Nikaragui, gdzie po przejęciu władzy przez Sandynistów w 1979 roku realny dochód robotnika obniżył się do 1/4 stanu przedrewolucyjnego. Płace zostały co prawda podniesione pięciokrotnie, ale ceny w tym samym czasie wzrosły

dwudziestokrotnie.⁶ (Dane te nie dotyczą naturalnie nomenklatury, która jest także nieodłącznym elementem socjalizmu w wydaniu nikaraguańskim). Martin Kriele — autor znakomitej książki *Nikaragua — krwawiące serce Ameryki* — sytuację panującą w państwie mającym być „wzorem” dla całej Ameryki Łacińskiej podsumował następująco: „Polityczna sytuacja ludzi jest równie zła jak za czasów Somozy, ekonomiczna natomiast o wiele gorsza”.⁷

Własność prywatna

Tym, co czyni kapitalistyczny system produkcji „tak nie-ludzkim”, ma być — według Marksa — własność prywatna. To właśnie w instytucji własności prywatnej dopatrywał się autor *Kapitału* przyczyn wszelkiego zła społecznego. Najjaskrawiej ma się to przejawiać w kapitalizmie, w którym prawo prywatnej własności dla kapitalisty znaczy prawo przywłaszczania sobie wartości wytwarzanych przez innych, dla robotnika natomiast — niemożność przyswojenia sobie owoców własnej pracy. Jedynie zniesienie własności prywatnej jest w stanie zlikwidować zjawisko alienacji pracy i tym samym zmienić położenie klasy robotniczej. „To właśnie własność prywatna sprawiła, iż człowiek nie potrafi dostrzec jedności jednostki i gatunku (czytaj: społeczeństwa — przyp. M. C.). Dlatego też własność prywatna musi zostać zniesiona. [...] Pozytywne zniesienie własności prywatnej [...] oznacza [...] pozytywne zniesienie wszelkiej alienacji...” — pisze Marks.⁸

Także i w tym punkcie teologia wyzwolenia nie odbiega zasadniczo od marksizmu. Gdy np. Gustavo Gutiérrez pisze o prywatnej własności, powołuje się na autora *Kapitału*.⁹ W „Teologii wyzwolenia” pisze natomiast: „Trudności [...] w pogodzeniu sprawiedliwości z własnością prywatną przekonały wielu o tym, że prywatna własność środków produkcji rzeczywiście prowadzi do powstania różnicy pomiędzy kapitałem a pracą, do przewagi kapitału nad robotnikiem i do wyzysku człowieka przez człowieka... Historia prywatnej własności środków produkcji ukazuje wyraźnie konieczność jej zniesienia lub złożenia jej na ołtarzu dobra ogólnego. A zatem musimy się opowiedzieć za *społeczną własnością* środków produkcji”.¹⁰ Także w końcowym dokumencie Pierwszego Latinoamerykańskiego Kongresu „Chrześcijanie na rzecz socjalizmu” czytamy: „Tylko wówczas, gdy prywatna własność środków produkcji zostanie przeobrażona we własność społeczną, mogą powstać obiektywne warunki przezwyciężenia antagonizmów klasowych”.¹¹

Zarówno Marks jak i teologowie wyzwolenia w zniesieniu własności prywatnej upatrują środek, który miałby rozwiązać problem wyzysku. Lecz jak dowiodła już tego praktyka, zniesienie prywatnej własności środków produkcji nie tylko nie likwiduje

wyzysku, ale prowadzi wręcz do jego maksymalizacji. Kolektywizm sprawia, że człowiek jest skazany całkowicie na państwo i w pełni od niego zależy. To, co teoretycznie ma być własnością wszystkich, przechodzi w posiadanie nowych właścicieli, którzy tworzą nową klasę, by pozostać przy terminologii Marksa. Myśl tę wyraził Jan Paweł II, gdy pisał: „Wypada [...] zauważyć, że proste odebranie owych środków produkcji (kapitału) z rąk prywatnych właścicieli, nie jest wystarczające do ich uspołecznienia w sposób zadowalający. Środki te przestają być prywatną własnością pewnej grupy społecznej — właśnie owych prywatnych posiadaczy, aby stać się własnością zorganizowanego społeczeństwa i podlegać pod bezpośredni zarząd i wpływ pewnej grupy osób — tych mianowicie, którzy mimo że ich nie posiadają na własność, lecz sprawują władzę w społeczeństwie, dysponują nimi na skalę gospodarki całego społeczeństwa lub też w skali bardziej lokalnej. [...] Tak więc samo przejęcie środków produkcji na własność przez państwo o ustroju kolektywistycznym nie jest jeszcze równoznaczne z «uspołecznieniem» tejże własności”.¹²

Marksowska analiza prywatnej własności jest sprzeczna także z naturą człowieka. Widząc w prywatnej własności przyczynę wszelkiego zła (dla teologów wyzwolenia prywatna własność jest główną przyczyną „grzechu społecznego”), pozbawia człowieka odpowiedzialności osobistej. W ten to sposób Marks, a za nim teologowie wyzwolenia, dokonali depersonalizacji zła i winy oraz ich instytucjonalizacji, a zatem „rozgrzeszenia” człowieka — jak to trafnie zauważył Walter Bienert.¹³ Człowiekowi w jego wolności przysługuje nie tylko prawo wyboru pomiędzy dobrem a złem, lecz także prawo do odpowiedzialności za dokonany wybór. I żadna teologia, a tym bardziej ideologia nie jest w stanie prawa tego go pozbawić. „Sytuacja — podobnie jak instytucja, struktura, społeczeństwo — nie jest sama w sobie przedmiotem aktu moralnego, dlatego też sama w sobie nie może być moralnie dobra czy zła. Za każdą *sytuacją grzechu* stoją zawsze grzeszni ludzie” — pisał Jan Paweł II.¹⁴

Walka klas

Rezultatem istnienia prywatnej własności środków produkcji jest według Marksa powstanie społeczeństw klasowych. Stosunki między poszczególnymi klasami mają charakter antagonistyczny. Diametralnie różne interesy poszczególnych klas prowadzą nieuchronnie do walki pomiędzy „wyzyskiwaczami” i „wyzyskiwanymi”. „Historia wszystkich dotychczasowych społeczeństw jest historią walk klasowych” — czytamy w *Manifeście komunistycznym*. Podobne twierdzenia formułują także teologowie wyzwolenia, dla których walka klas stanowi decydujący i nieodłączny element historii ludzkości. „Historyczny rozwój społeczeństw klasowych i rządów imperialistycznych

nieuchronnie prowadzi do walki klas” — stwierdzają chilijscy księża. „Chociaż konflikt ten z każdym dniem jest coraz bardziej widoczny, ciemieńczy zaprzeczają jego istnieniu. Jednakże klasy wyzyskiwane dostrzegają go coraz wyraźniej i krok za krokiem rozwijają nową rewolucyjną świadomość”.¹⁵ Gutiérrez natomiast twierdzi, iż „Walka klas jest faktem i neutralność w tym względzie jest po prostu niemożliwa. Walka klas jest faktycznie częścią naszej gospodarczej, społecznej, politycznej i *religijnej* (podkr. M. C.) rzeczywistości [...]. Kto temu przeczy, opowiada się po stronie kół rządzących [...]. Problem nie polega na tym, by zaprzeczać czy uznawać istnienie faktu, który leży jak na dłoni, lecz na tym, by wiedzieć, po czyjej jest się stronie”.¹⁶ W innym miejscu czytamy natomiast: „Walka klas nie jest produktem rozgorączkowanych umysłów, lecz produktem tego sytemu” (ozn. kapitalizmu — M. C.).¹⁷

Jeśliby nawet przyjąć tezę o klasowym charakterze społeczeństw, to nie sposób jednakże nie zauważyć, iż klasy powstają nie tylko w kapitalizmie i nie wyłącznie w wyniku nierównych stosunków do środków produkcji, lecz także w innych, postkapitalistycznych systemach oraz innych sferach życia społecznego (na przykład w obrębie polityki czy kształtowania świadomości).¹⁸ A zatem także w socjalizmie (a raczej przede wszystkim) mamy do czynienia z „ciemieźcami” i „ciemieźzonymi”, „wyzyskiwaczami” i „wyzyskiwanymi” — by posłużyć się terminologią marksowską. Teologowie wyzwolenia marząc o humanitarnym, demokratycznym socjalizmie nie chcą dostrzec, iż w praktyce socjalizm oznacza koncentrację ucisku politycznego, ekonomicznego i ideologicznego.¹⁹

Rewolucja

Według Marksa walka klas prowadzi nieuchronnie do dyktatury proletariatu. Rozwiązanie problemu wyzysku może przynieść jedynie rewolucja, nie zaś reforma systemu społeczno-politycznego. „Nie chodzi nam o zmianę charakteru własności prywatnej, lecz o jej zniesienie, nie o łagodzenie sprzeczności klasowych, lecz o zniesienie klas, nie o ulepszenie istniejącego społeczeństwa, lecz o stworzenie nowego”.²⁰

W tym samym duchu utrzymane są sformułowania Gutiérreza: „W poszukiwaniach właściwej drogi biedni chcą sięgać do korzeni biedy i niesprawiedliwości społecznej, która panuje zarówno w Ameryce Łacińskiej, jak i w innych częściach świata. Dlatego też nie reformy, które są w stanie sytuację jedynie złagodzić, lecz rewolucja stanowi właściwe rozwiązanie. Wyzwolenie, a nie ideologia przemian, socjalizm, a nie ulepszenie panującego systemu jest naszym celem”.²¹

W tym miejscu rodzi się jednak zasadnicze pytanie — czy teoria walki klas i rewolucji daje się w ogóle pogodzić z Ewangelią?!

Teologowie wyzwolenia posługują się ideologią marksistowską (szczególnie teorią walki klas) nie tylko w celu analizy społeczeństwa. Elementy walki klas wprowadzają oni także do Kościoła, gdy wiernych dzielą na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Linia demarkacyjna biegnie „...nie pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi, lecz między ciemiężcami i ciemiężonymi”.²²

„Bóg bogatych” to nie ten sam Bóg co „Bóg biednych”, ponieważ „ciemiężcy w ostatecznym rozrachunku nie wierzą w Boga objawionego w Biblii”.²³

Czy wystarczy jednak tego rodzaju stwierdzenie, by „wielkich tego świata” — jak to wyraził Gutiérrez — pozbawić Biblii? „Biedni odbiorą wielkim tego świata Biblię — pisze on — by uniemożliwić im używanie jej do usprawiedliwienia sytuacji, która przeczy woli Boga wyzwoliciela. [...] Biblia musi powrócić do rąk społeczności Chrystusowej, która wierzy i w Bogu, objawiającym się w Biblii, pokłada nadzieję”.²⁴

Czyżby „przekłęci tej ziemi” — by użyć słów Gutiérreza — chcieli przekląć innych i poświęcić ich na ołtarzu wyzwolenia? Czyż to nie tym właśnie, którzy w ciemnościach błądzą, Biblia jest potrzebna najbardziej? Czyżże to Bóg, który mówi: „Powiadam wam: tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawrócił, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia” (Łk 15,7). Jakże pogodzić walkę klas z nakazem miłowania nieprzyjaciół?

Odpowiedź, jaką na to pytanie dają teologowie wyzwolenia, ma charakter dialektyczny. „Miłość uniwersalna zabiega raczej o to, by solidaryzując się z uciskanymi, uwolnić także ciemiężycieli od ich władzy, ich ambicji, ich egoizmu. [...] My miłujemy ciemiężycieli przez to, iż uwalniamy ich od nich samych... Ale to wymaga zdecydowanego ujęcia się za uciskanymi, a co za tym idzie, walki przeciwko klasie ciemiężycieli”.²⁵ Słowa te pochodzą od jednego z najbardziej znanych teologów wyzwolenia — Gutiérreza. W tym samym duchu wypowiedział się J. Girardi: „Miłość do ciemiężonych okazujemy przez to, że ich wyzwalamy, do ciemiężycieli przez to, że ich *zwalczamy*”²⁶ (podkr. M. C.). Także i ten motyw ma swe korzenie w marksizmie. Przypisując proletariatu mesjanistyczną rolę, Marks twierdził, iż jego wyzwolenie przyniesie szczęście wszystkim innym klasom i grupom, a zatem także „wyzyskiwaczom”.

Marksowska koncepcja rewolucji ma swe korzenie w heglizmie. Dla Hegla jednakże rewolucja oznaczała zmianę świadomości samego człowieka. Dla Marksa natomiast jest to brutalny proces gwałtu i przemocy.

Teologowie wyzwolenia głoszą co prawda postulat rewolucji bez nienawiści, lecz przy jednoczesnym odrzuceniu reform zdaje się on być jedynie teoretyczną deklaracją.

Socjalizm

Zarówno dla Marksa jak i dla teologów wyzwolenia socjalizm stanowi jedyne możliwe rozwiązanie problemu wyzysku. Zniesienie prywatnej własności środków produkcji ma rzekomo doprowadzić do powstania systemu sprawiedliwości społecznej. Twierdzenie to zdaje się być szczególnie atrakcyjne dla teologii wyzwolenia. „Socjalizm — pisze grupa księży z parafii uniwersyteckiej w Santiago — [...] w wyniku zmian w stosunkach produkcji oferuje zasadniczą szansę równości, szanuje godność pracy [...]. Socjalizm gwarantuje całociśowy rozwój kraju dla dobra wszystkich, zwłaszcza zaś dla oszukanych, a także ceni motywacje moralne, które ponad interesy indywidualne wynoszą solidarność zbiorową itd.”²⁷ Natomiast „Chrześcijanie na rzecz socjalizmu” wybór swój motywują następująco: „Angażujemy się w budowę socjalizmu, gdyż istnienie i konieczność tego systemu uzasadnione są obiektywnie przez jego *historyczne doświadczenia* (podkr. M. C.), dlatego iż po przeprowadzeniu gruntownej analizy naukowej, w socjalizmie widzimy jedyną możliwość zwalczania imperializmu i uzyskania przez nas niezależności”²⁸ Nie precyzują oni, jakież to „doświadczenie historyczne” mają na myśli. Nieco jaśniej wypowiedział się na ten temat Camilio Torrez — boliwijski ksiądz rewolucjonista, który będąc bardziej ideologiem niż teologiem, wywarł ogromny wpływ na teologię wyzwolenia. W swej książce „Rewolucja zadaniem chrześcijanina” pisze: „Polska jest przykładem na to, jak można zbudować socjalizm bez jednoczesnego zatracenia istoty chrześcijaństwa”²⁹

„Gruntowna analiza naukowa” nie pozwoliła chrześcijańskim zwolennikom socjalizmu dostrzec, iż „nie zniósł on wyzysku, lecz jedynie zmienił jego charakter” (J. Tischner). Nie dostrzegli oni lub dostrzec nie chcieli, iż — jak pokazuje i uczy dotychczasowe doświadczenie historyczne³⁰ — żadna rewolucja nie przyniosła ze sobą wolności, równości czy sprawiedliwości społecznej, lecz co najwyżej zmianę aparatu władzy. Zmiana systemu politycznego na drodze rewolucji nie jest jednoznaczna z wyzwoleniem człowieka. Myśl tę wyraził Jan Paweł II w Brazylii, gdy powiedział: „[...] można zmienić struktury polityczne czy system społeczny, lecz bez przemiany serc i świadomości osiągnięcie sprawiedliwego i stabilnego systemu politycznego jest niemożliwe”³¹

Marksizm stanowi podstawę teoretyczną systemu, w którym człowiek pełni jedynie rolę instrumentu. Proponuje on krwawą rewolucję, lecz nie wyzwolenie, zniesienie własności prywatnej, lecz nie likwidację wyzysku. „Socjalizm — pisze J. Tischner — nie tylko nie rozwiązał zagadnienia pojętego w dawnym sensie, ale również sam stał się źródłem nowych form wyzysku człowieka przez człowieka — wyzysku, który mniej jest wyzyskiem «ekonomicznym», a bardziej

«moralnym». [...] Jeżeli klasyczna forma wyzysku dotyczy przede wszystkim pracy człowieka i polega na manipulowaniu jej owocami, to nowa forma jest wprost manipulacją samym człowiekiem, jego stosunkiem do ludzi i do samego siebie”.³² Nie bez powodu Karl Popper nazwał Marksa „fałszywym prorokiem”.³³

Teoria Marksa, która umożliwiła powstanie systemu stalinowskiego, nie da się w żaden sposób pogodzić z etyką chrześcijańską. Z faktu, iż jest to teoria „niebezpieczna”, zdają sobie również sprawę główni przedstawiciele teologii wyzwolenia — Clodovis i Leonardo Boff, gdy piszą: „Z pewnością marksizm jest niebezpieczny, ale jednocześnie niezwykle pożyteczny, przede wszystkim ze względu na zrozumienie rzeczywistości społecznej, szczególnie problemu wyzysku i biedy oraz metod ich przewyciężenia. Nie ma potrzeby rezygnować z użycia jakiegoś instrumentu czy narzędzia tylko dlatego, że jest ono niebezpieczne, tym bardziej, gdy nie dysponujemy *żadnym lepszym* (podkr. M. C.) [...]. Jeśli tylko zachowany jest właściwy kierunek, nie ma potrzeby przejmować się zakrętami, które przyjdzie nam po drodze pokonać”.³⁴ Jakże blisko już od tego rodzaju stwierdzenia do nie mającej przeciw z chrześcijaństwem nic wspólnego zasady — „cel uświęca środki”, a stąd już tylko jeden krok do zastąpienia Boga bożkiem rewolucji. Że nie jest to jedynie niebezpieczeństwo teoretyczne, świadczy wypowiedź nikaraguańskiego księdza-ministra, który w jednym z wywiadów powiedział: „To, czy młodzież jest wierząca czy nie, nie ma większego znaczenia. Wydaje mi się, iż znaczenie istotniejsze jest to, by była ona *rewolucyjna*”³⁵ (podkr. M. C.).

Tragiczna sytuacja panująca w większości krajów „Trzeciego Świata” wymaga natychmiastowego działania, lecz teologia wyzwolenia proponuje fałszywe rozwiązania. Przejęła ona od marksizmu jego podstawowe tezy, które — mając czysto ideologiczny charakter — mistyfikują rzeczywistość. Pomimo tak wielu tego dowodów ideologia stworzona przez Karola Marksa wciąż jeszcze rozbudza fałszywe nadzieje i iluzje stając się często — jak to trafnie zauważył Raymond Aron — „opium dla intelektualistów”.

Małgorzata CIESIELCZYK
 Monachium, wrzesień 1986

PRZYPISY

1. Cyt. za: NORBERT GREINACHER, *Konflikt um die Theologie der Befreiung*, Zürich 1985, s. 69.
2. C. BOFF, *Theologie und Praxis*, München-Mainz 1983, s. 110.
3. K. MARX, *Kapital I*, w: MEW, T. 23, s. 674.
4. K. MARX, *Ökonomisch-philosophische Manuskripte*, Leipzig 1970, s. 151.
5. G. GUTTIÉRREZ, *Die historische Macht der Armen*, München-Mainz 1984, s. 33.
6. MARTIN KRIELE, *Nicaragua — Das blutende Herz Amerikas*, Münchens-Zürich 1986, s. 21.
7. Tamże, s. 152.
8. K. MARKS, *Die deutsche Ideologie*, Berlin 1960, s. 76 i *Nationalökonomie und Philosophie*, w: *Frühschriften*, Stuttgart 1964, s. 545—546.
9. G. GUTTIÉRREZ, *Die historische Macht der Armen*, s. 134.
10. G. GUTTIÉRREZ, *Theologie der Befreiung*, München-Mainz 1873, s. 109.
11. Cyt. za: N. GREINACHER, *Konflikt um die Theologie der Befreiung*, s. 34.
12. JAN PAWEŁ II, Encyklika *Laborem exercens*, Warszawa 1982, s. 44.
13. W. BIENERT, *Über Marx hinaus zu wahren Menschsein*, Frankfurt/M. 1979, s. 44.
14. JAN PAWEŁ II, *Apostolisches Schreiben im Anschluß an die Bischofssynode Reconciliatio et Paenitentia*, Bonn 1984, s. 31.
15. N. GREINACHER, *Konflikt um die Theologie der Befreiung*, s. 72.
16. G. GUTTIÉRREZ, *Theologie der Befreiung*, s. 260.
17. Tamże, s. 162.
18. MAREK CIESIELCZYK, *Komunizm jako najwyższy stopień totalitaryzmu*, *Kultura* Nr 4/451, 1985, Paryż.
19. MAREK CIESIELCZYK, *Leszek Nowaks nicht-marxistischer Materialismus*, w: *Osteuropa* nr 11/12, 1984, s. 948—954.
20. Cyt. za: *Ausgewählte Schriften*, Berlin 1968, t. 1, s. 102.
21. G. GUTTIÉRREZ, *Die historische Macht der Armen*, s. 156.
22. Tamże, s. 152.
23. Tamże, s. 175.
24. G. GUTTIÉRREZ, *Die Historische Macht der Armen*, s. 180.
25. G. GUTTIÉRREZ, *Theologie der Befreiung*, s. 263.
26. Tamże.
27. G. GUTTIÉRREZ, *Theologie der Befreiung*, s. 110.
28. N. GREINACHER, *Konflikt um die Theologie der Befreiung*, s. 65.
29. CAMILIO TORREZ, *Revolution als Aufgabe des Christen*, Mainz 1969, s. 31.
30. MAŁGORZATA CIESIELCZYK, *Ethik der polnischen unabhängigen Gewerkschaft „Solidarność“*, w: *Renovatio* nr 3, wrzesień 1986, Köln, s. 187 i n.
31. *Predikten und Ansprachen von Papst Johannes Paul II bei seiner Reise nach Brasilien*, Bonn 1980, s. 82.
32. JÓZEF TISCHNER, *Polski kształt dialogu*, Krąg, Warszawa 1981, s. 37.
33. K. POPPER, *Die offene Gesellschaft und ihre Feinde*. T. 2: *Falsche Propheten — Hegel, Marx und die Folgen*, Bern 1958.
34. N. GREINACHER, *Konflikt um die Theologie der Befreiung*, s. 181, 183.
35. Wywiad z Ernesto Cardenal w: *Abendzeitung*, 9—10 listopada 1985.

Z literatury czasów dzisiejszych

Juliusz Żuławski

PRZYDŁUGA TERAŹNIEJSZOŚĆ (Z cyklu esejów pod tym tytułem)

Ukształtowani w czasie przeszłym — pławimy się w terażniejszości. Ale jej granice nie dla wszystkich są takie same. Niedawno w *Zapiskach* Tatarkiewicza znalazłem wytłumaczenie i potwierdzenie swoich własnych uporczywych odczuć, które dziwiły mnie już od wielu lat. Mówi on tam, że bez względu na długość przeżytego czasu „przeszłość skończyła się z wojną, przyszłość zaczyna się jutro, a wszystko to, co jest między nimi, to terażniejszość”. I pewnie dlatego trudno by mi było ująć tę terażniejszość w jakichkolwiek uporządkowanych wspomnieniach, bo właśnie trwa ona ciągle — ciągle aktualna — choć minęło już parę dziesiątków lat niespokojnego życia.

Pewnie, że zrazu bardziej rzeško wstawałem rankiem niż dzisiaj. I że zmieniał się z dekady na dekadę rodzaj moich emocji. I że zmieniał się mój stosunek do wydarzeń. Że zanim — po gorzkim rozczarowaniu powojennym rozkładem mego przedwojennego świata i naiwnym szukaniu jakiegoś alternatywnego „nowego ładu” — zdołałem już po kilku latach pouczających doświadczeń odzyskać samego siebie, swoją zwykłą niezależność wewnętrzną i przytomność umysłu, zdarzało mi się popełniać niebaczny piórem sprzeniewierzenia, które do dziś budzą we mnie zgrozę. Ale wszystko to w sumie jedna, inna już całość, a jej uporządkowanie chronologiczne byłoby raczej pracą kronikarską niż osobistym odzyskaniem uroków bardzo dawnego, prawdziwie własnego czasu.

Cechą terażniejszości jest to, że w jej ramach nic się nie dzieje takiego, co odsuwałoby jakąkolwiek sprawę w zamkniętą już przeszłość. Stan rzeczy trwa. I chodzi o to tylko, jak się pod jego brzemieniem zachować. Żyjemy przecież wśród ruin przyrodzonego wyobra-

żenia o porządku świata. Chociaż od czasu do czasu tu i ówdzie spod gruzów jakaś niezadekretowana nadzieja niepostrzeżenie rozkwita.

Wydarzenia owej przydługiej terażniejszości aż za dobrze znamy. Nie warto wylizywać ich pozornie różnych form wynikających ciągle z raz narzuconej treści. Zresztą wydarzenia nikogo w niczym nie usprawiedliwiają. Bo każdy odpowiada za samego siebie także i wtedy, gdy przymusowe okoliczności — niby zmienne ciśnienie atmosferyczne — nadchodzą z wysoka i nie sposób stanu rzeczy odwrócić. Bywa zbyt niedosiężny. A własne powszednie sprawy i ich jawny czy ukryty sens mamy przynajmniej pod ręką.

Któregoś sierpniowego dnia, kiedy upalna i nieco opustoszała Warszawa jak gdyby mnie odmłodziła i pozwoliła na krótko zbagatelizować niewesołe myśli, wybrałam się odwiedzić kogoś, kogo nie widziałam już od bardzo dawna. Ale nie tyle osoba mnie pociągała, co jej od zamierzczłych czasów niezmienny adres. Było to w okolicach Mokotowskiej i Wilczej, na tym jednym z niewielu zachowanych jeszcze obszarów miasta mojej młodości. Stara jak ja, obszarpana, kilkupiętrowa kamienica z ponurym podwórkiem. I równie stara, ciężka, secesyjna winda. Otwarłam ją płaskim, z lekka wypukłym kluczem. Bo taki klucz, na ogół dziś niepotrzebny, noszę zawsze przy sobie, jak gdybym potajemnie wierzył, że może wróci coś, co nie wróci. Otwarłam, ale światło wewnątrz nie zapaliło się, widocznie zepsute jak prawie każda rzecz w tym kraju. Jednakże winda po naciśnięciu najwyższego guzika ruszyła powoli z ociężałym chrzęstem. A wtedy — przyzwyczajwszy oko do ciemności — zauważyłem, że nie jestem sam. Zapewne ktoś wszedł tuż przede mną, chociaż wydało mi się to dość dziwne. Coraz wyraźniej wyłaniał się kontur postaci, jaśniejszy zarys twarzy. Co więcej, musiał być to niewątpliwie ktoś dobrze mi znajomy. Ale skąd? Z gimnazjum? Z wojska? Albo spotkany przedwczoraj? Jedno wiedziałam na pewno już od pierwszej chwili: był to ktoś zdecydowanie mi nieprzyjazny i moją nieprzyjaźń budzący. Sunęliśmy w tym mroku wzwyż patrząc na siebie bez słowa. Aż winda zatrzymała się wreszcie i czujnie napięty otworzyłem drzwi. Wtargnęło światło dnia i odsoniło pustkę. Chociaż niezupełnie: we wnętrzu windy jedną jej ścianę stanowiło jaśniejące lustro.

Zdarzają się przygody, w których odnajdujemy potem jakiś sens symboliczny. Ale częściej takie, w których dochodzi do ostrej konfrontacji instynktownego przekonania z wykoncypowaną drogą rozsądku. Albo nagłej emocji z opanowaniem jej. Czy zwycięstwo rozsądku i opanowania zapewnia zadowolenie z siebie? Nie zawsze. I co jest bardziej prawdziwe? Pochylamy się nad życiem — swoim i cudzym — jak nad zmacaną studnią. Czy jej przejrzystość powróci?

Niełatwo pisać o terażniejszości, jeżeli — ostentacyjnie pomijając jej znane wydarzenia i z góry zaprojektowany wizerunek — usiłuje się ująć ją jako osobiście przeżywaną całość, jako osobistą

przygodę. Początkiem tej mojej terazniejszości jest tłumiona zwycięzną energią życiową świadomość nieszczęścia. Po wczesnym powrocie z pięcioletniego pobytu za drutami „Oflagu” badam grunt pod stopą jak pogorzelec. Ale pogorzelec pełen jeszcze wiary w niezniszczalną młodość. Z prawie nie naruszonej wojną Łodzi — gdzie zgromadziły się wszelkie możliwe wybryki odprężonej egzystencji, wszelkie chybione koncepcje i zbiorowe złudzenie — jeżdżę niemal codziennie na zatłoczonych platformach samochodów ciężarowych w sam środek rozległego rumowiska Warszawy. Surrealistycznie powykęcane szkielety żelbetonowych gmachów sterczą tu ponad długimi szeregiem starych, do parteru zburzonych kamienic. Wśród resztek ich murów znajduję niezliczoną ilość bliskich mi, przedwojennych śladów. Podziurawione szyldy znajomych sklepów, warsztatów, barów. Ale wszystko tu już ożywione narastającym tłumem powracających ludzi, których instynkt nakazuje żyć dalej. Sprzątają więc wokół swoich dawnych siedzib, reperują witryny i odrzwia, nakrywają kawałkami papy parterowe sufity, otwierają szewskie czy krawieckie pracownie, doskonałe jadłodajnie, a także rozbrzmiewające muzyką i piosenką kawiarnie. Nie szukają przy tym żadnych nowych wzorów — bo jedynym wzorem jest tu tradycja warszawska, niezatarty w pamięci obraz przedwojennej Warszawy, który lekceważy i zwycięża rzeczywistość ruin. Toteż zrozumieć trzeba, że każda w tym odgórnie zorganizowaną pomoc witano entuzjastycznie, nie myśląc jeszcze zbyt konkretnie o jej biurokratycznych skutkach. Po prostu chciano z uporem mieć znowu swoją Warszawę. Taką, jak istniała w ciągle żywej wizji warszawiaków.

Wraz ze zmiennymi pomysłami władz administracyjnych stawała się jednak inna. Ale nie od razu. Dobrze kilka lat minęło, zanim bezsensownie rozrzucono w nie skoordynowaną przestrzeń normalnie dawniej zamknięte prostokąty placów, zanim zasłonięto ciężkimi fasadami perspektywą na smukłe wieże kościoła Zbawiciela, zanim wystylizowano elewacje na Nowym Świecie pozostawiając wnętrza kamienic w stanie postępującej korozji i butwienia, zanim autorytarnie wyznaczono na użytek „kawiarnianych spotkań” jakieś nowo wzniesione w obcym stylu lokale, do których nikt nie był przyzwyczajony i żaden z prawdziwych warszawiaków nie zaglądał. Ale to wszystko później. Na razie poprzez pagóry gruzów brnie się ochoczo tam, gdzie optymistyczna przedsiębiorczość ludzka już w pierwszych tygodniach skleciła maleńkie wnętrza podobne w nastroju do dawnych. I gdzie otwierają się miniaturowe sklepiki znanych kiedyś, wielkich firm handlowych. I gdzie można z ugięciem zobaczyć jeszcze poprzez coś w rodzaju witryn znajome twarze kupców czy rzemieślników, którzy przeżyli.

Ach, te pierwsze lata powojennej Warszawy! Ale urzędowe rygory stłumiły wkrótce spontaniczną ludzką inicjatywę konstruując

powoli stan rzeczy, do którego trzeba się z konieczności przyzwyczaić. Więc — chodząc dziś po dawnych śladach — chodzimy jednocześnie po całkiem już odmiennych obszarach. Jest to co prawda los wielu miast. Żeby wspomnieć choćby paryskie Hale, po których zostały tylko stare nazwy ulic odrysowane na pamiętkę w eleganckich podziemiach obecnego „Forum”. Tutaj jednak i niektóre nazwy ulic zatarto nadając im nazwiska ludzi, o których nikt nigdy nie słyszał. Odmieniona Warszawa to sprawa może równie dla wspomnień dotkliwa, ale w istocie głębsza i poważniejsza. To odmieniona nasza współczesna Historia.

I ten proces dziejowy trwa. Tylko moje łódzkie preludium minęło. W sprawach zasadniczych zacząłem odbudowywać sam siebie razem z Warszawą. Chociaż w zupełnie inny sposób. W każdym razie mieszkam tu znowu na stałe już od blisko czterdziestu lat. Przydługa to terażniejszość, ale ustała jak woda, co nie zmienia brzegów bez względu na gwałtowność fal, które od czasu do czasu kołyszają nią i wzburzają powierzchnię. W tym rozlewisku miotają się ludzie jak nie całkiem jeszcze uśnięte ryby zatrutowane nieczystościami i konwulsyjnie szukające resztek uchodzącego tlenu. Tyle, że ludzie są nieco bardziej wytrzymali niż one. Nawet nie oddychając chwytają każdy kęs oroków życia albo wznoszą myśl ku pozaziemskim sferom.

Nie umiem już powiedzieć, kiedy zniknęły ostatecznie rozmaite sklepiki i warsztaty ciągnące się wzdłuż Marszałkowskiej od Świętokrzyskiej aż po róg Alei Jerozolimskich i od kiedy wznosi się na ich miejscu masyw „ściany wschodniej” naprzeciw najszkaradniejszej budowli, jaką można sobie wyobrazić. Nadal żyjąc niby w tej samej Warszawie, żyjemy już właściwie gdzie indziej. Ale coś pozostało. Pamięć. I z dawna znajome — mroczne lub rozświetlone — wnętrza kościołów.

Ileż to sam naszamotałem się w na pozór przeróżnych, a w gruncie rzeczy zawsze tych samych sprawach! Czy bezskutecznie? Nie wiem. Wielu doznało srogiego zawodu domagając się niemożliwości. Lepiej być zdania, że w każdej sytuacji można coś zrobić dobrego. Ale i wtedy potykamy się co krok o nierozumnie rzucane nam pod nogi kłody. I ciągle jesteśmy szachowani podwójnym terrorem: zarówno ze strony tych, którzy wszelkie decyzje z uporem chcą zachować dla siebie, jak i ze strony tych, którzy kreują się na jedynych rzeczników narodowego sumienia. Wszyscy mówią o „pluralizmie” poglądów i przekonań, ale w gruncie rzeczy po obu stronach nikt tego pluralizmu nie uznaje.

Poglądy i przekonania... Czy w ogóle jest jeszcze miejsce na to poza czterema ścianami własnej biblioteki? A przecież wydawałoby się, że tak jak na całym cywilizowanym świecie — jedynie ich różnorodność pozwala naprawić stopniowo to wszystko, co bez względu na żałosne rezultaty usztywnia ślepy i zarozumiały upór. Bywają te

poglądy słuszne i niesłuszne, ale tylko przez swą jawność mogą być praktycznie konfrontowane z rzeczywistością i przez otwartą polemikę zmierzać do powszechnie akceptowanych rozwiązań.

Niestety, niczego takiego nie stworzyła tu w sposób trwały moja przydługa teraźniejszość. Jednostronne decyzje żadnych istotnych spraw nie załatwią. I niektórzy coraz częściej zaczynają skłaniać się do pesymistycznej konkluzji, że ten naród po prostu nie potrafi budować rozsądnie funkcjonującego państwa. Bo gdy dzisiaj rozglądamy się wokół — poirytowani niedołęstwem organizacyjnym, niezadadnością i niedbalstwem, zbyt łatwo przyswajaną apatią i rezygnacją, zwalaniem wszystkiego na „niezależne od nas okoliczności”, czy też demagogicznym a pustym werbalizmem obiecującym coś, na co się wcale nie zanosi — to rzeczywiście nasuwa się taka konkluzja. Jak do tego doszło? Na to pytanie nie silę się odpowiadać, bo nie jest to tutaj przedmiotem moich osobistych zwierzeń.

Więc chodzę po niegdyś twardych warszawskich brukach zamienionych w myśl tutejszego „postępu technicznego” na rozmiękły asfalt. I wszystko jedno, czy jest to akurat połowa lat sześćdziesiątych, czy połowa lat osiemdziesiątych. Stan rzeczy — pomijając pogarszające się warunki ekonomiczne — jest mniej więcej ten sam. Tyle tylko, że z biegiem lat pojawiają się wciąż nowi i młodszy głowiący się nad teraźniejszością, a coraz więcej moich sceptycznych lub wytrwałych w nadziei przyjaciół na zawsze opuszcza ten padół. I kiedy wychodzę z domu, to często o tym właśnie myślę. Kogo dziś jeszcze spotkam, a kogo już nigdy? Opuszczając swoją znieruchomiałą pracownię — gdzie pod stosami starych książek, wyblakłych listów i fotografii zmarłych żółkną resztki mebli mojego ojca z początku tego stulecia i wiszą na ścianach cudem ocalone rysunki Kazimierza Sichulskiego, Tymona Niesiołowskiego i Stanisława Ignacego Witkiewicza — wychodzę na świat, który nie ęci już niczym. Chyba jedynie samotną sjęstą w jakimś barze kawowym, albo ciepłym i od lat ufającym mi kobiecym spojrzeniem, albo spotkaniem któregoś z tych niewielu, co różne rzeczy przeżyli wraz ze mną. Ale czy to wystarczy? Ciągłe czegoś brakuje.

Ciągle czegoś brakuje: nie energii, ale wiary, że się energia na cokolwiek zda; nie wyobrażeń o porządku prawnym i moralnym, ale możliwości ich urzeczywistnienia; nie doświadczeń i konkluzji, ale radości życia. Niejedno widać na twarzach przechodniów: zależnie od dat historycznych, a bez względu na daty urodzenia, bywają zacięte i namiętne jak w roku 1956 czy 1968, czy 1970, czy 1980, albo oziębiały i zrezygnowane jak w pozostałych latach trwającej teraźniejszości. Myślę, że niepokojący jest nie tyle sam rodzaj władzy — bo różnie już w historii bywało — ale ów wyłącznie spontaniczny i krótkotrwały odzew społeczeństwa. Gdzieś z głębi dziejów napływa co prawda jakaś wytrwałość. Ale w doraźnych momentach zbyt często,

napotykamy personalne „popisy estradowe”, górujące nad anonimowymi codziennymi powinnościami, do których skłaniałoby rozumienie wspólnego interesu. W rezultacie nawet w chwilach otwartego sprzeciwu wobec stanu rzeczy nie wychodzi się tu z mglistych euforii ku dostatecznie jasnym perspektywom. Same emocje prowadzą do nikąd. Samą negacją niczego nie da się zbudować. Sarkamy na wszystko. Podniecamy się symbolami. Lekceważymy zwykłą rutynę pracy. I tak toczy się dzień za dniem.

Wstaję rano niezbyt ochotczo. Tyle, że w postawie pionowej nieco łatwiej znieść wszelki niepokój wewnętrzny niż w horyzontalnym bezwładzie legowiska. Przeciagam się, golę, zmywam z siebie godziny nocne, z przyzwyczajenia zjadam śniadanie, ubieram się, zmieniam wczorajszy krawat na inny. Czy przynajmniej na lepszy? Nie jestem tego zbyt pewien.

Nie jestem też zbyt pewien, czy te rozmaite myśli o tym, co mnie otacza, są w pełni sprawiedliwe. Być może nie całkiem. Moje pokolenie wytracone już raz z równowagi — a tym bardziej iluzjami zdeprawowane następne — nie jest w stanie pouczać tych, którzy dziś dojrzewają. Ich uczy rozjaśniająca się na nowo prawda historyczna, uczy ich coraz bystrzejsze dostrzeganie, że „król jest nagi”, a więc — wbrew bezowocnym wysiłkom konceptualistów — uczą się sami. I to niekiedy bardzo skutecznie. A nie znając wczesnych lat wojennych — lat gorzkiego zawodu, złudzeń i pozorów — bywają nieubłagani krytyczni wobec nas starych. Ale nie dziwią się im. Przeważnie mają rację.

Sami jednak popełniają podobne błędy. Jedziemy wszyscy razem na wspólnym wozie, który toczy się nie wiadomo dokąd — nie bez naszej zbiorowej, przedwczorajszej, wczorajszej i dzisiejszej winy. Co pośród płaczących się kolein może osiągnąć pojedynczy człowiek? Rzecz niezmiernie ważną: niezależność wewnętrzną, nieuległość wobec nacisków z jakiegokolwiek strony, utrzymanie własnej postawy, własnych poglądów i własnego sposobu działania bez względu zarówno na odgórne życzenia, jak i na doraźne opinie podekscytowanego środowiska.

Teraźniejszość — chociaż się w swojej istocie nie zmienia — podlega jednak regułom płynącego czasu, a więc kolejnym sytuacjom, które z pozycji tej „niezależności wewnętrznej” trzeba jakoś rozegrać. Na szczęście nie zdarza się to codziennie. Ale codziennie dostrzegam otaczający krajobraz. I chociaż nie opuszcza mnie pamięć, to jednak nie opuszcza mnie również poczucie rzeczywistości. Pozostawiam już daleko za sobą grupy powojennej Warszawy i odbudowanymi lepiej czy gorzej ulicami idę dokądkolwiek. Odróżnia te ulice od dawnych przede wszystkim bogatsza i szerszymi pasami rozciągająca się zielen. To łagodzi krytyczne spojrzenie na strukturę pejzażu. Trawa rośnie, drzewa rozwijają się i kwitną. Dopóki tego nie

zniszczyć jakieś nowe pomysły i trujące wyziewy. Ale na razie ta zieleń przesłania tu i ówdzie prawdziwy widok potocznego życia. Toteż prostoduszni turyści zagraniczni spacerują po tym mieście pełni bezinteresownego zachwytu. Poprzez zieleń widnieją odbudowane pałacyki Alei Ujazdowskich, gdzie indziej sterczy gotycki szczyt odbudowanej Katedry, odbudowana Kolumna Zygmunta i Zamek Królewski, od strony Wisły sponad drzew pięści oko sylwetka odbudowanej Starówki. Jakie to kolorowe miasto!

Jakie to szare miasto! Zniweczono cały jego niefrasobliwy styl życia. Stało się przygnębiającym wzorem centralnego kierowania wszystkim, co mogłoby posiadać jakikolwiek urok i bezpośredni pożytek. W ciągu dnia funkcjonuje ono jak ulegająca ciągłym awariom zardzewiała maszyna, a od wczesnego wieczoru opustoszałe ulice śródmieścia — niegdyś tak pełne barw i wesołości — straszą teraz ciemnością i pojedynczymi, zataczającymi się bezwładnie sylwetkami pijanych. Odgórnio wykonceptowany porządek — pozbawiający wszelkiej samodzielności — okazał się sprawcą postępującej korozji obyczajów. Na jakich ugorach wylądujemy? Wkrada się obca, dawniej nieznana tu wrogość w stosunkach wzajemnych. Ulice miasta przestały należeć do zwyczajnych ludzi. Cofają się oni przed beceremonialnym naporem. Dorośli wieczorami zamykają się w domach. Młodzież zamyka się jeszcze szczelniej we własnych niedostępnych kręgach wykwintnego jazzu albo w kościelnych przedsionkach. Delikatnymi taktami conga bronią swoich czułych, uduchowionych uczuć — chrześcijańską postugą bronią swojej obudzonej, uduchowionej tożsamości.

Mijają lata, dziesiątki lat tych samych sposobów egzystencji. A jednocześnie jako zbiorowość krok za krokiem odchodzimy od cywilizacji europejskiej ku sytuacji trzeciego, a może jakiegoś czwartego świata. Wiarygodni historycy i ekonomiści udowadniają to bezlitosnymi cyframi. Jednakże ich wszystkie dowody są tylko rezultatem. Przyczyna tkwi zapewne nie tylko w doktrynalnych zasadach, ale również w wywołanej nimi powszechnej postawie wobec otaczającej rzeczywistości, w ustawicznym dylemacie, na co się godzić, a na co się nie godzić. Czy współpracować pomimo wszystko w niezmiennym stanie rzeczy bez wiary w jego celowość, czy też nie współdziałać szukając tylko rozmaitych własnych sposobów przetrwania? Ten problem dominuje od dawna. A sprawa „niezależności wewnętrznej” wcale go nie usuwa. Przeciwnie, pogłębi chyba osobistą odpowiedzialność za wybór możliwe skutecznych, a nie iluzorycznych kierunków działania. Aby jednak wynikło stąd coś konkretnego, konieczna jest mądrość polityczna stron obu. I w szeregach niezadowolonego społeczeństwa, i w szeregach sprawujących władzę. Niestety, tu i tam nie uwidacznia się ona w sposób budzący zbyt wielkie nadzieje. Każdy krok naprzód grzęźnie w sztywnych, niereformowal-

nych wzorcach. W rezultacie żadna myśl rozwinąć się nie jest w stanie — wszystko wokół trwa w ciągłej stagnacji — a nawet wraz z płynącymi naprzód latami cofa się niepowstrzymanie wstecz. Czy więc pozostaje tylko znosić ten cały kształt terażniejszości z filozoficznym stoicyzmem? Ale dość tych nieuporządkowanych rozważań. Wciskają się natrętnie nawet wtedy, kiedy lepiej by było zastanowić się raczej nad własną drogą pośród tych krzyżujących się dróg.

Na cztery spusty zamknęły się już czasy przedwojennej młodości i przedwojennego domu. Otacza mnie dziś inny dom — pełen niepokoju o dalsze losy dzieci i o przyszłość coraz liczniejszych wnucząt. A tamtego domu już nie ma. Istnieje jeszcze tylko w fotografiach, w listach i w doczesnej pamięci. Dawno zmarł mój ojciec, później rozumna matka, bracia, dobre babki i ciotki. Więc wszyscy, którzy byli moim pierwszym domem. Spośród nich zostałem już sam. I niekiedy wyobrażam sobie, że spotykają się oni gdzieś w swoim gronie dziwiąc się, dlaczego ja jeden tak zwlekam. Cóż ten trzeci z naszych chłopców taki opieszły? Ech, on zawsze chadzał własnymi drogami! Może jednak brakuje im mnie do kompletu? Może jeszcze czekają — nie rozprasząc się — aż się nareszcie pośród nich zjawię i będzie nam dane całą tę epopeję zakończyć razem. A na moim starym biurku zostanie tylko trochę zaśniedziałych przedmiotów i garść nietrwałych lub trwałych dokumentów.

Na razie jednak — siedząc jeszcze za tym biurkiem pochylony nad kartkami papieru, które uda się albo nie uda po myśli zapisać — widzę jednocześnie przez okno rozłożyste drzewa akacji. Niestety, połowa z nich wyschła na szlaku przeprowadzonych tu rur elektrociepłowni, bo u nas takie rury jakoś dziwnie łatwo pękają parząc korzenie wrzątkiem, więc gałęzie nie zazielenią się już i nie roztoczą w czerwcu słodkiego zapachu kwiatów. Z roku na rok coraz więcej strupieszalnych pni. Czy któregoś dnia najbliższy z nich nie runie mi tu na balkon, który i tak — od dziesiątków lat nie remontowany — kruszy się i rozsypuje betonowy gruz na trotuar?

Gdzieś w zamożnych, wygodnych i skomputeryzowanych krajach bomby obcych fanatyków niszczą wysmukłe, szkliste gmachy i splotzonych ludzi. Tutaj bomby są niepotrzebne — ludzie wraz z rozsypanych się domami niszczą się sami w stworzonych im warunkach egzystencji. A może — całkiem już zniszczeni materialnie i moralnie — staną się wreszcie zadowolająco posłuszni i ulegli? Mając do czynienia z tym narodem nie liczyłbym na to. Narody różnią się swym dziedzictwem, a stąd i charakterem. Zatem politycy całego świata powinni brać to pod uwagę, bo inaczej narażają się w swoich kalkulacjach na przykre i niekiedy bardzo kłopotliwe niespodzianki.

Wśród stosu kolorowych przeźroczy — które oczywiście w czasie wojny gdzieś zaginęły — było w domu zdjęcie z dnia moich urodzin,

zrobione wraz z innymi przez mojego ojca i jak zwykle z pedanterią przez niego opracowane ze skrzytym dopiskiem daty: 7 października 1910. Ujmowało maleńki wycinek ulicy Sienkiewicza w Zakopanem owych czasów, naprzeciwko willi „Grabówki”, w której przyszedłem na świat. Wycinek był maleńki, ale jakże bogaty w istic rajskie szczegóły i kolory. W przepysznym słońcu skrzył się tam u dołu jasnym pasemkiem żwir ulicznego chodnika pod skośnie skrzyżowanymi, okorowanymi żerdziami prawie srebrzystego płotu, a przez jego kraty przelewała się z cztygoś ogrodu fala czerwonych i złotych liści buczyny przeplatanych mroczną zielenią jałowca wśród różnobarwnych koron byle gdzie rozsianych astrów, nasturcji i cynii. U góry rąbek ciemnobłękitnego nieba. Tyle z tego jesiennego dnia. Ale to jakby wróżebne zdjęcie na całe życie utwierdziło mnie w przekonaniu, że październik jest najśnieźniejszą, najbarwniejszą i najspokojniejszą porą w tym kraju. I w moim osobistym życiu także.

Teraźniejszość jednak i w tym mnie zawiodła. Jakieś nowe moce — nie wiadomo jakie — poprzekręcały z biegiem lat wszystko. W mokradłach roztopiły śnieżne zimy i przerzuciły mróz na czas wiosenny, a łagodne jesienie owiały zbyt wczesnym, przenikliwym chłodem. Ale niekiedy powraca jednak coś z tego, co było kiedyś naturalną regułą. I w obyczajach przyrody, i w ludzkich obyczajach. Czyżby nie wszystko jeszcze poprzekręcało się doszczętnie? Pośród codziennych udręczeń zdarzają się chwile ulgi. Ni stąd ni zowąd słoneczne niebo wyjaskrawia kolory tej ziemi i ogrzewa zniechęcone twarze. Ni stąd ni zowąd natykamy się na bezinteresowną czułość i miły odruch ze strony kogoś obcego. Ni stąd ni zowąd — co pewien czas — wychodzą z więzień wierni swoim poglądom i przekonaniom. I coraz gromadniej modlą się do Matki Boskiej pielgrzymujący młodzi. I coraz częściej — wspominając swoje dzieciństwo — powracają w nawy kościołów skruszeni starzy grzesznicy.

Więc gdy przyglądam się tej terażniejszości, widzę zupełnie już inaczej — niż niegdyś — ustawione czy zmieszane proporcje wszystkiego, co dobre i złe. W jakim to sposób można by teraz napisać o tym tak, aby dać obraz prawdy unikając schematów? Literatura jako zwierciadło naszych czasów stała się dziś bezradna. Jedynym wiarogodnym zwierciadłem są osobiste przeżycia, bezpośrednie doświadczenia i osądy każdego z otaczających mnie milionów gniewnych lub sarkastycznych mężczyzn, znużonych kobiet i dzieci w wieku szkolnym. Oni wiedzą o terażniejszości wszystko. Nie tylko uczciwi spośród nich, ale i nieuczciwi także. Toteż bardziej niż jakiegokolwiek opisy i jakiegokolwiek doraźne pomysły — potrzebny jest jedynie każdemu z nas osobisty rachunek sumienia.

Może nie jesteśmy jeszcze całkiem sparaliżowani zarozumiałymi koncepcjami porządkowania nam życia, tymi wszystkimi koncepcjami, które próbują *par force* organizować przyszłość nie zważając na

przyrodzone prawa natury i na utajone, ale ciągle na nowo budzące się tęsknoty człowieka? Może jedynie powrót do pokory wobec tak mądrze kiedyś stworzonego nam świata przywróci zrozumienie naszej właściwej roli i naszego miejsca w tym wszystkim?

Jeszcze niekiedy późna wiosna ożywia ziemię jak zawsze. Jeszcze nie zdołano całkiem ujarzmić jej przyrodzonej logiki i siły. Dopiero świt się przeciera, a oto już słyszę, jak pogwizdują wilgi. Za wcześniej na wesoly czy kłótniwy szczebiot porannego ptactwa. Ich gwizdy są na razie samotne, przeciągłe — w samym nastroju odległe — i przejmujące jak smutek istnienia. Przez niskie, otwarte okna wpływa liliowe niebo powietrzem świeżym, ochłodzonym rosą. Rozjaśnia się dzień. Zafalowała firanka w lekkim powiewie. W odległym kościółku zadzwoniono na jutrznię. Wstaję z pryczy — ubieram się szybko — choć raz będę na nogach przed słońcem. Chlust źródlanej wody. Przez niedomkniętą szparę pomiędzy szerokimi płazami wślizguje się motyl jak płatek anemonu.

Przed chałupą zaczynają biegać po świeżo skoszonych tu łące czarne kosa i pstrokate szpaki. Długimi susami uciekają zielone pasikoniki przerywając granie. Już wszystkie ptaki świergoczą. Dalej, w jeszcze wysokiej trawie, żółte jaskry i mlecze, białe zawilce, fioletowe jaślinki — jak tu przejść, aby nie zdeptać? Za łąką skiby żywej, pokrytej runią ziemi. Idę skrajem łąki — za domostwem moich sąsiadów właśnie wstaje słońce. Długie cienie i blask. W tym ciemna, naprzód pochylona sylwetka gaździny. Z tobołem siana śpieszy do krów i znika w czeluściach obórki. Skręcam w tę stronę.

Od dawna najserdeczniej przyjaźnię się z gaździną. Jest to kobieta dzielna i mądra. Ma tę głęboką szlachetność charakteru, jaką ugruntowuje w człowieku raczej tradycja zasad moralnych niż okoliczności życiowe. Pamięta wszystko. Całą swoją młodość, a także i moją, bo obie toczyły się pomiędzy dwiema wojnami. W podwieczornych rozmowach z nią — kiedy odpoczywając siadamy na progu chałupy — odzyskuję znowu swój odległy czas przeszły. Te wszystkie wyprawy w Tatry, kiedy to można było chodzić wszędzie, bo jeszcze nie istniały dzisiejsze zakazy służące przede wszystkim umocnieniu kontroli nad szukającymi samotności turystami. Te wszystkie spotkania z dawno już zmarłymi znajomymi ludźmi, którzy wyobrażali sobie — czuli to w codziennym życiu — że ich pomyślnie czy niepomyślnie losy po roku 1918 zależne są wyłącznie od nich samych. Że ich przekonania i ich zajęcia przeróżne nie podlegają żadnym administracyjnym ocenom. Że można iść drogą, którą się samemu — słusznie czy niesłusznie — wybierze.

Przypominam sobie to wszystko słuchając jednocześnie jej własnych barwnych wspomnień albo relacji o dzisiejszych smutkach. Cierpliwie na starość znosi wszelkie trudy. Nawet i to, że teraz musi całą noc spędzać przed składnicą węgla, aby rankiem zdobyć swój

niewielki przydział. A jednak, gdy spostrzeża w zimowy poranek, że w którejś z sąsiednich chałup nie wznosi się dym z komina — dużymi krokami brnie przez śnieg zapytać, czy się nie stało coś złego. Ma w sobie zarazem i twardość, i dobroć. W chwilach wytchnienia patrzy jak urzeczona na góry.

Ale teraz o świcie nie ma czasu na rozmowy ze mną. Wita mnie tylko w ciasnej obórcie niezdziwiona, że wstałem tak wcześniej — i podaje kubek świeżo wydojonego mleka. Wchłaniam wzruszająco ciepły zapach krów, które patrzą na mnie spod długich rzęs oczyma wielkimi i ufnyymi — jak najczulsze matki. Ocieram usta, parę słów rzucam, żegnam, ruszam w drogę. Ustępują mi kaczkki machając skrzydłami — uciekają pstre kury w cień rozłożystego jesionu. Niebo już błękitno-złociste — troszkę puszystych obłoków — rzeźwy powiew od gór.

Łąka faluje pagórkami aż po linię lasu. Słońce zaczyna rozgrzewać cały ten wielobarwny dywan przeróżnych traw, koniczyny, tojadów i stroczyków — wypija krople rosy z wachlarzy gęsiorków. Karminowe mieczyki chłuszczą mnie po nogach. Przekraczam strugę obrosłą bukietami kaczeńców i niezapominajek — w płytkiej wodzie nurkuje pływak żółtobrzązek — trzepoczą się kijanki. Idę stąd zboczem pod górę — kwiaty i zioła coraz mocniej pachną — tańczą w powietrzu cytrynki, bielinki, nakrapiane wietki — kołysze się na koronie rumianku wzorzysty paż królowej — uwijają się po kielichach złote, gniewne trzmiele. Coraz bliższy chłód lasu owiewa mnie już z daleka. Pocięta źlebkami otwiera się knieja srebrzystym potokiem i poprzez jego bulgoty zachęca do swego kolorowego wnętrza — a dalej mroczy się i wspina stromo aż na wyniosły grzbiet wzgórze. Tam wierzchołki jodeł przestaniają łańcuch seledynowych szczytów.

Każdą grudką oddycha ta ziemia, jeszcze ciągle żywa. Na brzegu lasu — w jego wonnym cieniu — pierwsze poziomki, białe sasanki, fiołki, czerwone naparstnice i szafirowe dzwonki — na środku ścieżki tłusty i niepłochliwy, granatowy ślimak. Zwieszają się złote kiście bzu koralowego — płonie purpurą krzew róży alpejskiej — bieleją wszędzie kwiaty jarzębiny — zimniejszą bielą kora brzozy. Głębiej — jasna zieleń modrzewi i jeszcze jaśniejsze liście pokręconych buków pośród ciemniejszych — coraz ciemniejszych — wysokopiennych świerków i jodeł. Bór tym gęstszy, im bardziej stromy — podszyty skrzypem i pióropuszcami paproci. Na starych, ściętych pniakach maliny, borówki, siwe porosty, roztocze. Wśród mchu szkarłatne czapy muchomorów — w wyrwach ugrowe zbiorowiska kurek — pod płaszczami młodych świerków już kłują się maślaki, kozłaki, borowiki, rydze. Czuć grzybny zapach. Przecina mi ścieżkę długi, zaaferowany, czarny kowal-biegacz. Ten wierny chrząszcz śpieszy do małżonki. Nie daj Boże rozgnieść ją nieuważną stopą — ściga wtedy

mordercę i mści się do ostatniego tchu. Skrajem tej ścieżki gmera pod sobą tocząc kulkę łajna okrągły, lśniący, granatowy żuk-gnojarsz. Zielonkawo-brązowy jelonek gdzieś między szyszki niesie swoje ogromne szczypcy. Uwijają się po korzeniach czerwonogłowe, prostokątne jak trumny mundury grabarzy. Kosioróg-dębosz ciągnie wygięte w tył wąsy. Gramoli się na kawałek kory szerokogłowy ciotek. Długa karawana mrówek niknie pod zwaloną kłodą.

Dzięcioł stuka zapamiętale wystraszając korniki. Jak perkusista wtóruje melodyjnej kukułce. Pstrokaty kwiczoł zatrzepotał w gałęziach. Tu i tak skrzeczy niebieskawa sójka. Inaczej skrzeczy białoczarna sroka. Na różne też głosy pogwizdują i dudek, i kraska, i pliszka. Nie jest cicho w lesie. Ale to wszystko słysząc tylko dzięki ciszy. Jak gdyby milczenie człowieka było głośnikiem przyrody. Nieme usta — uchem.

Dzięcioł przestał opukiwać pień jodły i spogląda na mnie. Zrozumiał jest jego niepokój — oto zbliża się dróżką cicho i podstępnie najdrapieżniejszy zabójca, najbardziej szalony niszczyciel, nieodpowiedzialny osiłek. Więc spuszcza głowę i udaje, że jestem tylko nieszkodliwym wilkiem. Dzięcioł wznawia pukanie. Kiedy jego zabraknie — wszystko rozluźni się, zachwieje i runie. Wkrótce nie będzie już lasu — będzie rumowisko zbutwiałe — a potem skorupa dziurawa i martwa jak tarcza księżycy. Niech więc pomagają mu mrówki czerwone i chrząszcze! Ja sam mogę pomóc niewiele — wszelkie moje tutaj działania zależne są od kontroli centralnych władz. A jeżeli przestałbym być sobą — z łatwością mógłbym powybić te wszystkie stworzenia jednym pociskiem trującego gazu. Ale tylko tyle. Inaczej nie jestem w stanie zmienić żadnej z ich przyrodzonych funkcji — tak jak moje funkcje może z dnia na dzień zmienić każde zarządzenie. Mają więc wolność — jakiej ja nie mam. Wolność działania, którą same ograniczają — kiedy trzeba — własnym sądem o powinnościach i własnymi celami. Podczas gdy moją wolność ograniczają cudze sądy i obce mi cele. Ale właśnie ich wolność — a nie moje niewolnictwo — jest jedyną nadzieją tej ziemi.

Nie słuchałyby, gdybym przemówił — robią swoje nie ufając mi wcale — nie myślę jednak o śmierci, którą mógłbym tak łatwo im zadać. Las dźwięczy świergotem, bzykaniem i szumi powietrzem — jeszcze mocniej szumi tak w chaszczach żlebków spadający potok jak spieniony nektar — spod kamienia dżdżownica wygina lśniącą szyję i zanurza się w mech, aby dalej spulchniać próchnicę. W chłodnym cieniu coś się porusza. Pęka wilgotna grudka — coś rośnie. Wychodzę z półmroku — na szczycie wzgórza znów słońce w granatowych kielichach goryczki, na koronach złocieni, na malinach, jarzębinach, buczynie. Przed nosem z wolna mi przelatuje miodem obarczona pszczoła.

Czy stałem się już intruzem w tej krainie życia? Nie byłem nim nigdy. A jednak już nie czuję się częścią przyrody. Nasze drogi rozbieżne — a co na końcu tych dróg? Co na końcu wszystkich dróg, po których pędzi na oślep nasza teraźniejszość? Stoję przy pniu zwalonym — jego korzenie jak wyschłe palce trupa sterczą ku niebu rzucając ostry cień. Za nim mroczna, świeża wyrwa — ani jednej trawki — kawały grudy, żwir i kamienie. Rusza się tam tylko plamka czarno nakrapianej czerwieni. Ale bezradnie się rusza — usuwa się piasek spod nóg — piasek ją zasypuje, przewraca, uniemożliwia zerwanie się do lotu, ucieczkę. Nie widać już czerwonego grzbietu, tylko czarny brzusek.

A wtedy robię nareszcie to, co ze wszystkich istot jedynie człowiek może zrobić świadomie — i do czego prawdopodobnie został właśnie stworzony: podnoszę biedronkę z suchej grudy i sadzam ostrożnie na listku buczyny.

Juliusz ŻUŁAWSKI
Warszawa, 1986

Diagnozy gospodarcze

Stefan Kurowski

REFORMA GOSPODARCZA W PRL A KATOLICKA NAUKA SPOŁECZNA

Obecnie przeprowadzane, a właściwie deklarowane i ogłaszane zmiany systemu funkcjonowania gospodarki zwane w skrócie „reformą gospodarczą”, są w historii PRL trzecią próbą w tym zakresie, jakkolwiek bardziej zaawansowaną niż dwie poprzednie, które nie zostały zrealizowane.

Główną przyczyną, motywem i celem reformy jest zwiększenie sprawności ekonomicznej gospodarki, czyli osiągnięcie większej efektywności. Wzrost efektywności ekonomicznej gospodarki powinien stanowić główny czynnik przezwyciężenia kryzysu gospodarczego, na który kraj cierpi już od 6 lat. Toteż podstawowym trzonem reformy, jej główną treścią są problemy i rozwiązania ekonomiczne. Tym niemniej kompleks zmian systemowych objętych reformą zawiera również szereg problemów społecznych, politycznych, a nawet moralnych, a więc reforma gospodarcza obok swego wymiaru ekonomicznego ma również aspekty społeczne i moralne. Ta strona reformy uzasadnia dokonanie porównania rozwiązań, które ona proponuje, z zasadami katolickiej nauki społecznej.

Aby w pełni zrozumieć skalę i kierunek zmian, które przewiduje reforma, trzeba w kilku słowach scharakteryzować system gospodarczy, jaki w PRL obowiązywał do 1981 roku i który ma być właśnie przez reformę zmieniony.

Jest to system, w którym przeważająca część środków produkcji stanowi własność państwową. Jakkolwiek procesy gospodarcze odbywają się w wyodrębnionych przedsiębiorstwach, to jednak dokonują się one według planu gospodarczego, który jest centralistyczny,

dyrektywny i *adresowy*. Przedsiębiorstwa otrzymują z planu centralnego dyrektywy i limity określające program produkcji oraz metody wytwarzania, a ich samodzielność ogranicza się do tych spraw, do których nie zdoła sięgnąć szczegółowość planu centralnego. Decyzje planu centralnego oparte są na bilansach rzeczowych, a ceny nie pełnią roli tak zwanych parametrów wyboru, w związku z tym i pieniąż ma w tym systemie ograniczone znaczenie. Nadwyżka ekonomiczna gromadzi się głównie na szczeblu centralnym, który decyduje o przekształceniu jej w kapitał i o kierunkach jej alokacji, a więc decyduje o rozwoju gospodarczym.

W systemie tym utrzymuje się w zasadzie wolność wyboru konsumpcji i wolność wyboru pracy, dzięki czemu gospodarstwa domowe mają znacznie większą niż przedsiębiorstwa swobodę co do swego „programu produkcji” i co do „metod produkcji”, ale tylko w takim zakresie, jaki mieści się w bilansach planu centralnego. Konsekwencją tej ograniczonej swobody gospodarstw domowych jest wyodrębnienie sfery wymiany między nimi a przedsiębiorstwami państwowymi, czyli istnienie sfery gospodarki pieniężno-towarowej, w której ceny pełnią dla konsumentów funkcję parametrów wyboru, a pieniąż stanowi generalny zapas, czyli jest powszechnym ekwiwalentem towarów (w ramach ofiarowanej podaży). Dzięki temu w systemie tym istnieje rynek, jakkolwiek ograniczony i ułomny, jako enklawa i relik z poprzedniej epoki. Jednak pieniąż w rękach gospodarstw domowych nie może przekształcić się w kapitał.

Reforma gospodarcza, która ten system ma zmienić, została ogłoszona i zapoczątkowana w okresie najgłębszego kryzysu gospodarczego w historii PRL: w drugiej połowie 1981 roku i w pierwszym kwartale 1982 roku. Główne jej postanowienia zostały zawarte w dwóch pakietach ustaw sejmowych. Były to ustawy: o przedsiębiorstwie państwowym, o samorządzie załogi (25.09.1981), o planowaniu i o bankach (26.01.1982). Czas, zakres i treść reformy zostały w dużym stopniu wyznaczone działaniami wielkiego ruchu społecznego, jakim była „Solidarność”. Jej wpływ w postaci dążenia do zmian w systemie funkcjonowania gospodarki pozostał i znalazł odbicie w podstawowych kierunkach reformy.

Główny element reformy polega na przeniesieniu decyzji o tym, co i jak produkować, na szczebel przedsiębiorstw, co oznacza z jednej strony ograniczenie i zmianę dotychczasowej roli planu centralnego, a z drugiej strony wymaga zasadniczego zwiększenia samodzielności przedsiębiorstwa. Ta zmiana szczebla decyzji pociąga za sobą szereg dalszych konsekwencji ekonomicznych, z których najważniejszą jest podejmowanie decyzji produkcyjnych na podstawie wielkości wartościowych, a nie rzeczowych. Oznacza to, że przedsiębiorstwa muszą posługiwać się rachunkiem gospodarczym opartym o ceny produktów i czynników produkcji, na podstawie tego rachunku muszą dokony-

wać wyborów ekonomicznych przy przyjęciu jako kryterium maksymalizacji zysku oraz muszą posługiwać się pieniądzem, który będzie pełnić również w obrocie między przedsiębiorstwami funkcje powszechnego ekwiwalentu towarów. W dalszej konsekwencji oznacza to rozszerzenie rynku z dotychczasowej sfery stosunków między ludnością a przedsiębiorstwami na sferę wzajemnych obrotów między przedsiębiorstwami a planem centralnym, czyli na całą gospodarkę. Zmiany nie mogą się ograniczyć tylko do bieżących decyzji produkcyjnych, ale muszą objąć również proces alokacji nadwyżki ekonomicznej, która to alokacja w znacznej części zostanie przeniesiona na szczebel przedsiębiorstw. Wynika z tego, że pieniądź, znajdujący się w posiadaniu przedsiębiorstw, a później także pieniądź gospodarstw domowych będzie mógł się przekształcić w kapitał i powstanie rynek kapitałowy. Wolność wyboru konsumpcji będzie miała tendencje do przekształcenia się w suwerenność konsumentów, a wolność wyboru pracy może przyjąć formę pracy przy pomocy własnych środków produkcji. Rola planu centralnego ulegnie osłabieniu, a następnie daleko posuniętej erozji, przekształcając się w zwykły interwencjonizm państwowy.

Przedsiębiorstwa usamodzielnione co do programu i metod produkcji muszą przejść odpowiedzialność za wyniki swego gospodarowania, a więc muszą realizować zasadę samofinansowania, co oznacza, że własne wydatki będą pokrywać z własnych dochodów. Przedsiębiorstwo, które nie zdoła się samofinansować, musi liczyć się z groźbą samolikwidacji (bankructwo). Taka groźba powinna wymusić na przedsiębiorstwie zwiększenie jego efektywności.

Tym zmianom ekonomicznym powinny towarzyszyć — zgodnie z duchem i literą reformy — daleko idące zmiany instytucjonalne. Reforma przewiduje więc zwiększenie roli organów przedstawicielskich zarówno na szczeblu państwa (sejm), jak i na szczeblu niższym (rady narodowe wojewódzkie, miejskie, gminne). W związku z tym oczekuje się wzmocnienia całej struktury samorządu terytorialnego i zaktywizowania w sprawach publicznych lokalnych społeczności.

W usamodzielnionych przedsiębiorstwach reforma tworzy instytucje samorządu pracowniczego, tak zwanego samorządu załogi, i oczekuje od tego samorządu, że stanie się on zbiorowym przedsiębiorcą, który w sposób efektywny będzie gospodarował zasobami przedsiębiorstwa.

Jednocześnie na drugim biegunie organizacji społecznej musi nastąpić redukcja aparatu centralnej administracji gospodarczej, zmniejszenie liczby ministerstw, ograniczenie ich personelu, zwężenie ich kompetencji i osłabienie ich władczego charakteru. Szereg instytucji gospodarczych związanych z obrotem, wymianą, podziałem musi uzyskać — podobnie jak przedsiębiorstwa — zwiększoną samodzielność. Dotychczasowy, hierarchiczny układ zależności, w którym

te instytucje pozostawały, powinien ulec osłabieniu. Przykładem zmian w tym zakresie powinna być zapowiadana autonomizacja i zwiększenie roli systemu bankowego.

Aby powyższe instytucje i przedsiębiorstwa mogły działać w swej nowej roli, musi nastąpić rozszerzenie zakresu informacji gospodarczej, społecznej, politycznej i kulturalnej oraz ułatwienie do niej dostępu. To zmienić powinno rolę środków masowego przekazu, które z narzędzia propagandy winny stać się przede wszystkim nośnikami informacji.

Powyższe zmiany instytucjonalne pociągną za sobą zmiany postaw społecznych, a w dalszej konsekwencji również pewnych postaw moralnych. Oczekuje się, że reforma gospodarcza zmieni dotychczasową sytuację pracownika. Dochody pracowników będą w większym stopniu uzależnione od wkładu ich pracy i od efektów pracy przedsiębiorstw, w których pracują. To spowoduje wzrost poczucia samodzielności pracownika i zwiększenie jego odpowiedzialności za przedsiębiorstwo. Udział w pracach samorządu załogi zwiększy identyfikację pracownika z przedsiębiorstwem i osłabi jego alienację w stosunku do całego gospodarowania w skali społecznej. To zaś powinno spowodować zwiększenie się etosu pracy i odrodzenie etyki zawodowej.

Samofinansowanie się przedsiębiorstwa znajdzie swoje uzupełnienie w zwiększonej samodzielności finansowej gospodarstw domowych. Nastąpi ograniczenie nadmiernie rozbudowanej funkcji opiekuńczej państwa, ograniczenie dotacji i subwencji wymuszone rachunkiem gospodarczym. W efekcie ekonomicznym spowoduje to racjonalizację konsumpcji i zmniejszenie marnotrawstwa. W efekcie moralnym powinno to spowodować u ludzi wzrost poczucia odpowiedzialności zarówno za konsumpcję własną, jak za konsumpcję społeczną w postaci wydatków publicznych. Gospodarskie spojrzenie na wydatki publiczne wraz ze wzmocnieniem instytucji przedstawicielskich powinno prowadzić do zwiększonego udziału społeczeństwa w decyzjach publicznych, a tym samym do zapoczątkowania rzeczywistych przemian demokratycznych.

W ostatecznym rezultacie reforma gospodarcza przez swoje skutki społeczne, polityczne i moralne powinna prowadzić do wzmocnienia podmiotowości, samodzielności i odpowiedzialności struktur pośrednich w społeczeństwie, takich jak przedsiębiorstwo, samorząd, gospodarstwo domowe, rodzina. Takie zmiany muszą spowodować u ludzi wzrost poczucia godności własnej zarówno w ich roli jako pracowników, jak i jako obywateli. Z drugiej strony zmiany spowodowane reformą gospodarczą będą prowadziły do osłabienia, a nawet do likwidacji centralistycznego charakteru gospodarki, a przez to ograniczą totalitarny charakter państwa i poszerzą sferę

wolności, w której decyzje będą należeć do poszczególnych ludzi oraz ich dobrowolnych zrzeszeń.

Skonfrontujmy teraz z tym obrazem *deklarowanej* reformy gospodarczej i jej oczekiwanych skutków zasady katolickiej nauki społecznej.

Można przyjąć, że katolicka nauka społeczna mieści się między dwoma biegunami wyrażonymi przez dwie naczelne zasady porządku społecznego, formułowane przez tę naukę. Jeden z tych biegunów to zasada dobra wspólnego, drugi — zasada pomocniczości.

Wychodząc z założenia, że człowiek jest istotą społeczną, zasada dobra wspólnego każe chronić wartości znajdujące się ponad czy poza interesem poszczególnych osób, jeżeli ich istnienie warunkuje byt i rozwój społeczeństwa. Ochrona dobra wspólnego może nastąpić nawet kosztem interesów indywidualnych. Zasada dobra wspólnego stanowi w katolickiej nauce społecznej pierwiastek wspólnotowy, jest bazą teoretyczno-moralną dla przeciwstawienia się indywidualizmowi i liberalizmowi. Aspekt wspólnotowy tej zasady sprawia, że jest ona wykorzystywana w błędnych opcjach do przeciągnięcia chrześcijan na stronę socjalizmu. Przykładem takiego działania jest na przykład teologia wyzwolenia czy też socjalistyczne rozumienie sprawiedliwości społecznej z ograniczeniem praw osoby ludzkiej.

Natomiast zasada pomocniczości ma w sobie aspekt osobowy. Formułuje ona postulat tworzenia i ochrony grup i organizacji pośrednich, działających między państwem i jednostką. Zasada ta zaleca konkretnie koncentrację i rozwój działań społecznych właśnie w grupach pośrednich i widzi społeczeństwo jako federację takich grup. Według tej zasady rola państwa powinna być tylko pomocnicza, a więc ograniczona jedynie do tych funkcji, których grupy pośrednie, nawet najwyższego stopnia, nie potrafią wypełnić.

W gospodarce takie grupy pośrednie to przede wszystkim przedsiębiorstwa, a w strukturze społecznej grupy pośrednie to samorządy: terytorialne, pracownicze, zawodowe. Tutaj właśnie jest również miejsce na niezależne związki zawodowe. W strukturze politycznej grupy pośrednie to partie polityczne, a w strukturze moralnej taką podstawową grupą pośrednią jest rodzina.

Jest oczywiste, że w pewnych sytuacjach między obu wymienionymi zasadami katolickiej nauki społecznej może wystąpić pozorna sprzeczność: ochrona dobra wspólnego może bowiem wymagać przeniesienia decyzji na szczebel państwa lub odwrotnie: zasada pomocniczości może wymagać rezygnacji z pewnych form ochrony dobra wspólnego. Jaką zatem wybrać wersję katolickiej nauki społecznej?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba poszukać zwornika między tymi biegunowymi zasadami. Takim zwornikiem, który je powinien godzić, jest trzecia i naczelna zasada katolickiej nauki

społecznej: prymat osoby ludzkiej. Oznacza to, że taka powinna być ochrona dobra wspólnego i taka realizacja zasady pomocniczości, która nie sprzeciwia się prymatowi osoby ludzkiej.

Zasada prymatu osoby ludzkiej jest dlatego zasadą naczelną w katolickiej nauce społecznej, iż ma swe uzasadnienie transcendentne. Treścią tej zasady jest personalistyczna wizja człowieka w świecie, a wizja ta wynika ze stosunku człowieka do Boga. Człowiek pozostaje w stosunku do Boga jako osoba. Jako osoba może być zbawiony lub potępiony, a zatem jego kondycja osobowa musi mieć pierwszeństwo przed jego uwarunkowaniami społecznymi. Za swoje czyny człowiek jest odpowiedzialny jako osoba, a nie jako grupa społeczna, klasa czy całe społeczeństwo. Tym samym zasada prymatu osoby ludzkiej przeciwstawia się kolektywistycznemu rozumieniu sprawiedliwości społecznej i ostatecznie widzi w zasadzie pomocniczości ochronę dla godności osoby ludzkiej odpowiednio ujmując zasadę dobra wspólnego.

W ten sposób katolicka nauka społeczna musi poprzeć taki konkretny porządek społeczny i gospodarczy, w którym jest zabezpieczony rozwój osoby ludzkiej w wolności i godności, właśnie na gruncie zasady pomocniczości. Warunki te w dużym stopniu spełnia porządek ekonomiczny postulowany przez reformę gospodarczą w PRL, a przynajmniej reforma zbliża porządek gospodarczy do tych warunków. Reforma dowartościowuje podstawową grupę pośrednią w płaszczyźnie gospodarczej, jaką jest przedsiębiorstwo, stwarza szansę powstania i rozwoju dla innych grup pośrednich działających w płaszczyźnie społecznej i politycznej, przez swoje mechanizmy gospodarczo-społeczne koncentruje odpowiedzialność na osobie ludzkiej. Tym samym reforma gospodarcza w tym kształcie, w jakim została pierwotnie ogłoszona, ma walory personalistyczne. Natomiast przy obecnym stanie koncepcji reformy i przewidywanym stanie jej realizacji nie spowoduje zagrożenia dla dobra wspólnego, gdyż pozostawia szereg instytucji, które to dobro wspólne skutecznie zabezpieczają.

Powstaje pytanie, jakie są przyczyny owej ogólnej zbieżności porządku społecznego zapowiadanego przez reformę gospodarczą z zasadami katolickiej nauki społecznej? Przyczyną tą nie jest bynajmniej inspiracja ze strony tej nauki. Autorzy koncepcji reformy w PRL prawdopodobnie nie znają katolickiej nauki społecznej i nie byli przez nią inspirowani. Zbieżność między tymi dwiema koncepcjami ma przyczynę głębszą. Jest nią prawo naturalne. Porządek gospodarczy proponowany przez reformę na drodze zanegowania i przewyciężenia systemu centralistycznego zbliża się — choć nieświadomie — do prawa naturalnego, w którym osoba ludzka wyposażona w atrybuty wolności i godności zajmuje miejsce centralne.

Natomiast katolicka nauka społeczna świadomie opiera swoje zasady o prawo naturalne.

Można zapytać: co wynika w praktyce z tej zbieżności? Niestety — na razie niewiele, a to dlatego, że reforma gospodarcza w PRL po prostu nie jest realizowana. Przeciwnie, obserwuje się, że mimo ciągłych deklaracji na ten temat praktyka gospodarcza odchodzi od reformy i system funkcjonowania gospodarki wraca do dawnych reguł centralnego planowania i zarządzania.

W tej sytuacji jednak można postulować, by Kościół, opierając się na zasadach swojej katolickiej nauki społecznej, włączył się do dyskusji na temat zmian w systemie funkcjonowania gospodarki i swoim autorytetem poparł tych, którzy takie zmiany pragną przeprowadzić. Każde osłabienie systemu centralistycznego będzie równoznaczne ze wzmocnieniem prymatu osoby ludzkiej, jej godności i wolności, a więc tych personalistycznych wartości, które mają uzasadnienie transcendentne.

Jednocześnie katolicka nauka społeczna powinna w programie swoich badań i publikacji podejmować problemy dotyczące aktualnego porządku społeczno-gospodarczego w kraju i — z jednej strony — oceniać krytycznie antypersonalistyczny system centralistyczny, a z drugiej strony — wykazywać zbieżność między poszczególnymi rozwiązaniami zalecanymi przez reformę gospodarczą i zasadami, na których ona sama się opiera.

Stefan KUROWSKI

Tomasz Gruszecki, Rafał Krawczyk

PRYWATYZACJA GOSPODARKI POLSKIEJ — PRZYPADEK CZY WZORZEC

Przez „prywatyzację” rozumiemy trend wyraźnej indywidualizacji motywacji gospodarczych podmiotów biorących udział w grze gospodarczej.* Doświadczenie historyczne wskazuje wyraźnie na istnienie tendencji do prywatyzacji interesów gospodarczych w każdym systemie i w każdym okresie historycznym. Posługując się kategoriami z pola filozofii można powiedzieć, że prywatność jest prawem naturalnym człowieka, z którego to prawa wynika również naturalna tendencja do traktowania tego co prywatne jako pierwszoplanowe, przed tym, co kolektywne czy społeczne. Motorem tego zjawiska jest jednostkowe postrzeganie świata, a więc również i świata gospodarki. Oznacza to, że widzi się ten świat w ten sposób, jakby osoba postrzegająca traktowała siebie jako podmiot wszystkich rejestrowanych przez nią procesów. Wszelkie próby „obiektywizowania” roli i miejsca jednostki w gospodarce przez przenoszenie podmiotowości z jednostki i jej rodziny na poziom grupy, kolektywu czy państwa stanowią stałe fale „nowych”, popularnych, czy wręcz populistycznych idei, ale zanikają tak szybko (w sensie historycznym) jak fale wody. Nie znaczy to, że zanikają bez śladu. Każda taka fala idei kolektywnych, ponadjednostkowych, przynosi, jak można sądzić, pewne owoce w postaci lepszego rozumienia przez ludzi ich miejsca w społeczności, pozwala im więcej ogarniać i lepiej rozumieć motywacje innych, ale nie zmienia zasadniczej optyki jednostki — widzenia świata własnymi oczami, a nie oczami struktur instytucjonalnych.

O ile powyższe stwierdzenia nie stanowią niczego nowego

* Nie należy mylić dwóch pojęć: „prywatyzacji” i „reprivatyzacji”. Ta ostatnia oznacza ponowne oddanie w ręce prywatne majątku wcześniej upaństwowionego. Nawiasem mówiąc — jeśli ma to charakter szerszego procesu, nadaje mu się miano „prywatyzacji”. Tak na przykład dzieje się we Francji pod rządami obecnej koalicji.

w sferze wiedzy socjologicznej, na polu filozofii czy psychologii, o tyle brzmią dziś nieco rewolucyjnie w odniesieniu do nauk ekonomicznych i problemów gospodarczych. Niezależnie bowiem od ekonomicznej „szkoły” wszystkie kierunki ekonomii próbują uogólnić prawidłowość gry gospodarczej pomiędzy jej podmiotami. „Podmiot” to najpowszechniejsze bodaj pojęcie pojawiające się w tekstach i podręcznikach ekonomii. Ale wbrew wszystkim zapewnieniom ogólnym, że człowiek stanowi podmiot i cel gospodarowania, w praktyce tej nauki człowiek podmiotem nie jest. W klasycznej ekonomii rynkowej człowiek występuje pod postacią pracy, czyli jednego z trzech równorzędnych czynników produkcji — poza ziemią i kapitałem. Traktowany jest wtedy jako „siła robocza”, która podlega tym samym prawom co i pozostałe czynniki produkcji. Pomimo wysiłków marksistowskiej myśli ekonomicznej człowiek i w jej interpretacji nie staje się nadrzędnym wobec innych czynników produkcji podmiotem gospodarowania. Filozofia „maksymalnego zaspokajania potrzeb społecznych” to jedno, a stosowana metodologia — to całkiem coś innego. W tak zwanej formule Kaleckiego, która miała ambicje ustalania zasad projektowania przyszłego wzrostu gospodarczego, w gospodarce planowej człowiek niknie niemal całkowicie. Wzrost gospodarczy jest tam bowiem uzależniony zasadniczo od iloczynu stopy inwestycji (czyli jej poziomu w ramach dochodu narodowego) oraz od współczynnika efektywności tych inwestycji, uzależnionego od tempa i rodzaju postępu technicznego. Obie te kategorie występują niejako samoistnie i stanowią w gruncie rzeczy niezależne od aktualnych ludzkich wysiłków siły napędowe gospodarki. Można sądzić, że tak zwany „czynnik ludzki” jest ukryty w maleńkim „współczynniku usprawnień organizacyjnych”, który sam Kalecki uważa za tyle mało istotny, że aż godny pominięcia w rachunku. Pomimo więc faktu, że człowiek traktowany jest tutaj jako podmiot teoretyczny (dopóty zresztą, dopóki stoi przy maszynie i osobiście „wytwarza” produkt), w rzeczywistości jego podmiotowość jest ograniczona do sprawczej roli centralnego planisty. Ten zaś jest ze swej istoty bezosobowy.

Specyfika procesu prywatyzacji w gospodarce krajów Europy Wschodniej jest głęboka z co najmniej dwóch przyczyn:

1. Wraz z powstaniem i rozbudową centralnego planowania w tych krajach inicjatywa prywatna została świadomie zepchnięta do roli marginesu tolerowanego jedynie z konieczności. Oznacza to, że w samych proporcjach tego, co prywatne, w stosunku do tego, co państwowe, kryje się wręcz wybuchowa przyszła dynamika.

2. W szczególnych warunkach polskiego kryzysu, którego zasadniczą przyczyną jest zbudowanie całej konstrukcji szybkiego wzrostu gospodarczego na państwowych instytucjach gospodarczych, konstrukcji z gruntu nie dopasowanej do mentalności i wiekowych tradycji gospodarczych naszego kraju, „wyjście z kryzysu” i owo

symboliczne już „światło w tunelu” uzależnione jest całkowicie od prywatyzacji (czy jak kto woli „odpaństwowienia”) procesów gospodarczych. Te szczególne warunki spowodowały, że nawet z trybuny X Zjazdu PZPR mogły padać głosy delegatów opowiadających się za uszanowaniem pracy ludzi pracujących „na własnym”. Jest to świadectwo tego, że sfera gospodarki najszybciej i w sposób najbardziej naturalny ulega normalizacji polegającej na słabnącym wpływie argumentów ideologicznych przeciw argumentom pragmatycznym.

W Polsce dają się dzisiaj zaobserwować dwa niejako niezależne od siebie trendy prywatyzacji. Jeden — to zwiększanie się udziału sektora prywatnego w produkcji i sprzedaży dóbr. Drugi — to coraz bardziej widoczne i coraz bardziej społecznie akceptowane (niezależnie od obiektywnej oceny tego zjawiska z punktu widzenia etyki) używanie majątku państwowego przede wszystkim do własnych, czysto prywatnych celów. Istnieje cały szeroki zakres „prywatnych” usług przy użyciu państwowego kapitału i państwowych surowców. Jest to zjawisko znane każdemu dorosłemu Polakowi.

Obydwa te, formalnie niezależne, trendy mieszczą się doskonale w trendzie ogólnym „odpaństwowiania” gospodarki. Znikają w tempie widocznym niemal gołym okiem motywacje pracowników sektora państwowego, a także pracowników administracji, a nawet instancji politycznych do działania na rzecz państwa, społeczeństwa czy zakładu. Przesuwają się zaś na rzecz nie skrywanych intencji prywatnych. Można powiedzieć, że o ile statystycznie prywatyzacja jest dostrzegalna w powiększaniu się roli sektora prywatnego w gospodarce, o tyle w tej większej, państwowej jej części, narasta olbrzymi nawis prywaty. Sądźmy, że to właśnie zjawisko, abstrahując od jego skutków moralnych, dla których oceny ekonomia nie posiada żadnych instrumentów badawczych, jest zjawiskiem głównym, ściśle współgrającym ze zwiększaniem zakresu i roli sektora prywatnego w gospodarce. Sektor prywatny i jego dynamika jest, jak sądźmy, jedynie czubkiem góry lodowej, która da o sobie znać już w niedalekiej przyszłości. Z braku jednak precyzyjnych danych, jak i z braku miejsca, poświęcamy niniejszy artykuł przede wszystkim roli sektora prywatnego. Wnioski są i tak wystarczająco szokujące.

Najbardziej bezpośrednio i niejako formalną postacią prywatyzacji jest zwiększający się udział sektora prywatnego w gospodarce: coraz więcej produkcji w wymiarze realnym i wartościowym pochodzi z tzw. sektora nieuspołecznionego. Jest to jakby urzędowa strona prywatyzacji — istnieją tu dane statystyczne i można wymierzyć zarówno przyrosty produkcji, dynamikę, jak i udział w strukturze. Tutaj hipoteza o trendzie prywatyzacji podlega weryfikacji, co postaramy się niżej przedstawić.

Trzeba zacząć od podstawowych wskaźników opisujących stan całej gospodarki, jako że dopiero na ich tle dane o rozwoju sektora

nieuspołecznionego mają pewną wymowę. Bardzo użytecznym wskaźnikiem w tym względzie jest wskaźnik dynamiki dochodu narodowego wytworzonego na przestrzeni kilku lat. Jeśli na tym tle rozpatrzmy wskaźnik dynamiki produkcji sektora nieuspołecznionego, to otrzymamy następujące zestawienie:

Tabela 1. Dynamika gospodarki nieuspołecznionej na tle ogólnych wskaźników wzrostu całej gospodarki (ceny stałe, rok poprzedni = 100).

	1980	1981	1982	1983	1984	1985	Średnioroczne tempo wzrostu 1981—1984
1. Dochód narodowy wytworzony	94,0	88,0	94,5	106,0	105,6	103,2	-1,8
2. Dochód narodowy wytworzony na 1 mieszkańca	93,2	87,2	93,6	105,9	104,6	102,4	-2,7
3. Gospodarka uspołeczniiona	95,5	84,4	93,4	105,5	106	x	-3,1
4. Gospodarka nieuspołeczniiona	86,7	107,4	99,2	107,9	104,1	x	+4,6

Źródło: zestawienia na podstawie — *Rocznik Statystyczny GUS* 1985, s. 78; dane za 1985 — *Mały Rocznik Statystyczny*, 1986.

Jak widać, dynamika całej gospodarki po dwóch latach wzrostu (1983—1984) obniża się, szybszy jednak przyrost i wolniejsze tempo spadku było w gospodarce nieuspołecznionej. W rezultacie średnioroczne tempo wzrostu w latach 1981—1984 było najwyższe w gospodarce nieuspołecznionej (i tylko tam było dodatnie).

Od razu powstaje pytanie, czy jest to jakiś chwilowy, czy też trwały trend. Odpowiada na to tabela 2:

Tabela 2. Dynamika dochodu narodowego wytworzonego (ceny stałe).

Dochód narodowy wytworzony	1978—1980		1984		
	1970=100		1978=100	1980=100	
1. Ogółem	184,1	169,1	157,3	85,6	93,1
2. Gospodarka uspołeczniiona	200,9	187,5	165,4	82,2	88,2
3. Gospodarka nieuspołeczniiona	121,1	102,6	122,7	101,3	119,7

Źródło: *Rocznik Statystyczny GUS* 1985, s. 78.

Jak widać teza o wyraźnie wyższej dynamice gospodarki nieuspołecznionej sprawdza się także w dłuższym okresie czasu, jeśli uwzględnić różne układy cen. Co więcej, dynamika ta wyraźnie się nasila.

W rezultacie wyższej dynamiki następują zmiany w strukturze dochodu narodowego wytworzonego. Wolno, ale stale zwiększa się udział gospodarki nieuspołecznionej w dochodzie narodowym. Widać to wyraźnie na przestrzeni ostatnich kilku lat.

Tabela 3. Udział gospodarki nieuspołecznionej (łącznie z rolnictwem prywatnym) w strukturze dochodu narodowego (ceny stałe = 1982).

	1980	1981	1982	1983	1984	1985
1. Gospodarka ogółem	100	100	100	100	100	100
2. Gospodarka uspołeczniiona	84,3	80,9	79,9	79,6	79,8	80,2
3. Gospodarka nieuspołeczniiona	15,7	19,1	20,1	20,4	20,2	19,8
4. W tym rolnictwo nieuspołeczniione	9,5	11,8	12,8	12,8	12,4	x

Źródło: *Rocznik Statystyczny GUS*, 1985, s. 79. Dane za 1985: *Mały Rocznik Statystyczny* 1986, s. 63.

Udział gospodarki nieuspołecznionej rośnie więc stale (stałość tego trendu jest może nawet ważniejsza niż samo tempo). Co więcej, wbrew obiegowym poglądom to nie rolnictwo prywatne jest tu układem najbardziej dynamicznym, a tak zwana pozarolnicza gospodarka nieuspołeczniiona.

Zarówno w opinii zwykłych konsumentów jak i środków masowego przekazu często wysuwa się zarzut, że sektor nieuspołeczniiony („prywaciarze”) winduje ceny w górę. Może więc strukturę tę kreuje po prostu wyższy wzrost cen? Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Tabela 4. Struktura dochodu wytworzonego w cenach stałych i bieżących.

	Ceny bieżące		Ceny stałe = 1982	
	1980	1984	1980	1984
1. Gospodarka ogółem	100	100	100	100
2. Uspołeczniiona	82,5	81,2	84,3	79,8
3. Nieuspołeczniiona	17,5	18,8	15,7	20,2

Źródło: *Rocznik Statystyczny GUS* 1985, s. 79.

A więc przyrost realny (w cenach stałych) jest nawet większy niż w cenach bieżących. Oznacza to, że tempo wzrostu cen w gospodarce

nieuspołecznionej jest niższe niż w gospodarce uspołecznionej. Udział realny tego sektora jest więc wyższy niż nominalny i sięga obecnie 1/5 całego dochodu narodowego. Aby uświadomić sobie skalę tego zjawiska, zamiast do liczb bezwzględnych (co jest ulubioną konwencją naszej statystyki) warto odwołać się do pewnego porównania. Otóż w wielu państwach Europy Zachodniej z silnie rozwiniętym interwencjonizmem i sektorem państwowym — sektor państwowy wytwarza maksymalnie 20-24% produkcji. W żadnym więc razie nie można uważać skali tego zjawiska za jakiś margines. W dodatku ten nasz prywatny „margines” rozwija się najbardziej dynamicznie.

Tych danych nie podkreśla się, ale są one szokujące. Oznacza to, czy to się komu podoba czy nie, że gospodarka nieuspołeczniiona nie tylko lepiej adaptuje się do kryzysu, jest więc elastyczniejsza, ale przy powszechnie znanych ograniczeniach (zaopatrzenie) daje najwyższe przyrosty. Co więcej, tworzy się tam bardzo pożądana struktura podziału dochodu. Otóż akumulacja w gospodarce uspołecznionej spadła na przestrzeni lat 1980-1983 z 23% do 18% dochodu podzielonego (w cenach stałych — 1982), a w tym czasie w gospodarce nieuspołecznionej wzrosła z 2,6% do 3,5%. W cenach bieżących wzrost jest jeszcze wyższy — z 0,5% do 3,5%.

Tak więc w sytuacji kiedy zachodzi bardzo groźny dla przyszłości proces dekapitalizacji — ci straszni „prywaciarze” i „spekulanci” jeszcze inwestują! A inwestycje te tworzą nowe miejsca pracy. W rezultacie gospodarka nieuspołeczniiona ma najwyższą dynamikę zatrudnienia.

Rocznik Statystyczny GUS-u zawiera różne przekroje danych, ale nigdzie nie jest wyliczona dynamika zatrudnienia w gospodarce nieuspołecznionej na tle dynamiki zatrudnienia w całej gospodarce. Można to jednak wyliczyć:

Tabela 5. Dynamika zatrudnienia (pracujący przeciętnie w roku).

Zatrudnienie (w tys.)	1980	1981	1982	1983	1984	1985
1. Zatrudnienie ogółem	17.324,7	17.419,9	16.995,6	16.950,8	16.998	17.135,5
2. W tym:						
w gospodarce uspołecznionej	12.717,9	12.720,3	12.184	12.147	12.190,6	12.258
w gospodarce nieuspołecznionej	4.606,8	4.699,6	4.811,6	4.803,1	4.807,4	4.877
w tym: w nieuspołecznionej poza rolnictwem	602,8	645,5	698,2	773,1	857,4	927

Dynamika (rok poprzedni = 100)	1980	1981	1982	1983	1984	1985
Dynamika ogółem	100	100,5	97	100,4	100,2	100,8
Dynamika w gospodarce uspołecznionej	100	100	95	99	100,3	100,5
Dynamika w gospodarce nie- uspołecznionej	100	108,5	96,3	101,6	100	101,4
W tym nieuspołeczniiona poza rolnictwem	100	107,1	108,2	110,6	110,9	108,1

Źródło: *Rocznik Statystyczny GUS* 1985, s. 55. Dane za 1985 — *Mały Rocznik Statystyczny* 1986, s. 46. Dynamika — wyliczenie własne.

Dla okresu 1980-1985 otrzymujemy średnią dynamikę:

- ogółem zatrudnienie w gospodarce — 99,8;
- dla gospodarki uspołecznionej — 99,1;
- dla gospodarki nieuspołecznionej — 101,3;
- w tym: gospodarstwa nieuspołeczniione poza rolnictwem — 107,4.

Dane te są zupełnie jednoznaczne. Przy ogólnie zmniejszającym się zatrudnieniu w liczbach bezwzględnych najbardziej spadło zatrudnienie w gospodarce uspołecznionej. W gospodarce nieuspołecznionej wzrosło bezwzględnie i względnie. Najszybciej przy tym wzrastało zatrudnienie w sektorze nieuspołeczniionym poza rolnictwem (bardzo wysokie przyrosty zatrudnienia z roku na rok, średnia dla całego okresu 107 pkt.). Sektor prywatny jako najbardziej efektywny, staje się coraz bardziej liczącym się pracodawcą. W 1985 r. 28,4% ludności zawodowo czynnej znalazło tam zatrudnienie.

Segmenty gospodarki nieuspołecznionej

Konwencja statystyczna wyraźnie rozbija gospodarkę nieuspołeczniioną na dwa segmenty: indywidualne gospodarstwa rolnicze oraz tzw. gospodarstwa nieuspołeczniione poza rolnictwem. Rozpatrzmy je oddzielnie z punktu widzenia dynamiki wzrostu.

Rolnictwo nieuspołeczniione

Podstawowym kapitałem w rolnictwie jest ziemia. Po niefortunnych próbach zmniejszenia udziału ziemi w rękach chłopskich z lat siedemdziesiątych, powoli, ale systematycznie wzrasta powierzchnia użytków rolnych w gospodarstwach indywidualnych. W latach 1976-1980 chłopi byli właścicielami 69,8% użytków rolnych w kraju. W 1984 r. odsetek ten wzrósł do 71,5%. Dotyczy to stanu własności. Jeśli bowiem idzie o użytkowanie, to odsetek ten jest wyższy i wynosi

w 1985 r. już 76,6%. Innymi słowy, gospodarstwa indywidualne chcą i mogą zagospodarować większą ilość ziemi niżby to wynikało z formalnych tytułów własności (np. w formie dzierżawy). Na ziemi użytkowanej przez gospodarstwa indywidualne przypada 51% zasiewów 4 zbóż, ale aż 84% pogłównia zwierząt gospodarskich. Produkcja rolnicza globalna w cenach bieżących w przeliczeniu na 1 ha użytków rolnych jest najwyższa w gospodarce nieuspołecznionej — 140 tys. zł, podczas gdy dla uspołecznionej wynosi średnio 128,6 tys. zł. Niższa jest jednak produkcja towarowa (91 tys. zł dla gospodarstw uspołeczniczonych i 77,7 tys. dla gospodarstw nieuspołeczniczonych). Ilość indywidualnych gospodarstw rolnych zmniejszyła się z 3,2 mln. w 1970 r. do 2,8 mln. w 1984 r., a więc wzrasta potencjał przeciętnego gospodarstwa. Najszybciej wzrasta przy tym ilość gospodarstw o pow. 15 ha i więcej. Pogłównie zwierząt gospodarskich spadło we wszystkich formach własności, ale w gospodarstwach chłopskich najwolniej. Gospodarstwa indywidualne mają najwyższą produkcję mleka (na 1 ha użytków rolnych), ale już niższą produkcję żywca rzeźnego i mięsa wieprzowego, niższy udział w zbiorze ziemniaków i buraków cukrowych i roślin przemysłowych. Niższa jest także produkcja towarowa — co świadczy o dużym zakresie produkcji na potrzeby własne. Jeśli idzie np. o tak ważny artykuł jak produkcja mięsa (żywiec), to wyraźnie widać zwiększenie się spożycia naturalnego (własnego) w wszystkich formach własności. W 1979 r. trafiło do skupu 67% świń, a w 1984 — już tylko 48%. Niewątpliwie korzystną tendencją jest zwiększenie nakładów na inwestycje produkcyjne w gospodarstwach indywidualnych na przestrzeni ostatnich kilku lat oraz zwiększenie wartości brutto środków trwałych. Obecnie wartości te mają już podobny poziom co w rolniczej gospodarce uspołecznionej.

Generalnie jednak — jak nam się wydaje — dane statystyczne nie upoważniają do wniosku o jakiejś miazdzącej przewadze czy szokującej dynamice rozwoju gospodarki nieuspołecznionej w rolnictwie nad uspołecznią. Wydaje się że gospodarstwa indywidualne najlepiej przetrzymały kryzys i dobudowują w sprzyjających warunkach swój stan posiadania. Nie jest to jednak sektor przyszłościowy, który może stać się sprężyną rozwoju całej gospodarki, motorem koniecznych przeobrażeń strukturalnych. Pomijając już olbrzymie nakłady kapitałowe, jakie musiałyby być zainwestowane dla unowocześnienia produkcji w gospodarstwach indywidualnych, a przede wszystkim dla stworzenia znośnych warunków pracy i życia dla współczesnego młodego rolnika, to kulą u nogi tego sektora jest zupełnie archaiczna struktura obszarowa gospodarstw indywidualnych.

Aż 30% gospodarstw ma od 0,5 do 2 ha, a 28% od 2 do 5 ha. Podmioty tej wielkości nie mogą dać ani dynamicznego przyrostu

produkcji, ani stworzyć nowych atrakcyjnych miejsc pracy (poza ewentualnie krótkim zapotrzebowaniem sezonowym). Co więcej, będą miały one zawsze niższą produkcję towarową niż gospodarstwa większe, a inflacja i brak pokrycia pieniędzy towarem — a przy optymistycznych szacunkach stan nierównowagi pozostanie przynajmniej na tym samym poziomie w najbliższych latach — zwiększy tylko tendencję do gospodarki naturalnej i spożycia własnego. Oczywiście, istnieje korzystny trend wzrastającego udziału gospodarstw dużych powyżej 15 ha — ale na razie jest to tylko 6 % gospodarstw indywidualnych. Trzeba jednak mieć świadomość tempa, w jakim przeobrażają te zachodzą. Jeśli nie przewidujemy jakichś gwałtownych zmian stosunków własnościowych w rolnictwie o charakterze rewolucyjnym, to na „wyprostowanie” struktury własnościowej gospodarstw indywidualnych trzeba przynajmniej życia jednego pokolenia — i to zakładając dużą stopę oszczędności i inwestycji kosztem konsumpcji.

Nie chodzi tu o dezawuowanie indywidualnej gospodarki chłopskiej, w czym specjalizują się różni współcześni profesorowie od rolnictwa. Sektor ten będzie niezastąpiony w najbliższych latach dla programu wyżywienia kraju i w obecnych warunkach w rolnictwie polskim — jest on i pozostanie bardziej efektywny niż analogiczna produkcja roślinna czy hodowlana w rolniczej gospodarce uspołecznionej.

Można także założyć dalszy, choć powolny, dotychczasowy trend wzrostu kapitałowego i produkcyjnego tego sektora szczególnie w ramach gospodarstw dużych. Dotyczy to jednak tylko roli tego sektora w rolnictwie. Natomiast sprężyn dynamizujących *całą gospodarkę* i pociągających konieczne przeobrażenia struktury całej gospodarki należy szukać gdzie indziej.

Pozarolnicza gospodarka nieuspołeczniiona

Z poprzedniej analizy wynikało jednoznacznie, że to jest właśnie najbardziej dynamiczny segment sektora prywatnego. Warto zatem przyrzeć mu się bliżej.

Przede wszystkim zacznijmy od tego, co obejmuje to pojęcie. Otóż, według współczesnej polskiej konwencji statystycznej, do pozarolniczej gospodarki nieuspołecznionej zalicza się:^{*}

1. Prywatne zakłady rzemieślnicze — zorganizowane w Centralnym Związku Rzemiosła.
2. Prywatny transport osobowy i towarowy — zorganizowany

^{*} *Mały Rocznik Statystyczny* 1986, s. 243—244.

w Naczelnej Radzie Zrzeszeń Transportu Prywatnego oraz Krajowym Związku Spółdzielni Transportowo-Motoryzacyjnych.

3. Prywatny handel i gastronomia — zorganizowany w Naczelnej Radzie Zrzeszeń Prywatnego Handlu i Usług.

4. Rzemieślnicze Domy Towarowe.

5. Placówki usługowe — zorganizowane w Naczelnej Radzie Zrzeszeń Prywatnego Handlu i Usług.

6. Rybacy morskcy — zorganizowani w Zrzeszeniu Rybaków Morskich.

7. Zagraniczne przedsiębiorstwa (tzw. polonijne) zorganizowane w przymusowym obecnie zrzeszeniu.

W zestawieniu tym ciągle powtarza się słowo „zorganizowanych”, „zrzeszonych”. Chodzi więc o oficjalnie działające zakłady produkcyjne i usługowe, a więc takie, które mają „pozwolenie”. Faktycznie ilość i obroty jednostek gospodarki nieuspołecznionej, które działają, ale nie są zarejestrowane, jest większa. Możliwe tu są tylko dane szacunkowe.¹ W każdym więc razie oficjalne statystyki są zaniżone, bo rejestrują tylko legalną część działalności sektora prywatnego. Część nieoficjalna nazywana jest u nas „drugim obiegiem”; według niektórych ocen² w obiegu tym uczestniczy kwota równoważna w przybliżeniu 10% dochodów bieżących ludności. Jest to pokaźna pozycja w bilansie dochodów i wydatków ludności i wszystko wskazuje na to, że jest to zjawisko trwałe. Jak pisze autor tego oszacowania: „Jeśli jednak drugi obieg traktować jako symptom przeniesienia się motywacji ekonomicznej społeczeństwa poza sferę jawnie działającego systemu gospodarczego, to jego stłumienie do rozmiarów mało znaczącego marginesu działalności gospodarczej będzie zadaniem trudnym”. Na pewno, zwłaszcza że na radykalną poprawę sytuacji gospodarczej się nie zanosi. Należy dodać, że „drugim obiegiem” jest nie tylko eufemizmem, ale i pojęciem zniekształcającym prawdziwy obraz rzeczy. Jest to bowiem tworzenie nowych wartości użytkowych i w sensie realnym zwiększają one faktycznie dochód narodowy wytworzony. To tylko konwencja statystyczna tego nie rejestruje.

Jeśli nawet ograniczymy się do oficjalnej (rejestrowanej) części gospodarki nieuspołecznionej poza rolnictwem, to jej udział w gospodarce narodowej wzrósł na przestrzeni lat 1970-1984:

- w produkcji globalnej z 2,2% do 3,7% (ceny bieżące),
- w zatrudnieniu (bez uczniów) z 2,6% do 5,1%,
- w nakładach inwestycyjnych z 6,2% do 10% (ceny bieżące),
- w produkcji czystej (ceny bieżące) z 3,7% do 5,2%,
- w sprzedaży detalicznej towarów z 1,2% do 2,3% (ceny bieżące),
- w sprzedaży usług dla ludności z 22,6% do 30% (ceny bieżące).

Jest to więc bezwzględne i względne zwiększenie udziału we wszystkich wskaźnikach. Na koniec roku 1985 oficjalny statystyczny „stan posiadania” pozarolniczej gospodarki nieuspółecznionej wynosił:

Tabela 6.

	Jednostki gospodarcze	Hość pracujących	Obroty w mln. zł
1. Rzemiosło	325.804	714.454	526.205
2. Transport osobowy i towarowy	107.979	111.008	85.166
3. Handel i gastronomia	43.954	76.053	118.060
4. Domy towarowe	301	1.402	6.452
5. Placówki usługowe	3.004	3.934	2.258
6. Rybacy morskcy	x	1.918	711
7. Przedsiębiorstwa zagraniczne	677	54.130	120.000
Ogółem	481.719	962.899	858.852

Źródło: *Mały Rocznik Statystyczny 1986*, s. 247—248.

Nie są to wielkości imponujące — ale i trudno nazwać to marginesem gospodarki. Można bez ryzyka stwierdzić, że w „drugim obiegu” tempo wzrostu jest znacznie większe. Ale analiza dynamiki „statystycznego” procesu jest mniej jednoznaczna.

Tabela 7. Dynamika najważniejszych pozycji (rok poprzedni = 100).

	1981	1982	1983	1984	1985
A. Jednostki:					
ogółem	100	109,8	111,6	107,1	102,6
rzemiosło	100	109,4	111,6	106,5	103,1
handel i gastronomia	100	121	115,8	109,7	104,4
placówki usługowe	100	113,7	116	167,4	133,2
zagraniczne przedsiębiorstwa	100	221	193,8	129,2	104,3
B. Pracujący:					
ogółem	100	110	112	110,2	107,3
rzemiosło	100	108	110	109,4	107,6
handel i gastronomia	100	121	113	107,7	103,3
zagraniczne przedsiębiorstwa	100	350	241	144,6	127

Źródło: *Rocznik Statystyczny GUS, 1984, Mały Rocznik Statystyczny 1986*, wyliczenie własne.

Jak widać, dynamika podstawowych wielkości jest ciągle wysoka. Jednak w ostatnim okresie (1984-1985) uległa ona pewnemu załamaniu, prawdopodobnie wskutek bardziej restryktywnej polityki podatkowej. Jeśli idzie o utworzenie nowych jednostek, to nadal bardzo duża dynamika utrzymuje się odnośnie do tworzenia placówek usługowych. Ciekawe, że pomimo spadku w tej sferze, dynamika zatrudnienia jest ciągle wyższa niż dynamika tworzenia nowych jednostek (firmy, które pozostały, rozwijają się i zwiększają powoli zatrudnienie). Najbardziej spadło tempo tworzenia firm polonijnych. Wydaje się, że te podmioty okres *prosperity* mają już za sobą.* Zresztą ostatnie zmiany w ustawie o firmach polonijnych bardzo zaostryły warunki powstania takich firm (znacznie podwyższono zwłaszcza minimalny wkład kapitałowy — obecnie do 50 tys. dolarów i tyle samo kaucji). Równocześnie poważnie utrudniono transfer dewiz z kraju. Prawdopodobnie ci, którzy dysponują większym kapitałem, nie chcą go inwestować na niepewnym polskim rynku.

Zasoby dewizowe ludności

Zasoby dewizowe ludności nie są — statystycznie rzecz biorąc — częścią gospodarki nieuspołecznionej, ale charakteryzują — naszym zdaniem — trend uniezależnienia się sfery prywatnej i majątku prywatnego od monopolu państwowego sektora jako pracodawcy, producenta itp. Należy pamiętać, że w naszych warunkach jest to „pieniądz lepszy”, a więc w zasadzie jedyny pieniądz, tzn. środek płatniczy, za który można nabyć każde w zasadzie dobro na rynku. Jest to szczególnie istotne dla producenta którego pieniądz musi mieć pełną płynność, aby zamknąć cykl produkcyjny. Wartości dewizowe zapewniają przy tym kupno normalne, tj. bez talonów, asygnat, przydziałów czy innych pozwoleń zakupu (co nie dotyczy jednak jednostek gospodarki uspołecznionej, nawet jeśli mają fundusze dewizowe). Państwo sprzedaje przy tym za walutę zagraniczną i bony PKO dobra, które nie podlegają swobodnej sprzedaży. Jest prawdopodobne, że zasoby dewizowe będą się kumulowały przede wszystkim w rękach prywatnych producentów, a zakres zasobów dewizowych i obrotów dewizowych można traktować jako wskaźnik rzeczywistego „urynkowienia” gospodarki (dotyczy to zarówno środków produkcji jak i konsumpcji).

Po okresie stagnacji, a nawet regresu, spowodowanego zamrożeniem kont prywatnych dewizowych — w lutym 1985 na kontach walutowych znajdowało się ponad 800 mln. dol. i wkłady te miały w kwietniu 1985 przekroczyć 1,1 mld dol. (w związku z datą wprowa-

* Por. T. MAŁECKA, M. MAŁECKI, *Przedsiębiorstwa polonijne w Polsce*, „Przeгляд Organizacji” nr 4-5/1986.

dzenia kont „N”). W 1984 r. przyrost oszczędności walutowych wyniósł ponad 200 mln. dol. i był najwyższy w ciągu ostatnich 15 lat. Jednak sprzedaż towarów osobom prywatnym za walutę obcą jest niższa. W 1980 r. wynosiła 478 mln. dol., a w 1984 — 340 mln. dol. Jeszcze bardziej spadła sprzedaż artykułów niekonsumpcyjnych. W 1980 r. sprzedawano maszyn i urządzeń za 11,6 mln. dol., a w 1984 tylko za 1,5 mln. dol.

Jest oczywiste, że ilość dewiz będących w rękach prywatnych jest wyższa niż wkłady. Trudno jednak powiedzieć o ile. Niektóre oszacowania podwajają a nawet potrajają sumę wkładów. Biorąc nawet to bardzo ostrożne, to w rękach ludności znajdują się walory dewizowe, nieskapitalizowane, wielokrotnie przewyższające kredyty dewizowe, jakie Polska pomimo żmudnych zabiegów uzyskała od zagranicznych banków i rządów na przestrzeni ostatnich kilku lat. Te kapitały winny być uruchomione.

Wnioski

Dotychczas dokonywaliśmy dosyć żmudnego zestawienia stanu posiadania i dynamiki gospodarki prywatnej. Tak się bowiem dziwnie składa, że roczniki statystyczne obfitują w różnorakie zestawienia i przekroje — jeśli idzie o gospodarkę państwową. Natomiast trzeba dużo czasu i wysiłku, aby odszukać nieliczne dane o sektorze prywatnym. Niektóre dane trzeba wyliczyć samemu, a niektórych w ogóle nie ma i pochodzą z prasy (np. nie ma informacji w roczniku o stanie i dynamice kont dewizowych ludności). Było to jednak konieczne, żeby udokumentować podstawową naszą tezę — o rosnącym trendzie wzrostowym tego sektora (co jest jedną, ale bynajmniej nie jedyną postacią szerszego zjawiska prywatyzacji gospodarki polskiej). Wydaje się, że samo istnienie trendu wzrostu sektora prywatnego jest dosyć oczywiste. To jest faktem. Natomiast dyskusyjne mogą być wnioski i interpretacje, jakie z tego wyciągamy.

1. Przede wszystkim nie można ulegać tym interpretacjom, które za wszelką cenę chcą zepchnąć sektor prywatny do roli jakiegoś marginesu czy przeżytku. Robi się przy tym jakieś dziwne operacje pojęciowe: dzieli się więc go na drobniejsze segmenty w klasyfikacji statystycznej (gospodarka rolnicza i pozarolnicza), upycha się go do tzw. drobnej wytwórczości (w ten sposób firmy polonijne, klasycznie prywatne przedsiębiorstwa, zostały wepchnięte do jednego worka z małymi państwowymi przedsiębiorstwami terenowymi i spółdzielniami), tworzy się sztuczną, fikcyjną wręcz formę spółdzielni w rzemiośle, które są przymusową formą pośrednictwa w zakupie materiałów i sprzedaży towarów przez prywatnych rzemieślników etc. Nie chodzi o same nazwy, ale o to, aby oddawały one istotę sprawy, a zwłaszcza nie wprowadzały w błąd. Prawda jest zaś taka, że po

czterdziestu latach walki ze wszystkim, co „prywatne”, sektor prywatny istnieje i zajmuje znaczącą pozycję w całej gospodarce. Daje ok. 20% dochodu narodowego i stwarza miejsca pracy dla 28% zatrudnionych w całej gospodarce. Sektor ten ma poważny wpływ na zaopatrzenie rynku, a w niektórych segmentach ma bardzo duży udział (usługi — 30%). W dodatku dla całego szeregu artykułów i usług jest on praktycznie monopolistą. Wykazuje też największą dynamikę wzrostu. We wszystkich programach uzdrowienia gospodarki i przedsięwzięciach społecznych musi się znaleźć wyraźne miejsce dla określenia pozytywnej polityki wobec tego sektora.

2. Należy mieć świadomość, że oficjalna sprawozdawczość GUS-u oraz sposób obliczania dochodu narodowego obejmuje tylko część realnie istniejącej działalności gospodarczej. Problem ten jest co prawda bolączką wszystkich urzędów statystycznych na całym świecie, ale u nas „przekłamania informacyjne” są wyjątkowo duże, ponieważ:

— Zgodnie z urzędową koncepcją za wartość tworzącą dochód narodowy uważa się tylko tzw. pracę produkcyjną. W rezultacie producent plomb i narzędzi dentystycznych wykonuje pracę produkcyjną, ale lekarz wstawiający tę plombę — już nie. Cały szereg usług, świadczonych odpłatnie (prywatne przedszkola, korepetycje), a także różnorakie przetwarzanie informacji nie są u nas traktowane jako praca tworząca dochód. We współczesnych społeczeństwach tego typu interpretacja stanowi zupełny przeżytek. Znaczna część usług świadczonych odpłatnie lub mających wartość rynkową, których przedmiotem jest człowiek lub informacja, „wypada” z naszej konwencji statystycznej.

— W każdej prawie gospodarce istnieje zjawisko „prod-konsumpcji”, tzn. produkcji lub usług na własne potrzeby (remonty, renowacje, wytwarzanie niektórych przedmiotów w gospodarstwie domowym etc.). Te zabiegi bądź tworzą nową wartość użytkową, bądź zwiększają ich dotychczasową wartość. Mają one też wartość rynkową (np. sprzedaż wyremontowanego samochodu przez właściciela), a także efekt dochodowy dla wytwarzającego (który oszczędza sumę, którą musiałby zapłacić za analogiczne dobro lub usługę). Problem ten ma dużą wagę w gospodarkach naturalnych, w których kierunku powoli grawituje gospodarka polska. W warunkach kryzysu to samozaopatrzenie ludności, „załatwianie” różnych dóbr i usług przy olbrzymich niedoborach, na „szarym” lub nawet „czarnym” rynku, ma olbrzymie znaczenie, podobnie jak remonty, renowacje, adaptacje bardzo różnych przedmiotów. Cała ta działalność, urzędowo nie istniejąca, absorbuje poważną pracę i energię, a nie jest przecież niczym innym jak gospodarką „własną” ludności. Należałoby więc albo stworzyć odrębną kategorię dla takich działań, przynoszących wartości użytkowe, albo zaliczyć ją do gospodarki

prywatnej (ponieważ wykonywana jest na własny rachunek i ryzyko). Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie ta działalność jest bardzo poważnym amortizatorem spadku dochodu i konsumpcji w wielu gospodarstwach domowych, wyjaśniającym dziwne zjawisko stabilizacji warunków życiowych ludności wbrew prognozom i statystyce.

— Statystyki wszystkich krajów mogą liczyć, rzecz jasna, tylko produkcję i usługi oficjalnie istniejących (zarejestrowanych) podmiotów gospodarczych. W normalnych jednak gospodarkach rejestracja nie jest żadnym problemem; chyba że ktoś chce koniecznie uniknąć podatków. Inaczej przedstawia się sprawa w gospodarkach takich jak nasza, gdzie przyszły przedsiębiorca musi złożyć w urządzie cały szereg papierków, wymogów kwalifikacyjnych, pieczęci i pozwoleń, a mitręga biurokratyczna czyni całe to przedsięwzięcie nieopłacalnym. Stąd powstają faktyczni przedsiębiorcy (choćby ci wykonujący usługi w nowych mieszkaniach), którzy nigdzie nie są rejestrowani. Oczywiście, niechęć do podatków, a zwłaszcza niektórych bardzo drenażowych form opodatkowania, też gra tu pewną rolę.

Wszystko to powoduje, że sektor prywatny ma większy zasięg niż faktycznie rejestrowany. Naszym zdaniem — choć jest to oczywiście tylko wstępne oszacowanie — rzeczywiste obroty całego sektora prywatnego są wyższe przynajmniej o 50%. Faktyczny udział tego sektora i jego znaczenie w gospodarce jest więc większe niżby to wynikało z przytoczonych tu danych.

3. Uważny czytelnik może tu postawić pewien zarzut: cóż znaczą te dynamiczne przyrosty, wynikające z tabel, skoro są one liczone od ciągle małej bazy. Istotnie, głównym naszym argumentem nie jest obecny udział sektora prywatnego, ale jego dynamika: stały trend wzrostu. Otóż natrafiamy tu na pewien problem metodologiczny: co jest ważniejsze dla charakterystyki zjawiska: stan czy proces?

Naszym zdaniem, dla określenia wagi zjawiska decydująca jest jego dynamika. Rzeczy ważne są ważne nie dlatego, że są od razu wielkie, ale dlatego, że rosną szybciej niż inne. To właśnie prowadzi do poważnych zmian struktury gospodarczej. Produkcja półprzewodników, układów scalonych czy komputerów osobistych nie była początkowo wcale duża; rozwija się tylko dużo szybciej niż inne.

Otóż z faktu, że tylko oficjalna część zjawiska prywatyzacji rozwija się dużo szybciej niż inne sektory, wyciągamy wniosek, że mamy do czynienia z bardzo istotnym procesem, który może być jedną ze sprężyn przeobrażeń całej gospodarki. Oczywiście, trend ten może być wykorzystywany dla stymulacji procesów wzrostu, bądź hamowany. Sam trend jednak istnieje.

4. W polityce władz istnieje charakterystyczna tendencja: w okresach stabilizacji systemu i wzrostu państwo ogranicza zakres gospodarki nieuspołecznionej, utrudniając jej rozwój i spychając na obrzeża systemu, natomiast w okresach załamań i kryzysów trochę

„popuszcza”, a nawet stwarza się okresowo zachęty dla rozwoju i inwestowania. Maksymalna granica preferencji polega jednak tylko, na tym, że traktuje się dany podmiot prywatny jak „normalny” państwowy czy spółdzielczy, może on więc kupić za swoje pieniądze to samo co przedsiębiorstwo państwowe. Preferencja polega na tym, że nie ma specjalnych obostrzeń. Przyczyny okresowego i ograniczonego zainteresowania władz rozwojem gospodarki nieuspołecznionej leżą w tym, że:

— ma ona najlepsze rezultaty efektywnościowe (wydajność, przyrost produkcji),

— najlepiej adaptuje się do warunków kryzysu i niedoborów (niska materiałochłonność, energochłonność, kapitałochłonność, wykorzystywanie odpadów i surowców wtórnych, złomowanych maszyn, etc.),

— umożliwi szybkie zwiększenie produkcji na rynek konsumpcyjny i szybkie zmniejszenie czy nawet usunięcie niedoborów asortymentowych.

Ta ostatnia cecha jest chyba najważniejsza: w okresach kryzysów gospodarczych i politycznych rynek jest wygłodzony i przeciąganie się niedoborów może zaowocować kosztami politycznymi dla władzy. Stąd władze traktują gospodarkę nieuspołecznioną jako swoisty „amortyzator” rynkowy. Wkrótce jednak po usunięciu przyczyn czy objawów kryzysu początkowa polityka promocyjna zmienia się w ostry drenaż fiskalny.

Ten cykl: promocja-drenaż, powtarza się także w obecnym kryzysie. Z drugiej jednak strony jest on tak głęboki i długotrwały, że *władza nie może zaspokoić potrzeb rynku i konsumenta bez pomocy gospodarki nieuspołecznionej w zakresie szerszym niż „normalnie” zaczyna mieć cechy stałości*: „państwowy” Don Kichot musi, chcąc nie chcąc, tolerować „prywatnego” Sancho Pancho (gwałtowniejsze pogorszenie się zaopatrzenia na rynku grozi bowiem spiralą komplikacji politycznych). Podkreślamy, że jest to sytuacja nowa jakościowo i może rzutować na przyszłość. Prawdopodobny jest dalszy trend prywatyzacji w gospodarce (oficjalnej i nieoficjalnej).

Polityka władz jest jednak niekonsekwentna: raz nasilają one akcje nękające, ograniczenia, zastraszania, kontrole „antyspekulacyjne”, to znów kiedy rzeczywiście owocuje to zamykaniem warsztatów rzemieślniczych — następuje „popuszczenie” (ostatnio obniżka podatku dochodowego o 10% w tym sektorze). Oprócz tego oficjalne czynniki angażują się w różne demagogiczne kampanie polityczne przeciwko „spekulantom” — w sytuacji, kiedy niektóre podstawowe potrzeby na rynku żywnościowym, ubrań, artykułów gospodarstwa domowego — można zaspokoić tylko przy pomocy sektora prywatnego.

5. Jest dużym błędem oficjalnej polskiej konwencji ekonomicznej

cznej (i statystycznej) rozpatrywanie tylko produkcyjnej strony zjawiska i pomijanie konsekwencji majątkowych. W rzeczywistości wzrost produkcji sektora prywatnego jest możliwy dlatego, że już poprzednio nastąpiła tam akumulacja, pozwalająca przekształcić majątek w kapitał. Kapitalizacja i akumulacja stale się tam powiększa. Zwiększa ona z jednej strony majątek bezpośrednio produkcyjny, a z drugiej — majątek nieprodukcyjny (pieniądze, dewizy, dobra konsumpcyjne stałego przeznaczenia) który, w razie potrzeby i pozytywnej oceny opłacalności, może być szybko zamieniony na produkcyjny. Inaczej nie odpowiemy na pytanie, dlaczego były możliwe szybkie przyrosty produkcji w tym sektorze, powstanie szeregu nowych jednostek z chwilą czasowego zniesienia niektórych ograniczeń. O ile restrykcyjna polityka władz może wyhamować produkcję (zaangażowanie kapitału), o tyle nie wyhamuje tak łatwo konsekwencji majątkowych. Po prostu, jak to nieraz już było, kapitał produkcyjny zostanie „stęzauryzowany” bądź zostanie „zamrożony” w szczególnie polski sposób — aktywa zostaną ulokowane w drogie samochody i nieruchomości. W każdym razie należy mieć świadomość, że efekty majątkowe są dużo trudniej sterowalne. Innymi słowy, to nie szczególne warunki kryzysu stworzyły podwaliny sektora prywatnego — załóżkowo podwaliny te już były w warstwie majątkowej, która zmieniła swoją postać na produkcyjną. Idzie przecież właśnie o to, aby maksymalna część majątku prywatnego była użyta do tworzenia nowych wartości i nowych miejsc pracy.

6. Z analizy segmentów gospodarki nieuspołecznionej (przyjmując tu oficjalny podział na „rolniczą” i „pozarolniczą”) wynika jednoznacznie, że największą dynamikę wykazuje właśnie segment „pozarolniczy”. To tam powstają firmy prywatne, produkujące skomplikowane urządzenia pomiarowe, elektroniczne, zakłady rzemieślnicze wzbogacające naszą ofertę rynkową (meble, wyposażenie mieszkań), firmy polonijne mające eksport relatywnie większy niż wiele drogich przedsiębiorstw państwowych. Ten właśnie segment sektora prywatnego jest najbardziej innowacyjny i jego dalsza aktywizacja może stać się jedną z dźwigni rozwoju całej gospodarki. Pomijamy już aspekt uboczny gospodarczo, ale w warunkach polskich niesłychanie istotny: tam właśnie znalazło pracę wielu zwolnionych z firm państwowych w roku 1982, co pozwoliło skutecznie przełamać monopol pracy państwowego pracodawcy.

Na razie jest sektor prywatny propagandowo ciągle szykanowany i deprecjonowany.

7. Co dalej?

Wypada zaryzykować pewną prognozę. Nasuwa się bowiem pytanie: jeśli trend prywatyzacji się utrzyma — to jak daleko może on dojść w ustroju socjalistycznym, w polskich warunkach?

Otóż naszym zdaniem właśnie te wyjątkowe polskie warunki

stwarzają przesłanki do ostrożnego i umiarkowanego, co prawda, optymizmu.

a) Przede wszystkim sytuacja gospodarki polskiej jest zupełnie wyjątkowa, a kryzys gospodarczy tak głęboki i trwały, że nie można rozumować metodą prostej analogii (w NRD to byłoby niemożliwe...). Sytuacja ta ma nowe jakościowe cechy i — teoretycznie biorąc — w grę wchodzi warianty, które jeszcze parę lat temu były nie do pomyślenia. Ekipa rządząca nie może, pod groźbą zaburzeń politycznych, ustawić się do gospodarki plecami. Sektor prywatny będzie potrzebny — w każdym razie dopóty, dopóki trwać będzie kryzys. Trwałość polskiego kryzysu stwarza dobre perspektywy dla sektora prywatnego. W każdym zaś razie szczególnie pożądana będzie produkcja rynkowa tego sektora. W miarę zaciskania się pętli dewizowej szczególnie pożądana będzie produkcja eksportowa, zwłaszcza dla II obszaru płatniczego. Nie jest ważne, czy jesteś państwowy czy prywatny — grunt, żebyś uzyskiwał tak potrzebne dolary...

b) Nową sytuacją jest także mentalność obecnej ekipy rządzącej. Ekipa ta jest niewątpliwie nastawiona pragmatycznie do sektora prywatnego i nie jest obciążona podejściem dogmatycznym. Preferuje ona wyraźnie stabilizację polityczną przy nasycającym się rynku i rozwarstwieniu majątkowym (co daje uboczne korzyści w rządzeniu) i przy nastawieniu konsumpcyjnym, niż wierność jakimś kanonom doktrynalnym. Miejsce zapamiętania ideologicznego zajęło wyrażanie. To nie sama ekipa rządząca wzbudza co pewien czas demagogiczne ataki na „prywaciarzy i spekulantów bogacących się naszym kosztem”. Robią to raczej niektóre grupy w aparacie, które w ten sposób chcą wypłynąć jako trybuni ludowi i „wyraziciele szerokich mas”.

Jest to więc element wewnętrznej gry politycznej, który może skomplikować przebieg procesu prywatyzacji, ale nie jest jego generalną przeszkodą. Należy także zauważyć, że transfery kapitałowe, składające się na akumulację, biegną w różnych kierunkach i pochodzą z różnych źródeł. Wreszcie wysoka stopa konsumpcji niektórych przedstawicieli sektora prywatnego jest pewnym uzasadnieniem i jednocześnie osłoną dla analogicznej konsumpcji aparatu politycznego i gospodarczego.

c) Dotychczas rozpatrywaliśmy trend prywatyzacji w gospodarce polskiej w sposób izolowany, tzn. bez uwzględnienia podobnych procesów w innych gospodarkach socjalistycznych. Problem ten wymagałby dużo głębszego naświetlenia, ale można przyjąć ostrożnie, że kontrolowane procesy prywatyzacji zachodzą także w innych gospodarkach socjalistycznych (np. na Węgrzech, w dużo skromniejszej mierze w ZSRR). Jest oczywiście sporne, czy jest to trend dominujący tamtych systemów, ale w każdym razie jest to jedna z opcji, która może wchodzić w grę w dalszych reformach, nawet jeśli

będzie to tylko wektor posiłkowy. Proces prywatyzacji w Polsce rzeczywiście zaszedł najdalej (w sensie skali), ale nie jest to całkowity ewenement. To raczej my widzimy ten proces w sposób zdeformowany, kładąc nacisk przede wszystkim na rozmiary prywatnej własności w rolnictwie. Tymczasem proces prywatyzacji dokonuje się obecnie przede wszystkim w miastach.

Generalnie więc w grę wchodzi dwa konkurujące scenariusze:

a) Wariant pragmatyczny, znacznie przedłużonego NEP-u, z próbą budowania pewnych gwarancji instytucjonalnych, aby przyciągnąć kapitał zagraniczny i skłonić kapitał własny do większego inwestowania. Dążyć się będzie do stymulacji produkcji rynkowej i zachęcania prywatnej inicjatywy do inwestycji, zwłaszcza na eksport. Można np. rozszerzyć nominalnie (za pomocą operacji pojęciowych i przepisów) formułę gospodarki uspołecznionej (np. spółdzielni). Za pomocą inicjatywy prywatnej będzie się usiłowało załatać niedobory zaopatrzeniowe (drobne części, komponenty); zwiększy się zakres kooperacji pomiędzy „państwowym” i „prywatnym”.

b) Dominacja krótkookresowych potrzeb fiskalnych, drenaż podatkowy, domiary, atmosfera zastraszenia. Ewentualnie demagogiczne ataki na sektor prywatny i szukanie kozła ofiarnego. Wówczas sektor prywatny wycofuje się z działalności produkcyjnej i zamienia kapitał na majątek i tezauryzację. Rozszerza się zakres gospodarki „szarej” i „czarnej”.

Dotychczasowa polityka jest w gruncie rzeczy mieszaniną tych wariantów, z pewną jednak przewagą wariantu pierwszego. Po okresach stwarzania szansy i nawet pewnej promocji (1981—1983) następują okresy „wyhamowania” (ostatnie dwa lata), zwłaszcza przez politykę podatkową. Nie zmienia to jednak generalnego trendu, który jest po prostu obiektywną koniecznością i szansą gospodarki. Można więc sądzić, że linią przerywaną i obfitującą w załamania trend będzie jednak postępował. Nie samo zjawisko prywatyzacji jest więc dyskusyjne — problemem jest tylko jego rozwój w czasie.

Tomasz GRUSZECKI, Rafał KRAWCZYK

PRZYPISY

1. W drugiej połowie 1985 przeprowadzono badania ankietowe w grupie gospodarstw domowych. Wg. oceny respondentów 20—70% mieszkańców nowych budynków korzysta z nielegalnych usług budowlanych, przy czym 62% respondentów potwierdziło zlecenie usług nie rejestrowanym wykonawcom we własnym mieszkaniu. Nie rejestrowani usługodawcy przepracowują przeciętnie ok. 27 godzin u jednego zleceniodawcy. Dla porównania usługodawcy oficjalni przepracowują w jednym mieszkaniu przeciętnie 29 godzin... Rozmiary dochodów uzyski-

wanych w usługach budowlanych można określić w sposób pośredni. Ogólne wydatki poniesione przez mieszkańców nowych budynków na różne prace wykończeniowe kształtowały się w 1985 r. od 1 tys. do 500 tys. zł, przeciętnie na 1 mieszkanie przypadało 87 tys. zł. W kwocie tej wydatki na nierejestrowane usługi budowlane wynosiły od 1 tys. do 300 tys. przeciętnie — na jedno mieszkanie — 40 tys. zł. Podobnie szacunkowo można określić zakres obrotu różnymi towarami reglamentowanymi po analizie treści ogłoszeń prasowych o sprzedaży („Życie Gospodarcze” Nr 24/1986).

2. Por. M. WIŚNIEWSKI: *Ile? Komu? Za co?*, „Życie Gospodarcze” Nr 38/1984.

Wojciech Romanowski

ROZWÓJ GOSPODARCZY PRL W ŚWIETLE TEORII JANOSA KÖRNAIA

Wśród ekonomistów nie ma zgodności co do tego, czy istnieją jednolite, powszechne prawidła ekonomii, czy też zależą one od systemu społeczno-gospodarczego i politycznego, w jakim przychodzi ludziom gospodarować. Sporu tego nie da się jednoznacznie rozstrzygnąć. Istnieją mechanizmy ekonomiczne uniwersalne, które co najwyżej mogą przybierać różne rozmiary i formy umacniając lub rozsadzając systemy, ale można też wyodrębnić mechanizmy typowe dla poszczególnych systemów lub wręcz tkwiące w ich istocie.

Nie wchodząc w szczegóły doktrynalne można zauważyć, iż specjalny przypadek myślenia systemowego legł u podstaw „socjalistycznej przebudowy” społeczeństwa i gospodarki. Prekursorzy idei socjalistycznej sądzili, że do wprowadzenia sprawiedliwości i zapewnienia rozwoju ekonomicznego wystarczy radykalna zmiana systemu kapitalistycznego. Wielu najważniejszych realizatorów tej koncepcji twierdziło, że rewolucja na tyle przekształci dotychczasowe mechanizmy gospodarcze (produkcja towarowa, prawo wartości, pieniądź, rynek, akumulacja itd.), że rozwój gospodarczy stanie się procesem automatycznie prowadzącym wzwyż, ku postępowi, dobrobytowi i sprawiedliwości społecznej. Na wątpliwości, iż podstawowych mechanizmów nie da się całkowicie odmienić, zwolennicy socjalistycznego upaństwowienia mieli jeden argument: likwidacja zysku jako motywu działalności indywidualnych podmiotów gospodarczych usunie wynikające zeń zaburzenia równowagi i wzrostu systemu kapitalistycznego. Owładnięci „rozpaczą Szygalewa” utrzymywali, iż na miejscu zysku w nowym systemie pojawi się inna, potężna motywacja. Początkowo myśleli, że nastanie era radosnej twórczości, lecz poniewczasie dostrzegli, iż tą nową motywacją stał się przymus władzy. Nie przewidzieli, że gospodarka centralnie sterowana przez

przymus ujawni całkiem nowe cechy systemowe, które w końcu staną się hamulcami jej rozwoju.¹

System społeczno-gospodarczy „socjalizmu realnego” istnieje już prawie siedemdziesiąt lat, a w Polsce trwa on od czterech dziesięcioleci. Zdążył więc ukazać wszystkie swe możliwości i ograniczenia ekonomiczne, toteż coraz częściej pojawia się refleksja nad istotą jego funkcjonowania. Modełu do tych rozważań dostarczył ostatnio węgierski ekonomista Janos Kornai przedstawiając teorię niedoboru w gospodarce.² Kornai nie jest politykiem ani ideologiem, lecz ekonomistą beznamyślnie odsłaniającym mechanizmy gospodarki centralnie kierowanej. Nie dziwi się on więc ani nie oburza, dlaczego w gospodarce rynkowej mowa jest stale o konsumpcji i popycie, a nie nadążają one za podażą, oraz dlaczego w gospodarce planowej ciągle powtarza się apele o wzrost produkcji, a nieustannie pozostaje ona w tyle za popytem. W taki też sposób, *sine ira et studio* sprawdzimy tezę Kornai na przykładzie rozwoju gospodarczego PRL.

Według Janosa Kornai istnieją we współczesnym świecie dwa rodzaje systemów gospodarczych: ograniczone przez popyt i ograniczone przez zasoby, czyli innymi słowy systemy „tłoczenia” i systemy „ssania”. Przez pierwsze rozumieć można gospodarki rynkowe w różnych postaciach oraz o różnym stopniu rozwoju gospodarczego, natomiast przez drugie rozumie on gospodarki upaństwowione i centralnie kierowane. Żeby sprawę wyjaśnić do końca: w klasycznym systemie „tłoczenia” głównym motywem działalności gospodarczej jest dążenie do osiągnięcia zysku, zaś w systemie „ssania” — ambicje władzy.

Na wstępie sprawdzimy tezę, iż gospodarka „socjalizmu realnego” w PRL jest systemem ograniczonym przez zasoby, czyli przez dostępność pracy, kapitału, energii, surowców, dewiz, technologii lub zasobów środowiska naturalnego, a nie przez popyt. W tabeli 1 zestawiono trend rocznych przyrostów dochodu narodowego wytworzonego w PRL w latach 1950-1984 ze specjalnie wyliczonymi wskaźnikami niedoboru kapitału, pracy, energii, podaży rynkowej oraz mieszkań.

Tabela 1. Niedobory a wzrost gospodarczy PRL w latach 1950-1984.

Rok	Dochód narodowy wytworzony w roku poprz. = 100	Wskaźnik niedoboru kapitału	Wskaźnik niedoboru pracy	Wskaźnik niedoboru energii elektrycznej	Wskaźnik niedoboru podaży rynkowej	Wskaźnik niedoboru mieszkań
1950	115,1	147,2	116,0	—	147,4	4,48
1951	107,5	112,6	107,8	101,5	151,5	4,63
1952	106,2	123,0	105,6	102,6	147,9	4,90
1953	110,4	114,8	107,1	101,6	151,0	3,78
1954	110,5	104,2	103,8	98,3	150,5	3,70
1955	108,4	101,7	103,5	96,6	151,4	2,91
1956	107,0	102,8	104,3	99,2	152,8	2,87
1957	110,7	105,7	101,8	101,6	142,6	2,10
1958	105,5	107,8	99,5	97,0	138,2	2,04
1959	105,2	117,2	101,6	99,0	137,4	2,01
1960	104,3	106,3	101,5	99,7	141,1	1,72
1961	108,2	109,0	103,4	100,0	138,1	1,64
1962	102,1	115,0	103,9	98,9	139,0	1,65
1963	106,9	104,6	103,5	100,9	141,6	1,54
1964	106,7	104,5	101,6	99,5	139,8	1,46
1965	107,0	111,9	104,3	100,9	137,2	1,17
1966	107,1	109,4	103,7	98,9	137,4	1,28
1967	105,7	112,2	104,1	99,7	137,4	1,28
1968	109,0	108,7	102,3	101,1	135,4	1,36
1969	102,9	109,1	102,1	100,5	133,0	1,37
1970	105,2	104,1	100,9	100,7	133,2	1,44
1971	108,1	107,4	103,1	99,5	136,1	1,53
1972	110,6	123,0	104,4	101,1	136,0	1,50
1973	110,8	125,4	103,9	100,9	137,3	1,39
1974	110,4	122,3	103,5	102,6	135,9	—
1975	109,0	110,7	102,3	104,5	132,4	1,33
1976	106,8	101,0	101,0	102,1	132,9	1,24
1977	105,0	103,1	101,4	102,0	132,0	1,22
1978	103,0	102,1	100,6	98,6	132,5	—
1979	97,7	92,1	100,1	101,8	133,9	1,14
1980	94,0	87,7	100,0	95,9	139,5	1,42
1981	88,0	77,7	100,2	94,6	160,5	1,73
1982	94,5	87,9	96,2	95,4	150,9	1,70
1983	106,0	109,4	99,9	99,6	142,7	1,56
1984	105,6	111,4	100,4	98,2	141,4	1,46

Źródło: obliczenia własne według: *Rocznik Statystyczny* 1978, s. XXXII-XLVII, 63; 1985, s. XXXVI-XXXIX, 118.

Wskaźnik niedoboru kapitału w tabeli 1 to po prostu trend nakładów na inwestycje produkcyjne w układzie łańcuchowym, w którym wielkość danego roku przedstawiona jest jako procent nakładów z roku poprzedniego. W gospodarce PRL nakłady inwestycyjne były nieodmiennie traktowane jako główna dźwignia rozwoju gospodarczego, toteż po przyspieszeniach i zwolnieniach tempa inwestowania można stosunkowo łatwo poznać poszczególne etapy tego rozwoju. Gwałtowne zmniejszanie przyrostów nakładów, a pod koniec lat siedemdziesiątych — nawet ich rozmiarów absolutnych, było wynikiem nadmiernego rozszerzania planów inwestycyjnych, o czym będzie jeszcze mowa, oraz konieczności ich urealniania w obliczu zaburzeń równowagi. Zaburzenia te polegały w pierwszej kolejności na lawinowym narastaniu popytu inwestycyjnego przedsiębiorstw i wyczerpywaniu się zdolności wykonawczych. Mogąc praktycznie dowolnie zwiększać popyt inwestycyjny władze nie były w stanie kreować dostatecznie dużej podaży środków realizacji projektów. Kryzys narastał więc już w trakcie ekspansji inwestycyjnej, a nie dopiero w wyniku napięć rynkowych, które pojawiały się najczęściej w rok lub dwa później. Oczywiście, im niższy wskaźnik nakładów występuje w jakimś roku w tabeli 1, tym większy był niedobór kapitału w sensie fizycznych możliwości wykonawczych.

Nieco inaczej miała się rzecz z niedoborem pracy. Jego wskaźnik w tabeli 1 oparto na trendzie przyrostów rocznych zatrudnienia w gospodarce narodowej. System ekonomiczny PRL był w stanie wchłaniać ogromne masy nowo zatrudnionych opierając się na ekstensywnym wykorzystaniu siły roboczej, co zwłaszcza w latach pięćdziesiątych mogło się wydawać błogosławieństwem dla kraju tradycyjnie przeludnionego i nie posiadającego dostatecznej ilości miejsc pracy. Zaburzenia zaczęły pojawiać się w latach sześćdziesiątych, a szczególnie siedemdziesiątych, gdy siły roboczej zaczynało brakować najpierw w skali regionalnej lub branżowej, a następnie w całym kraju.

Wskaźnik niedoboru energii elektrycznej obliczono jak stosunek rocznych przyrostów produkcji przemysłowej do przyrostów produkcji energii elektrycznej. Dane zawarte w tabeli 1 oznaczają więc, iż powyżej 100 % następowało zużywanie zasobów energii, a poniżej 100 % — dopasowywanie produkcji do możliwości energetycznych lub odbudowa zasobów.

Niedobory podaży rynkowej zmierzono w tabeli 1 przy pomocy porcji procentowej między globalnymi dochodami nominalnymi ludności a wartością sprzedaży detalicznej w cenach bieżących. Oczywiście, nie cała nadwyżka ponad 100% oznacza tu „nawis inflacyjny”, bowiem część dochodów lokowano w postaci długoterminowych wkładów oszczędnościowych (na przykład

mieszkaniowych) lub przedpłat. Jednakże im wyższy był ten wskaźnik, tym większe napięcie rynkowe.

Wskaźnik sytuacji mieszkaniowej wyliczono przez podzielenie liczby nowo zawartych małżeństw przez liczbę oddanych do użytku mieszkań w ciągu roku. Nie cała nadwyżka ponad 1 stanowiła przyrost kolejki oczekujących na mieszkania, bowiem ogólna liczba gospodarstw domowych obejmowała nie tylko małżeństwa nowo zawierane, ale i rodziny przestające istnieć, np. na skutek śmierci małżonków. Nie da się jednak ukryć, iż przez większość ostatnich 35 lat kolejka oczekujących na mieszkania stale się wydłużała. Istotne są tu więc nie tyle okresy względnej poprawy wynikające z przyrostu substancji mieszkaniowej, ale okresy pogarszania się wskaźnika, kiedy kolejka ta zaczynała się wydłużać szybciej.

Naturalnie, można uznać, że niedobory podaży rynkowej i mieszkań dotyczą sfery konsumpcji, a więc są rezultatami ogólnej dynamiki rozwoju lub proporcji w podziale dochodu narodowego. Nie sposób jednak zaprzeczyć, iż sytuacja rynkowa lub mieszkaniowa ograniczała także szanse wzrostu, między innymi przez niemożność zaopatrzenia lub zakwaterowania nowo zatrudnianych pracowników. Do skutków niedoborów rynkowych i mieszkaniowych wypadnie jeszcze powrócić.

W tabeli 1 zawarta jest spora część obrazu historii gospodarczej PRL. Widać w niej wyraźnie napędzającą rolę wielkich inwestycji z początku lat pięćdziesiątych, które stopniowo wyczerpywały nadwyżki siły roboczej. Doprowadziły one do zaostrzenia kryzysu rynkowego, ponieważ jak wszystkie inwestycje, tak i „wielki skok” z planu 6-letniego zwiększał popyt ludności nie tworząc w tym samym czasie dostatecznej podaży towarów i usług. Było to między innymi rezultatem zaniedbania rozwoju przemysłu lekkiego oraz rolnictwa, którego przymusowa kolektywizacja przyniosła w efekcie załamanie podaży żywności. W pierwszych trzech latach planu 6-letniego pogarszała się też sytuacja mieszkaniowa.

Dopiero ograniczenie nadmierne rozdętego programu inwestycyjnego w 1954 roku, a więc w czasie, gdy wystąpiły już wyraźne bariery kapitałowe i energetyczne, pozwoliło na stopniowe łagodzenie tempa narastania dysproporcji. Nie dotyczyło to sytuacji rynkowej. Pogarszała się ona aż do 1956 roku, ponieważ dogonienie przez podaż luki inflacyjnej wymagało dłuższego czasu.

Lata 1956-1958 to okres przywracania proporcji. Dochód narodowy rósł względnie szybko przy mniejszych nakładach pracy i kapitału. Wyraźnie poprawiała się sytuacja rynkowa i mieszkaniowa. Nowy etap zaczął się w 1959 roku przyspieszeniem akumulacji. Już w następnym roku pogorszyło to wskaźnik rynkowy, a w 1962 roku także mieszkaniowy. Nadwyżki siły roboczej stopniowo przestawały istnieć. Nastąpiło ponowne „wydłużenie frontu

inwestycyjnego”, który trzeba było skracać w 1963 i 1964 roku. Drugi cykl lat sześćdziesiątych, zapoczątkowany przyspieszeniem z 1965 roku dał podobne efekty, zwłaszcza w dziedzinie energetyki, zatrudnienia i warunków mieszkaniowych.

Kolejny cykl zapoczątkowano w 1972 roku, gdy ponownie drastycznie zwiększono tempo inwestowania. Zagraniczne kredyty, które ułatwiały ogromny wysiłek inwestycyjny przy poprawie standardów konsumpcji, wydłużyły jedynie okres ekspansji. Załamanie nastąpiło w 1976 roku. Nadmiernie rozwiniętego programu inwestycyjnego nie dało się kontynuować; pojawiały się setki barier surowcowych, energetycznych, transportowych i innych. Dzięki stale dużemu importowi środków konsumpcji wskaźnik napięcia rynkowego utrzymywano jeszcze przez jakiś czas na względnie niskim poziomie, ale wystąpiły w końcu poważne bariery zatrudnienia. Do dziś zatrudnienie w gospodarce PRL nie przekroczyło poziomu z 1978 roku. W roku następnym po raz pierwszy zmalał dochód narodowy wytworzony. Spadek dochodu narodowego udało się powstrzymać dopiero w 1983 roku, jednak wyjście z tak głębokiego załamania gospodarki wymagać będzie zapewne jeszcze wielu lat.

Jak widać z powyższego, pobieżnego przeglądu cykli gospodarczych w PRL, ich główną przyczyną były decyzje o przyspieszaniu tempa inwestycji, które realizowane były w działach jak najdalszych od produkcji rynkowej i kumulowały się w sposób przez nikogo nie kontrolowany. Nie niedobór popytu rynkowego ograniczał więc rozwój gospodarczy. Rozwój ten wydawał się władzom czymś automatycznie wynikającym z aktywności inwestycyjnej, toteż nie widziały one potrzeby jej ograniczania, aż potrzebę tę wymuszały pojawiające się niedobory kapitału, pracy, energii, podaży rynkowej i inne. Jeśli nawet ograniczenia te występowały w poszczególnych okresach z różną siłą, należy pamiętać, że, jak powiada Kornai, możliwości rozwoju w systemie „ssania” ogranicza „zasób znajdujący się w minimum, nawet jeśli innych zasobów jest pod dostatkiem”.³

Niedobory czynników produkcji mają charakter względny. Przy pracooszczędnym typie postępu technicznego nadwyżki siły roboczej mogą się utrzymywać nawet w warunkach szybkiego wzrostu produkcji i dochodu. To samo dotyczy inwestycji. Nakłady o krótkim czasie zwrotu lub przynoszące duże przyrosty produkcji nie wymagają nadmiernej rozbudowy „frontu inwestycyjnego” dla osiągnięcia szybkiego tempa wzrostu gospodarczego.

Problem polegał i polega jednak na tym, iż w systemie PRL centralna polityka gospodarcza miała zasadniczy wpływ na powstawanie i wyczerpywanie się zasobów, choć był to uboczny efekt podejmowanych decyzji. Te ostatnie miały na celu wzrost produkcji i w wybranych, szczególnych gałęziach gospodarki, głównie w przemyśle ciężkim. Dla ilustracji tej tezy przyjrzymy się danym z tabeli 2

ukazującym efektywność wzrostu gospodarczego PRL. Wskaźnik kapitałochłonności otrzymano dzieląc coroczny przyrost wartości produkcyjnych środków trwałych przez przyrost dochodu narodowego wytworzonego. Wskaźnik ten oznacza mniej więcej, na ile poprawiła się lub pogorszyła proporcja między wartością majątku produkcyjnego a powstałym dzięki niemu dochodem. Im wyższy jest ten wskaźnik, tym większego majątku wymagał ten sam przyrost dochodu narodowego. Wskaźnik pracochłonności otrzymano przez podzielenie rocznych przyrostów zatrudnienia w gospodarce narodowej przez przyrost dochodu narodowego wytworzonego. I znów wskaźnik ten jest tym wyższy, im większego przyrostu zatrudnienia wymagało zwiększenie o jednostkę dochodu narodowego.

Tabela 2. Kapitałochłonność i pracochłonność wzrostu dochodu narodowego wytworzonego w PRL w latach 1950-1984.

Rok	Kapitałochłonność	Pracochłonność
1950	89,0	100,8
1951	95,6	100,3
1952	97,2	99,4
1953	93,7	97,0
1954	94,0	94,0
1955	95,8	95,5
1956	97,0	97,5
1957	93,9	91,9
1958	98,4	94,3
1959	99,4	96,6
1960	100,3	97,3
1961	96,0	95,6
1962	102,0	101,7
1963	97,8	96,8
1964	98,0	94,7
1965	97,9	97,5
1966	98,7	96,8
1967	100,0	98,5
1968	97,2	93,9
1969	103,4	99,2
1970	101,2	95,9
1971	96,7	95,4
1972	96,9	94,4
1973	97,4	93,8
1974	100,2	93,7
1975	100,6	93,9
1976	102,8	94,6

Rok	Kapitałochłonność	Pracochłonność
1977	104,5	96,5
1978	104,9	97,6
1979	109,6	102,4
1980	111,8	106,4
1981	117,6	113,9
1982	107,7	101,8
1983	96,8	94,3
1984	97,3	95,1

Źródło: obliczenia własne według: Rocznik Statystyczny 1967, s. 34^a — 35^a; 1978, s. XXXII-XXXV; 1985, s. XXXIV-XXXIX.

Jak widać z tabeli 2, wraz z początkiem każdego nowego etapu przyspieszonej akumulacji następowało pogorszenie się wskaźników kapitałochłonności i pracochłonności wzrostu gospodarczego. Jest to widoczne w pierwszych trzech latach planu 6-letniego, w latach 1959-1960 i w nieco mniejszej mierze w połowie lat sześćdziesiątych. Pogorszenie się wskaźnika kapitałochłonności nastąpiło też po podjęciu „wielkiego skoku” lat siedemdziesiątych, podczas gdy wskaźnik pracochłonności pogorszył się dopiero w drugiej połowie tej dekady. W sumie upoważnia to jednak do wniosku, że podejmując ekspansję inwestycyjną władze PRL obficie czerpały z istniejących zasobów pracy i kapitału nie troszcząc się o ich racjonalne wykorzystanie, a przez to wyczerpywały istniejące zasoby szybciej, niż było to konieczne, oraz w sposób niedostatecznie skoordynowany.

Tezę tę zilustrować można także danymi dotyczącymi materiałochłonności, energochłonności, importochłonności lub zapasochłonności wzrostu gospodarczego PRL. Przybliżony obraz sytuacji w tej dziedzinie zawiera tabela 3, w której zestawiono zużycie stali i energii elektrycznej na jednostkę dochodu narodowego wytworzonego w różnych krajach.

Tabela 3. Stalochłonność i energochłonność dochodu narodowego w różnych krajach.

Kraj	Zużycie stali w t na 1 mln \$ dochodu narodowego			Zużycie energii elektrycznej w t surowców energetycznych na 1 mln \$ dochodu narodowego		
	1970	1980	indeks w %	1970	1980	indeks w %
USA	0,73	0,50	68,4	1,28	1,05	82,0
Japonia	1,11	0,73	65,8	—	0,43	—
RFN	0,80	0,50	62,5	0,62	0,53	85,5
Francja	0,61	0,37	60,6	0,51	0,43	84,3

Kraj	Zużycie stali w t na 1 mln \$ dochodu narodowego			Zużycie energii elektrycznej w t surowców energetycznych na 1 mln \$ dochodu narodowego		
	1970	1980	indeks w %	1970	1980	indeks w %
ChRL	—	—	—	—	1,26	—
Włochy	0,87	0,79	90,8	0,59	0,59	100,0
Kanada	0,76	0,59	77,6	1,29	1,16	89,9
W. Brytania	0,63	0,29	46,0	0,67	0,56	83,6
Brazylia	—	0,88	—	—	0,52	—
Australia	—	0,49	—	—	0,73	—
Indie	0,58	0,73	125,8	0,69	0,84	121,7
Belgia	0,67	0,33	49,3	0,75	0,60	80,0
Szwecja	0,68	0,39	57,3	0,53	0,43	81,1
Szwajcaria	—	0,33	—	—	0,28	—
CSRS	1,76	1,44	81,8	1,55	1,26	81,3
NRD	1,40	0,94	67,1	1,61	1,17	72,7
PRL	1,41	1,34	95,0	1,40	1,27	90,7
ZSRR	1,71	—	—	1,55	1,40	90,3

Źródło: obliczenia własne według: *Statistical Yearbook of the United Nations* 1981, New York 1983, s. 284-287, 713-714, 726-759; *Rocznik Statystyczny* 1985, s. 537; J.-M. Le Breton, *Les relations internationales depuis 1986*, Paris 1984, s. 177.

Jak widać z tego zestawienia, kraje „socjalizmu realnego” (z wyjątkiem może NRD), a zwłaszcza PRL, charakteryzują się nie tylko znacznie wyższym zużyciem stali i energii elektrycznej na jednostkę dochodu narodowego, ale i wolniejszym tempem poprawy tych wskaźników niż większość pozostałych państw wysoko i średnio rozwiniętych.

Wysoką kapitałochłonność rozwoju gospodarki socjalistycznej PRL i innych krajów potwierdzić można także przez porównanie wzrostu nakładów inwestycyjnych oraz dochodu narodowego w różnych krajach. Otóż o ile w latach 1970-1980 nakłady inwestycyjne wzrosły w PRL o 93%, o tyle dochód narodowy wytworzony — tylko o 69%, co daje wskaźnik efektywności 87,6%. Analogicznie skonstruowany wskaźnik wyniósł dla Czechosłowacji 92,9%, Rumunii — 93,0%, Węgier — 98,1%, ZSRR — 98,2%, a NRD — 106,0%. W krajach o gospodarce rynkowej wskaźnik ten przekracza na ogół 100% i wynosił w latach 1970-1980: w USA 105,6%, Francji — 107,5%, Japonii — 108,0%, Belgii — 109,6%, RFN — 111,8%, Szwecji — 114,2%, Wielkiej Brytanii — 114,4%, a we Włoszech — 121,4%.⁴ Dane te świadczą o szczególnie niskiej efektywności rozwoju gospodarczego PRL, nie tylko w porównaniu z krajami wysoko rozwiniętymi, ale także z czołowymi państwami RWPG.

System „ssania” w gospodarce PRL cechuje również bardzo niska innowacyjność. O kryzysie technologicznym w Polsce świadczyć może wiele faktów, w tym między innymi to, iż o ile w 1970 roku 481 polskich wynalazków uzyskało patenty za granicą, o tyle w 1980 roku — tylko 436, a w 1984 roku — zaledwie 236.⁵ Liczba patentów obowiązujących w PRL wynosiła w 1980 roku 27,3 tys., czyli 0,77 na 1000 mieszkańców, podczas gdy w Czechosłowacji wskaźnik ten wynosił w tym samym roku 2,90, na Węgrzech — 1,22, w Brazylii — 0,90, Japonii — 3,36, Wielkiej Brytanii — 3,74, USA — 4,94, Francji — 6,00, Szwajcarii — 13,04, a w Kanadzie — 17,30.⁶

Niedobory w gospodarce oznaczają według Kornai'a rynek sprzedawcy. Im większy jest niedobór, tym silniejsza pozycja tego, kto może zaspokoić potrzeby, a więc sprzedawcy. Dyktuje on warunki nie troszcząc się o jakość produkcji ani terminowość dostaw. To nabywcy zmuszeni są do „wychodzenia naprzeciw” sprzedawcy, i to nie tylko słowem, ale i czynem. Stąd wynikają układy, znajomości ułatwiające „załatwianie” towarów i usług, a także łapówkarstwo. Ponieważ przedsiębiorstwa państwowe są dla siebie często wzajemnie sprzedawcami i nabywcami, stąd biorą się też nieformalne powiązania między ich dyrekcjami, najczęściej poza rynkiem, a niejednokrotnie poza prawem.⁷ Przedsiębiorstwa państwowe cieszą się też najczęściej pozycją monopolistyczną. W gospodarce socjalistycznej „producent wytwarza to, co dla niego jest najłatwiejsze i najbardziej korzystne, a nie to, czego chce konsument”, jak zauważył Edward Lipiński.⁸

Zjawiska te, tłumaczące, w jaki sposób produkcja w gospodarce „socjalizmu realnego” stała się celem samym w sobie, pogłębiały dysproporcje wynikające z „priorytetów” inwestycyjnych w okresach przyspieszania akumulacji. Statystyki GUS nie dają możliwości rekonstrukcji czasu stania w kolejce na kolejnych etapach gospodarczej ewolucji PRL. Można przypuszczać, że czas ten był co najmniej proporcjonalny do wskaźników niedoborów rynkowych, a najczęściej dłuższy, gdyż efektem niedoborów jest nie tylko bałagan i nerwowość, ale także nadmierne wykupywanie i gromadzenie prowadzące do nieracjonalnego wykorzystywania zasobów czynników produkcji lub podaży rynkowej. Oczekiwanie na zakup zasobu jest, według Kornai'a, elementem stałym systemu „ssania”. Symptomem kryzysu jest natomiast wydłużanie się czasu oczekiwania na zakup. W świetle danych z tabeli 1 do takich lat kryzysowych w PRL wypada zaliczyć okres 1953-1956, 1963, 1970-1971 oraz lata po 1980 roku.

Janos Kornai zauważa w swych analizach, iż przyczyną swoich cykli gospodarczych w systemach „ssania” jest wadliwość mechanizmów inwestycyjnych. U jej źródeł widzi on „pęd do ekspansji”, wynikający z wygórowanych ambicji lub utożsamiania prestiżu władzy z ilościowym rozwojem produkcji. Ekspansja inwestycyjna wydaje się gremiom kierowniczym środkiem do zaakcentowania

swego znaczenia oraz lekarstwem na niedobory. „Pęd do ekspansji” rozdyma popyt inwestycyjny, gdyż w systemie „ssania” nie ma czynników ograniczających w postaci ryzyka straty. „Łagodność ograniczeń budżetowych”, czyli łatwy dostęp do centralnych środków finansowych państwa powoduje, że anegdota o dyrektorze szukającym możliwości osiągnięcia deficytu ma całkiem realne podstawy. W systemie gospodarki znacjonalizowanej państwo zawsze się może „żywić”. Koszt tego poniesie społeczeństwo, którego przy dostatecznej sile przymusu władza przestaje się bać.

Brak ograniczeń popytu inwestycyjnego władz centralnych potęguje zawsze zjawisko „zaczepiania się o plan”. Oto petenci różnych szczebli zarządzania, ogarnięci „pędem do ekspansji” i pragnący zaznaczyć swój prestiż „dynamicznym rozwojem”, starają się uzyskać aprobatę dla swych projektów inwestycyjnych przez szczebel centralny, zaniżając kosztorysy i przesadzając w ocenie oczekiwanych rezultatów. Po rozpoczęciu realizacji projektów okazuje się, że kosztować będą one więcej, że pojawiają się dodatkowe, nieprzewidziane wydatki. Ponieważ podobnie postępuje wiele zakładów i branż, napięcia związane z „nadmiernym rozszerzaniem frontu inwestycyjnego” narastają lawinowo, co powoduje wydłużanie cykli realizacji projektów, niedobory „mocy przerobowych”, różne bariery, a w konsekwencji — opóźnienia produkcyjne efektów podjęwanego wysiłku. Konstruowane w ten sposób plany okazują się zbyt ambitne, terminy wykonania — nierealne, a spodziewane efekty — zbyt otymistyczne.⁹ W sumie korzenie tych zjawisk dostrzec można w zauważonym przez Stefana Kurowskiego niedopasowaniu ogólnopaństwowej własności środków produkcji do przedsiębiorstwowego charakteru produkcji.¹⁰

Ilustracją tych tez teoretycznych mogą być dane dotyczące realizacji poszczególnych planów wieloletnich w PRL. Oto w planie 6-letnim na lata 1950-1955 planowano wzrost dochodu narodowego o 112%, zaś osiągnięto przyrost 73% (65% planu), natomiast przyrost zatrudnienia planowano na 60%, a osiągnięto 56% (93% planu). W dziedzinie inwestycji zakładano wzrost o 140%, zaś faktycznie zwiększyły się one o 136% (97% planu).¹¹ Świadczy to nie tylko o prac- i kapitałochłonnym typie przyjętej koncepcji rozwojowej, ale także i o efektach mechanizmu „pędu do ekspansji” i „zaczepiania się o plan”. Jeszcze wyraźniej zjawiska te wystąpiły w następnych planach. W pierwszej pięcioletce, w latach 1956-1960 zakładano wzrost dochodu narodowego wytworzonego o 46%, a zrealizowano przyrost 37% (80% planu), natomiast akumulacja wzrosła o 48% zamiast planowanych 46% (104% planu), w tym przyrost zapasów i rezerw był wyższy od planowanego o prawie 7%.¹² W planie na lata 1961-1965 zakładano wzrost dochodu narodowego wytworzonego o 41%, osiągnięto zaś przyrost 35% (87% planu), natomiast przyrost

zatrudnienia przekroczył rozmiary planowane aż o 84%. W planie na lata 1966-1970 dochód narodowy zwiększyć się miał o 34% i o tyle samo wzrosł (100% planu), natomiast inwestycje zwiększyły się o 50% zamiast planowanego przyrostu 38% (132% planu).¹³ Podobnie było w kolejnych planach. Na ogół nie wykonywano planu w zakresie wzrostu produkcji i dochodu, zaś przekraczano planowe wskaźniki wzrostu zatrudnienia i nakładów inwestycyjnych. Prawidłowość ta jest najwyraźniej wbudowana w system społeczno-ekonomiczny PRL, a wynika z efektów „pędu do ekspansji” i „zaczepiania się o plan”.

Inna teza Kornaia głosi, iż „pęd do ekspansji” wywołuje nagminne dążenie do maksymalnego wykorzystywania zdolności wytwórczych, co powoduje stałe przekraczanie minimum kosztów produkcji.¹⁴ Teza ta posiada, jak się zdaje, kapitalne znaczenie dla zrozumienia chronicznie niskiej efektywności rozwoju gospodarczego PRL. Jej potwierdzenie zawiera tabela 4, zawierająca trendy udziału kosztów wytwarzania w całości produktu globalnego.

Tabela 4. Związek między przyrostem produkcyjnych nakładów inwestycyjnych a udziałem kosztów wytwarzania w produkcie globalnym PRL w latach 1957-1984.

Rok	Produkcyjne nakłady inwestycyjne rok poprzedz. = 100	Udział kosztów materialnych w produkcie globalnym w %	Udział amortyzacji w produkcie globalnym w %	Udział kosztów wytwarzania w produkcie globalnym w %
1957	105,7	53,3	3,3	56,6
1958	107,8	53,7	3,3	57,0
1959	117,2	54,2	3,4	57,6
1960	106,3	55,5	4,1	59,6
1961	109,0	56,7	4,4	61,1
1962	115,0	57,5	4,4	61,9
1963	104,6	56,7	4,4	61,1
1964	104,5	56,8	4,4	61,2
1965	111,9	57,2	4,5	61,7
1966	109,4	57,3	4,5	61,8
1967	112,2	57,6	4,6	62,2
1968	108,7	57,1	4,5	61,6
1969	109,1	57,7	4,6	62,3
1970	104,1	57,3	4,7	62,0
1971	107,4	56,9	4,4	61,3
1972	123,0	56,9	4,3	61,2
1973	125,4	57,4	4,0	61,4
1974	122,3	—	—	—

Rok	Produkcyjne nakłady inwestycyjne rok porz. = 100	Udział kosztów materialnych w produkcji globalnym w %	Udział amortyzacji w produkcji globalnym w %	Udział kosztów wytwarzania w produkcji globalnym w %
1975	110,7	58,6	3,9	62,5
1976	101,0	59,8	3,6	63,4
1977	103,1	60,0	3,7	63,7
1978	102,1	59,3	3,9	63,2
1979	92,1	59,9	4,1	64,0
1980	87,7	60,4	4,4	64,4
1981	77,7	59,7	4,3	64,0
1982	87,9	58,1	2,4	60,5
1983	109,4	57,2	2,1	59,3
1984	111,4	56,3	2,5	58,8

Źródło: obliczenia własne według: *Rocznik Statystyczny* 1960, s. 66; 1964, s. 68; 1966, s. 77; 1968, s. 79; 1969, s. 89; 1971, s. 129; 1972, s. 123; 1974, s. 127; 1978, s. XXXII-XXXVI, 55; 1980, s. 68; 1981, s. 86; 1985, s. XXXIV-XXXV, 80.

Dane z tabeli 4 ukazują wyraźnie ogólny, długookresowy wzrost udziału kosztów wytwarzania w produkcji globalnym PRL, a także krótkookresowe ich przyrosty w latach przyspieszania akumulacji. Zjawisko to zaobserwować można wyraźnie w latach 1959, 1965 i 1973. Na marginesie warto zauważyć, iż zmniejszenie odpisów amortyzacyjnych w latach 1982-1984 zdeformowało faktyczny obraz wzrostu dochodu narodowego w tych latach. Jeśli uwzględnić udział amortyzacji w produkcji globalnym na poziomie lat sześćdziesiątych oraz z lat 1978-1981, dochód narodowy wytworzony z lat 1982-1984 należałoby odpowiednio obniżyć. Jego spadek w 1982 roku wyniósłby wtedy nie 5,5%, jak podał GUS, lecz około 9,5%, natomiast wzrost w 1983 roku sięgałby tylko około 5,0%, a w 1984 roku — 6,0%, a nie jak podał GUS — odpowiednio 6,0% i 5,6%.¹⁵

Wspominaliśmy o biernej roli konsumentów i rynku w sytemie „ssania”. Istotnie, w podejmowaniu decyzji strategicznych, popyt bywał brany pod uwagę zazwyczaj jako kłopotliwy dodatek do ekspansji inwestycyjnej lub jako groźba zaburzeń równowagi rynkowej. Jak powiada Stefan Kurowski, „głównym przeciwnikiem centralnego planisty są konsumenci, czyli ludzie zorganizowani w gospodarstwa domowe”.¹⁶

Nie można zaprzeczyć, iż w ciągu czterdziestu lat trwania sytemu gospodarczego PRL następowało powolne podnoszenie się stopy życiowej ludności. Jednakże dla konsumenta liczy się nie tylko sama siła nabywcza, ale i sposób jej realizacji, a więc obrazowo

mówiąc: czas stania w kolejce. Stojąc w kolejce konsument może nie zauważyć, że według statystyk płac realnych jego stopa życiowa wzrosła. Tym większa jest jego frustracja i niezadowolenie, gdy płaca realna przestaję rosnać, bądź też ulega zmniejszeniu. Choć władze nieustannie opierały swe plany na pozaekonomicznej motywacji pracowników apelując o zaangażowanie i entuzjazm produkcyjny, problem morale pracy lub niezadowolenia pracowników pojawiał się w historii PRL najczęściej jako zupełne zaskoczenie kierownictwa. Tak było w czerwcu 1956 roku w Poznaniu, w 1970 roku na Wybrzeżu, w 1976 roku w Radomiu i Ursusie oraz w 1980 roku stopniowo w całym kraju. Świadczy to wyraźnie o tym, że popyt i nastroje konsumentów nie były brane poważnie pod uwagę przy podejmowaniu strategicznych decyzji o kolejnych „wielkich skokach”.

Tymczasem nie powinniśmy popełniać tego błędu. Zasób, który można by nazwać ludzką ochotą do życia i pracy, wyczerpywany był stopniowo. Tłem tego procesu może być fakt, że wbrew ciągłym nawoływaniom do lepszej pracy i wiązania wzrostu wydajności pracy ze wzrostem płac, a także wbrew powszechnemu stereotypowi mówiącemu, że ludziom płaci się więcej niż wypracowują, w całej historii PRL wzrost wydajności pracy wyprzedzał wzrost płac realnych. W latach 1950-1955 wydajność pracy rosła średniorocznie o 6,0%, zaś płaca realna — o 0,7%, w latach 1956-1960 — odpowiednio 5,8% i 5,2%, w okresie 1961-1965 — 4,5% i 1,5%, 1966-1970 — 4,6% i 2,1%, 1971-1975 — 8,0% i 6,7%, zaś w latach 1976-1980 wydajność pracy rosła co roku o 2,2%, a płace realne — o 1,9%.¹⁷ Jeśli przyjąć upraszczająco, iż wydajność pracy tworzy podaż, a płaca realna — popyt, w całej historii PRL powinniśmy mieć od czynienia z nadprodukcją. Wiadomo zaś, że jest na odwrót; system „ssania” dokładnie zniekształcił tę zależność.

Entuzjazm bezpośrednich wytwórców, ich zdolność do wyrzeczeń, a w końcu cierpliwość zawiedzionych konsumentów były ogromnie ważnymi zasobami, z których decydenci gospodarki PRL czerpali bez ograniczeń. I tego zasobu nie można dokładnie zmierzyć. Roczniki statystyczne nie zawierają takich wielkości jak czas stracony w zakładach pracy w oczekiwaniu na dostawę surowca lub włączenie prądu, ani też czas spędzany codziennie w kolejkach przez nabywców wystających pod drzwiami sprzedawcy. Podobnie nie da się syntetycznie zmierzyć wpływu konsumenckich frustracji na morale pracy, a więc na jakość, punktualność czy odpowiedzialność w wykonywaniu obowiązków, z których nie płyną prawa. A może miarą tych frustracji jest spożycie alkoholu 100⁰ na głowę mieszkańca Polski: 0,9 l w połowie lat trzydziestych, 2,3 l w 1950 roku, 2,4 l w 1960 roku, 3,3 l w 1970 roku oraz 6,0 l w 1980 roku?¹⁸

Jak zauważył ostatnio Ernest Skalski, „marniejący etos pracy i coraz gorszy do niej stosunek” tłumaczy się w wypowiedziach

oficjalnych różnymi przyczynami historycznymi, między innymi dziedzictwem szlacheckim, a niskie płace przedstawia się jako skutek złej pracy. Tymczasem, po pierwsze, jak wykazaliśmy, płace realne rosły w PRL zawsze wolniej niż wydajność pracy, co dowodzi raczej, iż niskie płace psują morale pracy, po drugie zaś, nad dziedzictwem szlacheckim trzeba się dobrze zastanowić. Otóż zacofanie polskiej gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej wynikało nie tyle z lenistwa i niedbałości chłopów — to była przyczyna wtórna — lecz z istoty sytemu, w którym chłopom nie zależało na podnoszeniu racjonalności pracy, gdyż nie mieli do tego żadnej motywacji, a panom feudalnym nie opłacało się kupować bardziej efektywnej techniki, gdyż pracę pańszczyźnianą mieli niemal za darmo.

Praca jest nadal najtańszym czynnikiem produkcji w Polsce. Wykazał to dobitnie Ernest Skalski przytaczając dane o udziale płac w wartości sprzedanej produkcji przemysłu polskiego: około 10% w latach siedemdziesiątych, 11% w 1980 roku, 14,4% w 1981 roku oraz 9,9% w 1984 roku, podczas gdy w 1937 roku udział ten wynosił około 21%, a w krajach zachodnich waha się wokół 33%.¹⁹ Wymowa tych danych jest bardziej przygnębiająca niż się na pozór wydaje. Z faktu, że robocizna w Polsce jest tania nie ma bowiem żadnych korzyści: jest to praca bardzo mało wydajna, a Polska nie uczestniczy w pełni w światowym podziale pracy. Pracownicy polscy tkwią w systemie, który płaci im źle, ale żąda niewiele lepszej pracy, co więcej, za swe niskie płace niewiele mogą kupić. „Praca ta dla większości wykonujących ją nie spełnia podstawowego celu, dla którego człowiek pracuje”, konkluduje Skalski dodając: „generalnie niski poziom płac w stosunku do potrzeb pozbawia więc skuteczności wszelkie przedsięwzięcia motywacyjne, które nie łączą się z radykalną zmianą na lepsze warunków życia”.²⁰

W podobnym kierunku idą wnioski Petera Wiles'a, który w swej analizie przyczyn zwolnienia dynamiki rozwojowej krajów „socjalizmu realnego” stwierdził rzecz prostą i banalną, ale jakoś dotąd mało zauważaną: „System gospodarczy składa się z ludzi. Jeśli nie mają oni zaufania do systemu, gdyż unieszczęśliwia on ich, nie będą dobrze pracować, a system ten będzie funkcjonował tym gorzej. Robotnicy będą powolni i niedbali, a pianiści — cyniczni, bezkrytyczni i nieodpowiedzialni. Nie tylko towary i pieniądze, ale i czas pracy będzie kradziony w zakładach wytwórczych”.²¹ Morale pracy, będące raczej skutkiem niż przyczyną niewydolności gospodarki, ogniskuje w sobie wszystkie braki systemu „ssania”. Trudno więc wszystko zwać na społeczeństwo, jeśli system ma być dla ludzi, a nie ludzie dla systemu.

Wojciech ROMANOWSKI

PRZYPISY

1. Ciekawej i inspirującej analizy mechanizmów systemu centralnie kierowanego dokonał S. KUROWSKI, *Doktrynalne uwarunkowania obecnego kryzysu gospodarczego PRL*, Warszawa 1980, s. 15.
2. J. KORNAI, *Niedobór w gospodarce*, Warszawa 1985, s. 822 (książkę tę omawialiśmy w nr 1 „Znaków Czasu”).
3. Tamże, s. 58-60.
4. Obliczenia własne wg: *Rocznik Statystyczny* 1985, s. 537, 542.
5. Tamże, s. 445, tabl. 21.
6. *Statistical Yearbook of the United Nations 1981*, New York 1983, s. 476-478.
7. J. KORNAI, s. 115-157.
8. E. LIPIŃSKI, *Problemy, pytania, wątpliwości. Z warsztatu ekonomisty*, Warszawa 1981, s. 648.
9. Tamże, s. 649.
10. S. KUROWSKI, s. 11 i 15.
11. A. JEZIEŃSKI, B. PETZ, *Historia gospodarcza Polski Ludowej 1944-1975*, Warszawa 1980, s. 153.
12. Tamże, s. 257.
13. Tamże, s. 263 i 273.
14. J. KORNAI, s. 362-399.
15. *Rocznik Statystyczny* 1985, s. 80.
16. S. KUROWSKI, s. 10.
17. J. KOLIPIŃSKI, *Diagnoza stanu gospodarki przestrzennej*, „Przegląd Techniczny” nr 8 z 20.II.1983 roku, s. 17.
18. *Rocznik Statystyczny* 1967, s. 528; 1978, s. 68; 1985, s. 128.
19. E. SKAŁSKI, *Praca, płaca*, „Tygodnik Powszechny” nr 24 z 15.VI.1986 r., s. 7.
20. Tamże, s. 5.
21. P. WILES, *Zero Growth and the International Nature of the Polish Disease*, w: *Crisis in the East European Economy*, J. DREWŃOWSKI (ed.), London 1982, s. 10.

RAPORT O STANIE WSI I ROLNICTWA

(fragmenty)

CHŁOPI

Proces zdobywania przez chłopów uprawomocnionego kulturowo statusu i miejsca w społeczeństwie, któremu początek dało uwłaszczenie, trwał wiele dziesięcioleci. W tym czasie dokonywała się m.in. krystalizacja ich świadomości narodowej, kształtowała się świadomość obywatelska, z chwilą odrodzenia państwa rodziła się świadomość państwowa. Procesom tym przyspieszenie nadał polityczny ruch chłopski, który istotne miejsce zajął na scenie publicznej Drugiej Rzeczypospolitej. Wiele uczynił on, by chłop polski chciał i mógł stać się chłopem — obywatelem, podmiotem — równym innym — twórczenia dziejów ojczystych. W latach wojny i okupacji i chłopci zyskali powszechnie akceptowaną opinię tych, którzy „żywią i bronią”.

Zmiany w pozycji chłopów w społeczeństwie, do jakich doszło w pierwszych latach po wojnie, mają wyjątkowo złożony charakter. Zarysowujące się przemiany geopolityczne zrodziły wśród poważnej części ludności chłopskiej poczucie zagrożenia jej bytu grupowego. Ale jednocześnie w tym samym czasie rozwijał się jej potencjał gospodarczy oraz rozszerzał udział w niektórych formach życia publicznego (PSL, różne chłopskie stowarzyszenia społeczne i gospodarcze). W procesach ruchliwości społecznej chłopci zajęli istotne miejsce.

U schyłku lat czterdziestych kończy się ta linia ewolucji społecznej. Ulega ona gwałtownej degradacji ze względu na niemal wszystkie kryteria położenia społecznego. Zmienia się też radykalnie publicznie głoszona wizja, perspektywa miejsca i roli chłopów w społeczeństwie i przede wszystkim przyszłości chłopskiego systemu życia. Pojawiające się odtąd kolejne prognozy głoszą mniej lub bardziej rychły koniec tego świata. Groźbę tę najdobitniej formułował program przymusowej kolektywizacji. W swej silnie rozbudowanej

warstwie ideologicznej, indoktrynacyjnej, zmierzał on do dyskredytacji chłopskiego systemu życia, nie tylko w wymiarze ekonomicznym i społecznym, lecz nawet moralnym.

Koniec świata chłopskiego miały obwieszczać również skierowane przeciwko chłopom na wielką skalę w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych represje prawne, gospodarcze, religijne. Chłopi znaleźli się w tym czasie w sytuacji jakby banitów we własnym kraju. Ta wewnętrzna banicja oznaczała odrzucenie podstawowego zespołu norm regulujących miejsce chłopów w społeczeństwie, a kształtujących się od czasów ich uwłaszczenia. Wprawdzie w latach sześćdziesiątych, a następnie siedemdziesiątych, nie zaznacza się już presja przymusowej kolektywizacji, ale w różnych fazach tego okresu występuje bardzo silna presja kolektywizacji dobrowolnej, a zatem również zapowiedź kresu chłopskiego świata.

Rezultaty wielu badań socjologicznych pozwalają stwierdzić, że niemal nieprzerwanie od połowy bieżącego stulecia zaznacza się w świadomości przeważającej większości ludności chłopskiej silne poczucie zagrożenia jej bytu jako grupy społecznej. Ten głęboki kryzys statusu chłopów w życiu publicznym kontrolowanym przez system państwowy stanowi niezwykle negatywny czynnik w kształtowaniu się powojennych losów tak ludności chłopskiej, jak też rolnictwa oraz pomyślności gospodarczej i społecznej całego narodu. W tej tak krytycznej sytuacji chłopci usiłowali jednak nieprzerwanie bronić swoich pozycji nie tylko w swym własnym interesie (czasem zresztą ten interes znajdował się dla wielu już poza ich warsztatami rolnymi), ale również w interesie całego społeczeństwa. Ta uporczywa walka wymaga jednak obecnie pilnej i wydatnej pomocy ze strony społeczeństwa. Nie tylko w postaci gospodarczej. Ale także i moralnej, symbolicznej. Taką właśnie rolę mogła spełnić projektowana fundacja Pomocy Rolnictwu. Niezależnie od wszystkich innych doniosłych funkcji, mogła ona stać się niezmiernie aktywnym czynnikiem stabilizacji w zawodzie rolnika indywidualnego młodego pokolenia chłopów.

Innym, równie neuralgicznym aspektem głębokiego kryzysu pozycji chłopów w życiu publicznym kontrolowanym przez państwo, jest bardzo niski poziom obiektywnych możliwości artykulacji ich interesów. Te możliwości, które stanowią dźwignię rozwojową nowoczesnych społeczeństw, mają w przypadku współczesnych chłopów polskich szczególnie znaczenie.

Godzi się wspomnieć, że ruch artykulacji grupowych interesów chłopskich był wyraźnie zaznaczony na ziemiach polskich już w końcu ubiegłego stulecia. Tendencję tę wyrażały przede wszystkim polityczne ruchy chłopskie, spółdzielczość i kółka rolnicze. W okresie poprzedzającym I wojnę światową polska spółdzielczość rolnicza zrzeszała ponad milion członków, w 1937 r. ponad trzy miliony.

Kółka rolnicze nie stały się tak masową organizacją (liczba ich członków wzrosła ze 175 tys. w 1914 r. do 300 tys. w 1938 r.), skupiały jednak szczególnie aktywnych zawodowo rolników. Te dwie formy zorganizowanych działań chłopskich wyrażały różne interesy zawodowe rolników w sposób bezpośredni i pośredni (poprzez chłopskie ruchy polityczne). Najsilniej artykułowany interes warstwy chłopskiej w okresie międzywojennym, dostęp do ziemi i do pracy pozarolniczej, został zrealizowany w relatywnie niewielkim stopniu, natomiast dynamika zorganizowanych grupowych interesów chłopskich była znaczna.

Tendencja ta występuje również, chociaż w dość złożonej formie w pierwszej fazie okresu powojennego, a zarazem dokonuje się w tym czasie istotny postęp w zakresie dostępu chłopów do dóbr zajmujących wysokie pozycje w strukturze ich ówczesnych interesów (ziemia, praca, oświata itp.). Z drugiej jednak strony w systemie politycznym zaznaczają się bardzo silne procesy jego „sztywnienia”, które na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych prowadzą faktycznie do zniszczenia ruchu artykulacji grupowych interesów chłopskich. Ruch ten odrodzi się najpierw w 1956 r. w formach nader elementarnych (mimo to będzie ograniczany w ciągu następnego ćwierćwiecza), z kolei w 1980 r. w formach znacznie bardziej rozwiniętych, które jednak niebawem zostaną całkowicie zawieszono.

Ostatnie stwierdzenia nie implikują przekonania, że w ostatnim, ponad trzydziestoletnim okresie nie zaznaczyły się żadne istotne przejawy artykulacji interesów chłopskich. Działania takie oczywiście wystąpiły, a były podejmowane m.in. przez działające w pewnych sytuacjach pod presją społeczną władze administracji państwowej, przez Kościół oraz przez różne ośrodki naukowe bądź w jakimś stopniu — niezależne w pewnych okresach — niektóre czasopisma. Konstatując te zjawiska należy jednakże zarazem zauważyć, że nie dokonała się w naszym kraju instytucjonalizacja interesów chłopskich i ich organizacyjna ekspresja. Jej brak wyraża się w tym zwłaszcza, że nie zdołano utworzyć instytucji (organizacja, stowarzyszenie) wyłonionej i kierowanej w sposób demokratyczny przez samych chłopów, tj. niezależnej i samorządnej, działającej legalnie, publicznie i na wszystkich szczeblach społeczeństwa, wyrażającej grupowe interesy chłopskie i reprezentującej je w stosunkach z reprezentantami innych interesów (ogólnospołecznych lub grupowych).

Odrodzone w 1956 r. kółka rolnicze i w zasadzie wszystkie podstawowe formy spółdzielczości rolniczej (które w latach 1948-1956 zostały upaństwowione) posiadały niewielkie możliwości w zakresie artykułowania interesów chłopskich na poziomie społeczeństwa globalnego. Przede wszystkim ze względów statutowych. Ich kompetencje ograniczały się do stosunkowo ściśle określonych dziedzin interesów chłopskich. Ponadto były one nie tylko stowarzysze-

niem osób fizycznych, lecz nade wszystko przedsiębiorstwami gospodarczymi, zresztą ponownie w stopniowy sposób upaństwowianymi. Stosunkowo wyraźnie wykształcony — chociaż tylko w określonym zakresie — model artykulacji interesów chłopskich reprezentowały po reaktywowaniu w 1956 r. działające w ramach kółek rolniczych różne związki branżowe rolników, które panujący system polityczny najpierw tylko tolerował, następnie hamował i w latach siedemdziesiątych — ograniczał.

Również grupowe interesy dwóch pozostałych, podstawowych członków struktury społecznej, tj. robotników i pracowników umysłowych (względnie inteligencji i pracowników umysłowych) są w bardzo słabym stopniu faktycznie zinstytucjonalizowane w przyjętym tu rozumieniu tego pojęcia. Były one jednak zinstytucjonalizowane przynajmniej w sensie teoretycznym (deklaratywnym), poprzez formalne uznanie zasady dopuszczalności artykułowania pewnej określonej sfery interesów pracowniczych przez związki zawodowe. Grupowe interesy chłopów nigdy nie uzyskały w systemie politycznym PRL nawet takiego statusu. Zastrzegął on sobie systematycznie monopol na arbitralną ich artykulację.

Funkcjonujący w naszym kraju model traktowania interesów grupowych chłopów można określić jako autokratyczny i przeciwstawić go nie występującemu u nas realnie, teoretycznemu modelowi demokratycznemu, którego podstawowym aspektem jest przedstawiona wyżej zasada instytucjonalizacji interesu grupowego.

Autokratyczny model traktowania interesów chłopskich przede wszystkim zasadniczo ogranicza możliwości adekwatnej ich artykulacji i honorowanie zgodnie z prawomocnymi zasadami regulowania rozbieżnej sfery interesów grupowych i rozbieżności między interesami grupowymi a interesem ogólnospołecznym. Systematyczne „tłumienie” interesów chłopskich rodziło ustawicznie głęboko negatywne skutki z punktu widzenia prawidłowości normalnego rozwoju społecznego ludności chłopskiej i rozwoju gospodarczego chłopskiego rolnictwa, a w konsekwencji — gospodarki żywnościowej.

Demokratyczny model traktowania interesów chłopskich zakłada zasadniczo inną procedurę ich artykulacji i honorowania, i odpowiadające jej, pozytywne funkcje. Można teoretycznie przyjąć, że model ten zapewnia w większym stopniu niż model autokratyczny osiągnięcie społecznie pożądanego celu: zinstytucjonalizowana artykulacja interesów chłopskich sprzyja akceptacji przyjętych kompromisowych rozwiązań. Umożliwia lepsze wykorzystanie potencjału doświadczeń, kwalifikacji indywidualnych rolników. Ułatwia wybór alternatyw optymalnych lub zadowalających (historia polityki rolnej państwa oparta na autokratycznym modelu traktowania interesów chłopskich stanowi w dużej mierze zaprzeczenie tego założenia). Sprzyja wreszcie rozwiązaniom zbieżnym z interesami większości

chłopów, a nie różnych mniejszości w różnych sytuacjach. Sprzyja także postrzeganiu reprezentantów innych interesów grupowych w terminach negocjacji i współpracy, a nie destrukcyjnej konflikto-wości. Są to jedynie, oczywiście, przykładowe oczekiwania adresowane teoretycznie do demokratycznego modelu traktowania interesów chłopskich.

Warstwa chłopska w Polsce znajduje się w takiej fazie swej historycznej ewolucji, w której kategoria interesu staje się jedną z jej podstawowych cech społecznych. Krystalizujące się w wymiarze obiektywnym i subiektywnym interesy chłopskie napotykają na nieprzewycięzoną dotychczas barierę. Tworzą ją tkwiące w systemie politycznym mechanizmy blokujące procesy artykulacji i instytucjonalizacji chłopskich interesów na poziomie społeczeństwa globalnego. Sytuacja ta wpływa negatywnie na procesy rozwoju chłopstwa jako klasy społecznej. Należy sądzić, że również i na rozwój gospodarczy oraz społeczny rolnictwa chłopskiego. Jest też zdecydowanie niekorzystna ze względu na szereg innych kryteriów normalnego funkcjonowania i rozwoju naszego społeczeństwa[...].

NARZĘDZIA

Rolnictwo jest tym szczególnym działem gospodarki narodowej, którego głównym celem jest zaspokojenie najbardziej podstawowych potrzeb wszystkich bez wyjątku ludzi poprzez dostarczenie żywności. W interesie społeczeństwa leży więc maksymalizacja produkcji żywności czy to na potrzeby własne, czy też z przeznaczeniem na eksport lub pomoc innym. Wzrost produkcji żywności można, oczywiście, osiągnąć bez wprowadzania mechanizacji. Gospodarstwa małe — w skrajnym przypadku ogrody warzywne czy działki — pozwalają na wytwarzanie największej ilości produktów z jednostki powierzchni. Produkcja taka wymaga jednak ogromnych nakładów pracy ludzkiej. Jest więc droga. Aby żywność była tania, konieczny jest nie tylko wzrost produkcji, ale i zastępowanie pracy ludzkiej pracą maszyn. Ich prawidłowe użycie jest tańsze od pracy ludzi i zwierząt. Świadczą o tym przykłady krajów rozwiniętych, w których obniżają się ceny żywności, ponieważ coraz większa liczba konsumentów opłaca pracę coraz mniejszej liczby rolników, wyposażonych w nowoczesne środki produkcji. Pogodzenie więc wymogów produkowania żywności w dużych ilościach i zarazem taniej, wymaga m.in. intensywnego stosowania środków technicznych. Właśnie maszyny — pomimo ubytku rąk do pracy — pozwalają na coraz ściślejsze przestrzeganie terminowości prac w rolnictwie, od uprawy poprzez siewy, pielęgnację i ochronę, aż po zbiory. A wymagania są tu bardzo poważne. Np. gleby z okolic Kętrzyzna nazywane są „minutowymi”

właśnie z uwagi na konieczność bardzo ścisłego przestrzegania terminów agrotechnicznych. Niektóre osiągnięcia wiedzy rolniczej (nawozy mineralne, ochrona chemiczna, nawadnianie), stanowiące podstawę „zielonej rewolucji”, nie mogłyby być wprowadzone bez użycia maszyn. Technika pozwala na poprawę kultury roli, na korzystne zmiany w strukturze upraw na rzecz roślin wydajniejszych, ale wymagających troskliwej pielęgnacji i ochrony czy szczególnych metod zbioru i przechowywania. Dzięki odpowiednim urządzeniom straty w przechowalnictwie i przetwórstwie, normalnie sięgające wielu dziesiątków procent, można ograniczyć niemal do zera.

Dla rolników, producentów żywności, zastosowanie maszyn jest wobec wymienionych uwarunkowań po prostu koniecznością. Wprowadzenie mechanizacji nie tylko zwiększa plony, ale również stwarza możliwości zwiększenia skali produkcji. Dzięki zastosowaniu maszyn wzrasta wydajność pracy, a wraz z nią dochody rolnika. Mechanizacja łagodzi uciążliwość pracy, a ponadto zaspokaja, co dotyczy szczególnie młodych rolników, psychologiczną potrzebę nowoczesnego stylu pracy związanego z zastosowaniem najnowszych zdobyczy cywilizacji. Przy świadomym samoograniczeniu przez rolnika dochodów do pewnego pułapu, co nie jest łatwe, wprowadzenie maszyn pozwala skrócić czas pracy i umożliwić korzystanie z czasu wolnego w celu wszechstronnego rozwoju osobowości: uczestniczenia w życiu kulturalnym, społecznym i politycznym.

W polskim rolnictwie, opóźnianym w swoim rozwoju przez przeszkody nie tylko natury obiektywnej, pragnienie i potrzeba modernizacji gospodarstw i rolnictwa — jako jeden z elementów przywrócenia pracy na roli właściwej jej godności — są odczuwane przez ciężko doświadczonych rolników szczególnie silnie. Potrzebę tę wzmagają jeszcze powszechnie wśród rolników dostrzeganie własnych potencjalnych możliwości i świadomość bardzo niepełnego ich wykorzystania. Bezpośrednią tego przyczyną jest właśnie niedostateczne wyposażenie w przemysłowe środki produkcji, stojące w rażącej dysproporcji do poziomu niezbędnej — i potencjalnie możliwej — produkcji rolnej oraz zasobów pracy w rolnictwie. A oceniać je należy pod kątem nie tylko liczby statystycznie zatrudnionych, ale także struktury wiekowej oraz z uwzględnieniem wielu zadań i ciężarów innych niż produkcja rolna, spadających na barki rolników. Chodzi tu zwłaszcza o prace budowlane oraz pokonywanie trudności wynikających z niedowładu handlu, zaopatrzenia i skupu, a także administracji wiejskiej. Życie w warunkach ubogiej infrastruktury, braku właściwych usług i opieki socjalnej wymaga zaangażowania niekiedy połowy czasu i sił rolnika w celu wykonywania czynności nie związanych bezpośrednio z produkcją rolną.

Stan wyposażenia rolnictwa w ciągniki, maszyny i urządzenia

Rolnictwo nasze charakteryzuje się bardzo wyraźnym zróżnicowaniem sektorowym i przestrzennym, ukształtowanym przede wszystkim historycznie i po części uwarunkowanym geograficznie. Stąd odmiennosc potrzeb, także w zakresie mechanizacji. Jeżeli nawet zgodzić się ze stwierdzeniem, że „rolnictwo jest jedno” — niekoniecznie słusznym, skoro poszczególne sektory wykazują bardzo znaczne różnice od efektywności gospodarowania po stan wyposażenia — to na pewno wymaga ono jednak bardzo zróżnicowanego podejścia.

Na ok. 24% powierzchni użytków rolnych w Polsce działają państwowe i w niewielkiej części spółdzielcze gospodarstwa rolne. Ich wyposażenie techniczne, dzięki bardzo silnie preferencyjnej polityce rolnej (do 1970 r. obowiązywał zakaz sprzedaży nowych ciągników chłopom) jest już od wielu lat — przynajmniej ilościowo — wystarczające. Inna rzecz, że co do struktury i kompletności wyposażenia można mieć wiele zastrzeżeń. Mimo znacznego wykorzystania tego sprzętu i dużej liczby zatrudnionych (ok. 13 osób na 100 ha użytków rolnych) wyniki produkcyjne tych gospodarstw, mierzone w kategoriach „produkcji czystej”, były fatalne. W gospodarstwach SKR, które w myśl realizowanej wówczas polityki przejmowały ziemie chłopów, tzw. produkcja czysta była ujemna, co oznacza ponoszenie strat w wysokości wielu tysięcy złotych dochodu narodowego na każdy hektar (np. w 1976 r. ok. 350 tys.; w 1981 r. — już tylko ok. 130 tys.). Dokładniejsze porównanie wyników produkcji naszych gospodarstw „uspołecznionych” z wynikami uzyskiwanymi przez podobne przedsiębiorstwa o zbliżonym poziomie wyposażenia technicznego w innych krajach socjalistycznych wskazuje, że w wielu przypadkach nasze przedsiębiorstwa są nawet przeinwestowane. Jest to, obok ogólnie niedostatecznego poziomu ich organizacji, jedną z przyczyn niskiej efektywności gospodarowania.

Mamy ponad 2,8 miliona gospodarstw należących do rolników indywidualnych, którzy gospodarują na przeszło 14 milionach ha tj., ok. 75% powierzchni użytków rolnych w kraju. W rolnictwie tym, przede wszystkim rodzinnym, pracuje jeszcze 1,3 miliona koni i przeszło 600 tys. ciągników, co przesądza o ograniczonych możliwościach zmechanizowania procesów produkcyjnych. Ogromną większość prac związanych z chowem zwierząt wykonuje się po prostu ręcznie. Nawet prace polowe są w niedostatecznym jeszcze stopniu zmechanizowane. W 1983 r. oceniono, że uprawa roli (orka) wykonywana jest ciągnikami własnymi rolników w 40%, ponadto usługowo (przez spółdzielnie kółek rolniczych) — w 26%. Oznacza to, że 1/3 tych prac wykonywano jeszcze końmi. Nawożenie mineralne wykonywane było sprzętem własnym w 20%, usługowo — 16%. Inne prace i odpowiadające im procenty: nawożenie organiczne — 23%, usługowo — 23%;

siewy zbóż ciągnikami własnymi — 20% areалу, usługowo — 4%; sadzenie ziemniaków — 20% areалу, usługowo — 10%; ochrona roślin sprzętem własnym — w 16%, usługowo w 38%. Tak więc połowy zabiegów uznawanych za niezbędne nie wykonywano w ogóle, gdyż sprzętu konnego czy ręcznego do oprysków praktycznie na szerszą skalę się nie stosuje. Koszenie łąk zmechanizowane było w przeszło 60%, z czego połowa sprzętem własnym, zbiór zbóż kombajnami w przeszło 30%, głównie usługowo, zbiór ziemniaków kombajnami — niespełna 10% areалу, w połowie sprzętem własnym. Podobnie buraki zbierane są kombajnami w 10% areалу, głównie w formie usługowej.

Biorąc pod uwagę ograniczoną dostępność i niską jakość usług SKR oraz fatalną terminowość — trudno byłoby spodziewać się lepszych wyników w produkcji rolnej. W zestawieniu powyższym ujęto (poza opryskami) tylko prace w rzeczywistości wykonywane, a — jak wspomniano — wielu prac i zabiegów, których wykonanie byłoby wskazane właśnie z braku sprzętu własnego czy usług, nie robi się w ogóle. Trzeba jednak stwierdzić, że dzięki corocznej sprzedaży większości ciągników rolnikom indywidualnym, w zakresie stopnia mechanizacji prac polowych odnotować można pewien postęp.

Wyposażenie a potrzeby

Podstawą wyposażenia gospodarstwa jest siła pociągowa lub szerzej — środki energetyczne. Specyfika produkcji rolnej, wymagania co do terminowości prac i konieczność stałego zaangażowania siły pociągowej przesądzają o tym, że podstawowy środek energetyczny powinien być w wyłącznej dyspozycji każdego produkcyjnego gospodarstwa. Jak wynika z badań i doświadczeń, celowe jest dążenie — pomimo trudności energetycznych — do wyposażenia rolnictwa w mechaniczną siłę pociągową, czyli ciągniki. Obecnie w gospodarstwach indywidualnych użytkowanych jest ok. 650 tys. ciągników, z czego ok. 40% stanowi sprzęt nabyty jako używany, z reguły zdezastowany w przedsiębiorstwach państwowych i spółdzielczych. Uwzględniając posiadanie przez część gospodarstw dwóch lub nawet więcej ciągników (i często równocześnie koni) — statystycznie mniej niż co piąte gospodarstwo jest wyposażone w ciągnik. Odliczając nawet przeszło 1,6 mln gospodarstw drobnych (do 5 ha) mamy 1,2 mln gospodarstw większych, z których połowa nie dysponuje własnym ciągnikiem. W części gospodarstw siłę pociągową stanowią konie, ograniczające powierzchnię paszową, która mogłaby służyć jako baza dla rozwoju produkcji zwierzęcej. Pozostałe gospodarstwa nie posiadają w ogóle własnej siły pociągowej. Szacuje się, że jest ich blisko 1,4 mln. Sytuację ratuje — w pewnym stopniu — unikalne w skali światowej zjawisko masowego konstruowania przez rolników

i rzemieślników małych ciągników, do których wykorzystuje się stare silniki omlotowe i inne zespoły pochodzące ze złomu. Liczbę takich ciągników budowanych „własnym przemysłem” szacuje się na przeszło 100 tys. sztuk. Jest to swoisty pomnik pomysłowości, zaradności i woli przetrwania...

Wyposażenie w maszyny towarzyszące jest jeszcze gorsze. Zwłaszcza w urządzenia służące w produkcji zwierzęcej. Tylko nieco ponad połowa gospodarstw dysponuje parnikiem, co dziesiąte gospodarstwo produkujące mleko ma dojarjkę, znacznie mniej gospodarstw posiada urządzenia do chłodzenia mleka. Przygotowanie pasz, zadawanie, usuwanie odchodów itp. odbywa się praktycznie wyłącznie ręcznie. Angażuje to pracę i siły zwłaszcza kobiet w stopniu nie spotykanym w krajach o średnim poziomie rozwoju.

Jak wynika z prognoz, konieczne jest wyposażenie rolnictwa do 2000 r. w ok. 1,5 mln ciągników o mocy powyżej 30 KM, a więc tych aktualnie produkowanych. Z tego ok. 1,2 mln powinno pracować w gospodarstwach indywidualnych. Wymaga to dostaw w liczbie ok. 100 tys. sztuk rocznie (obecnie wynoszą one ok. 60 tys.). Ponadto niezbędne jest wyposażenie gospodarstw w ciągniki mniejsze, o mocy poniżej 20 KM (roczne dostawy na poziomie 25 tys. sztuk zaspokołyby tylko minimum potrzeb). Niezbędne są też dostawy narzędzi motorowych w liczbie 50 tys. — 60 tys. sztuk rocznie. Wymienionych małych ciągników i tzw. motonarzędzi praktycznie dotąd na większą skalę nie produkuje się. A nie są to jedyne „białe plamy” w wyposażeniu gospodarstw. Analizy potrzeb i technologii produkcji wskazują na konieczność stosowania w naszym rolnictwie ok. 1,5 tys. różnych rodzajów i wielkości maszyn i urządzeń, z czego tylko ok. 500 rodzajów maszyn, i to w niedostatecznych ilościach — jest oferowanych na rynku. Wiele do życzenia pozostawia dostosowanie wielkości ciągników i maszyn do potrzeb, zwłaszcza do wielkości gospodarstw. Dopiero od kilku lat podejmuje się produkcję maszyn (nie licząc sprzętu konnego) z myślą o gospodarstwach indywidualnych. Praktycznie nie mamy dotąd małych kombajnów zbożowych, które powszechnie używane były w innych krajach, gdy przeważały tam gospodarstwa drobne. Ciągniki produkowane obecnie są zbyt duże (i drogie) dla przeważającej liczby gospodarstw o powierzchni 5 — 15 ha, zwłaszcza gdy nie prowadzi się intensywnej produkcji warzywniczej lub sadowniczej. Popyt na ciągniki, nawet i większe, utrzymuje się jednak stale, ponieważ wykorzystywane są one w 60% w transporcie, co jest wprawdzie nieekonomiczne, ale w istniejącej sytuacji — konieczne. Dzieje się tak, gdyż równie dotkliwie jak mechanizacji prac polowych brakuje usług transportowych. Ze względu na małą podaż i nieliczenie się z kosztami przez innych odbiorców (przedsiębiorstwa państwowe) są one bardzo drogie. W rezultacie rolnicy przeszło 90% prac transportowych i przeładun-

kowych wykonują we własnym zakresie. Jest to kolejny element przesądzający o tym, że nie można zestawiać wysokiego zatrudnienia w rolnictwie polskim z zatrudnieniem w krajach rozwiniętych.

W celu pełnego i racjonalnego zmechanizowania produkcji rolniczej w Polsce niezbędny jest więc dwu- i trzykrotny, a w przypadku wielu setek rodzajów maszyn i większy — wzrost wyposażenia oraz podjęcie produkcji lub importu kolejnych setek rodzajów urządzeń, maszyn i narzędzi rolniczych. Nie jest to zadanie, którego realizacji można bez najpoważniejszych konsekwencji uniknąć. Ponadto mechanizacja musi się z natury rzeczy rozwijać kompleksowo. Zastosowanie maszyn wywołuje, choć w naszych warunkach z wielu powodów powoli, wzrost skali produkcji. Ponadto poszczególne technologie uzupełniają się. I tak np. stosowanie kombajnów wymaga rozwoju suszarnictwa ziarna; za wprowadzeniem udoju mechanicznego musi iść instalowanie chłodziarek do mleka i całych ciągów przygotowania, przechowywania i zadawania pasz. Rozwój produkcji polowej pociąga za sobą wzrost (niekoniecznie w tych samych gospodarstwach) produkcji zwierzęcej itd.

W ślad za mechanizacją gospodarstw idą i inne potrzeby: energetyczne, zwłaszcza paliwowe, naprawcze, budowlane, melioracyjne, drogowe, transportowe, łącznościowe, zaopatrzenia w wodę, wiele usług i udogodnień innego typu, np. potrzeba kredytowania. Mamy więc do czynienia z potrzebą pełnej rekonstrukcji technicznej rolnictwa i wręcz daleko idącej modernizacji życia gospodarczego, a w konsekwencji i społecznego wsi.

Wyposażenie a podaż

Zaangażowanie przemysłu na rzecz rolnictwa na poziomie zaledwie — 4%—5% jego potencjału było podnoszone po sierpniu jako jeden z najważniejszych powodów niewykorzystania potencjalnych możliwości produkcji żywności w Polsce. Wtedy pojawiło się — po raz kolejny — hasło „zielonego światła” dla rolnictwa. Wiele zakładów podjęło często oddolne, niekiedy skuteczne próby uruchomienia produkcji sprzętu rolniczego. Jednak załamanie produkcji w latach 1982-1983 było w przemyśle maszyn rolniczych głębsze niż w pozostałych branżach. Dziesiątki zakładów wycofywało się z produkcji sprzętu, na który handel gwałtownie obniżał zamówienia. Pojawiły się oznaki pozornego zaspokojenia potrzeb. Oczekiwana i niezbędna orientacja przemysłu w kierunku potrzeb rolnictwa nie nastąpiła. Plany operacyjne, dotyczące tylko wybranych rodzajów sprzętu, nie mogły zastąpić nie istniejących oddziaływań ekonomicznych i przyniosły tylko wycinkowe efekty. Dotychczas praktycznie nigdy nie zostały zrealizowane programy produkcji dla rolnictwa. Drastycznym przykładem jest zakup licencji w firmie

Massey-Ferguson. Zakładano, że łączne dostawy ciągników na poziomie ok. 100 tys. sztuk rocznie zostaną osiągnięte już w 1980 r. Do chwili obecnej nie przekroczone 60 tys. sztuk. Wszystko wskazuje na to, że podobnie będzie z dostawami zakładanymi w uchwalonym przez Sejm programie rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej do 1990 r. Skutecznie — jak dotąd — neutralizowano próby uruchomienia produkcji tak niezbędnych małych ciągników. Konieczna jest nadal reglamentacja, niewielu wprowadzie typów, ale podstawowych i najdroższych maszyn, np. wszystkich ciągników i kombajnów stanowiących w ujęciu wartościowym dominującą większość dostaw sprzętu dla rolnictwa. Zaopatrzenie w części zamienne wymaga osobnego omówienia. Nawet instrukcje obsługi lub katalogi części są w praktyce nieosiągalne. Produkcję wielu maszyn i urządzeń — jak już wspomniano, nawet ciągników — podejmują sami rolnicy i nieliczni na wsi rzemieślnicy. Często bardzo udane i potrzebne konstrukcje — mimo wysiłków ich autorów — nie mogą utworzyć sobie drogi do produkcji przemysłowej.

Odrębny problem stanowi niezawodność i sprawność oferowanego sprzętu. Ze względu na konieczną terminowość wykonywania prac oraz zmienne i bardzo trudne warunki pracy w polu wymagania stawiane maszynom rolniczym powinny być bardzo wysokie. Tymczasem jakość dostarczanego sprzętu jest zaskazująco niska. Zdarzają się elementy, np. łożyska, wytrzymujące kilka godzin pracy, a niektóre nowe maszyny wymagają licznych napraw już w okresie gwarancji. Zarówno ilość, jak i jakość oferowanych rolnikom maszyn oraz niedostosowanie ich do potrzeb wskazują, że w planowej z założenia gospodarce funkcjonują grupy nacisku, wśród których zdecydowanie silniejsze zdają się być koła przemysłowe, w ramach zaś samego przemysłu najślabszy krąg stanowią producenci sprzętu rolniczego.

Wyposażenie a popyt

Niepokojąco często pojawia się absurdalna teza o dostatecznym wyposażeniu rolnictwa. Argumentem mogą tu być oznaki zaspokajania popytu na maszyny rolnicze. Potrzeby są więc fałszywie utożsamiane z popytem, który rzeczywiście gwałtownie maleje, ponieważ parytet dochodów rolniczych obniża się od 1983 roku.

W normalnych, typowych rejonach rolniczych coraz liczniej występują przypadki rezygnacji z zakupu maszyn z powodu braku pieniędzy. Bardzo niechętnie kupowane są, jako zbyt drogie (a i tak deficytowe) ciągniki licencyjne. Zjawisko to związane jest oczywiście z relacjami cen przy uwzględnieniu osiągniętej skali i wielkości produkcji. Relacje cen artykułów przemysłowych i rolniczych, okresowo w 1981 r. korzystne dla rolników, systematycznie pogarszają się.

Czy maszyny są dziś drogie, czy tanie? Odpowiedzią jest właśnie kształtowanie się popytu. Są względnie tanie dla gospodarstw najlepszych i największych, ale te już mają maszyny. Dla gospodarstw przeciętnych i słabszych, z których produkcji zrezygnować nie możemy, maszyny są zbyt drogie. A dla tych właśnie gospodarstw potrzebna jest szansa modernizacji, czyli lepsze wyposażenie w środki produkcji. Obecnie produkowane ciągniki (w porównaniu z cenami płodów rolnych) są o 30-40% tańsze niż w krajach zachodnich. Ale np. z porównania ceny ciągnika Massey-Ferguson — a ma być ich coraz więcej — do cen płodów rolnych wynika, że nie jest on tańszy niż za granicą. Jednak to nie relacje cen przesądzają bezpośrednio o możliwości nabywania maszyny, ale przede wszystkim wielkość osiągniętej przez gospodarstwo produkcji i struktura pozostałych kosztów. Rolnicy w innych krajach uzyskują wyraźnie wyższe plony dzięki o wiele lepszemu wyposażeniu w przemysłowe środki produkcji. Większe są też gospodarstwa, np. średnia ich powierzchnia we Włoszech wynosi ok. 8 ha, w Austrii przeszło 10 ha, w RFN — 14 ha, w Szwecji i Francji powyżej 25 ha, a w Wielkiej Brytanii — ponad 60 ha. Możliwości nabywcze gospodarstw są więc wielokrotnie większe i takie też jest ich rzeczywiste wyposażenie. Należy pamiętać, że wymienione kraje jeszcze niedawno miały niższe plony i rozdrobione gospodarstwa, jednak w okresie szybkiego rozwoju gospodarczego rolnicy dysponowali mniejszymi, prostszymi, tańszymi, dostosowanymi do ich potrzeb i możliwości maszynami. Ponadto za granicą jakość produkowanych maszyn i ciągników jest nieporównanie wyższa. Zatem koszty eksploatacji, zwłaszcza napraw i części zamiennych, mniej niż u nas obciążają gospodarstwo. W zmechanizowanych gospodarstwach rolników w Polsce koszty eksploatacji pochłaniają 50-60% przychodów, zaś w krajach Europy Zachodniej oscylują wokół 30-40%. Tak wysoki koszt eksploatacji wynika również z niedostosowania u nas wielkości maszyn do wielkości gospodarstw.

Przytoczone fragmenty pochodzą z „Raportu o stanie wsi i rolnictwa” przedłożonego Konferencji Episkopatu Polski. Zob. część 1 w numerze 4/1986 ZNAKÓW CZASU.

Jan Król

DYLEMATY POLSKIEJ GOSPODARKI

PRZYKŁAD PIERWSZY

Ostatnio wprowadzono w Bułgarii zarządzenie ustalające monopol państwa na kupno i sprzedaż samochodów używanych. Jednocześnie zezwolono na prowadzenie samochodów prywatnych tylko przez właścicieli lub członków ich najbliższej rodziny. Na kupno nowego samochodu osobowego po cenie państwowej trzeba czekać w Bułgarii około 18 lat.

W Polsce, mimo pewnych zakusów monopolizacyjnych, istnieje wolny obrót samochodami, po oczywiście odpowiednio wyższych cenach. Nie ma ograniczeń w korzystaniu z cudzego samochodu, o ile właściciel zezwoli na to. Natomiast w zasadzie nie ma obecnie możliwości zakupu samochodu osobowego po cenie państwowej. Mają ją bowiem tylko ci, którzy dokonali w 1981 r. tzw. przedpłaty i cierpliwie oczekują na swoją kolejkę, a także uprzywilejowana grupa wyższych funkcjonariuszy aparatu państwowego, partyjnego czy gospodarczego. Otrzymują oni, nie częściej niż raz na cztery lata, asygnaty upoważniające do wykupienia samochodu osobowego po cenie państwowej. Przed 1981 r. asygnaty nazywane były talonami. W 1981 r. pod naciskiem opinii społecznej zostały zlikwidowane i wówczas każdy z obywateli mógł dokonać przedpłaty na samochód. Po stanie wojennym talony pod nazwą asygnat wróciły natychmiast jako jeden z relikwów systemu. Stanowią one bowiem swego rodzaju premię dla dobrze sprawujących się funkcjonariuszy.

W RFN samochody czekają na klientów bez żadnych, poza cenowymi, ograniczeń. Nie ma też żadnych asygnat, preferencji, kolejek, przedpłat.

W Polsce w 1983 r. przypadało 86,9 samochodów osobowych na 1.000 ludności, w RFN 413. Kolejne roczniki statystyczne wydawane w Polsce nie podają tej wielkości dla Bułgarii.

Pomijam kwestię jakości samochodów jeżdżących po drogach Bułgarii, Polski i RFN.

DYLEMAT I

Więcej swobody w gospodarowaniu i większa dostępność dóbr, czy więcej administrowania, ograniczania działań gospodarczych i wydłużanie kolejek? Więcej rynku czy więcej zakazów i nakazów?

PRZYKŁAD DRUGI

Niedawno Polskie Radio emitowało audycję mówiącą o kłopotach polskiego konstruktora, twórcy tzw. resorów parabolicznych. Mają one zastosowanie we wszelkich kołowych środkach transportu, przeszły już serię badań doświadczalnych, które potwierdziły ogromne oszczędności materiałowe, znacznie wydłużoną eksploatację oraz wyższy komfort jazdy. A więc same pozytywy. Niestety konstruktor od kilkunastu już lat rozbija się o „niemożność” wdrożenia do produkcji tych resorów. Jest zmęczony i mocno zawiedziony. Nie rezygnuje z walki, ale ma już na nią coraz mniej sił.

Inny konstruktor-wynalazca powiedział przed kamerą telewizji: każdorazowo po zgłoszeniu jakiegoś wynalazku przychodzą rewidenci. Przeprowadzają kontrolę szukając nadużyć. Ograniczają pracę. „Nauczyłem się już wkalkulowywać to w moją działalność, ale mam poczucie przegranej” (cytat z pamięci).

DYLEMAT II

Zabijać czy pobudzać ludzką, oddolną inicjatywę?

PRZYKŁAD TRZECI

Wyjeżdżając z Polski za granicę do krajów wolnodewizowych pociągami trzeba kupić bilet. Do granicy NRD-RFN płaci się w złotówkach. Dalej płacić trzeba w dewizach, inaczej mówiąc w twardej walucie. Bank w niektórych przypadkach, zupełnie uznaniowo, zwalnia od zakupu w dewizach i umożliwia zakup w złotówkach według oficjalnego kursu danej waluty (obecnie ok. 200,— zł za 1 dolara USA). Bilet jest wówczas stosunkowo tani. Ale gdy nie uzyska się takiego zezwolenia, wtedy część biletu pokryć należy w dewizach. Skąd wziąć dewizy? Trzeba kupić je na czarnym rynku, według kursu spekulacyjnego (obecnie 750,— zł za 1 dolara USA), czyli trzeba dopuścić się nielegalnej, zabronionej przez prawo, transakcji obrotu walutami w celu zrealizowania innego paragrafu gęstej sieci przepisów prawnych, próbujących regulować życie Polaków.

Prawie każdy klient licznej sieci sklepów Pewex-u, zorganizowanych przez państwo w celu pozyskiwania dewiz od obywateli, jest przestępcą dewizowym, gdyż w większości przypadków wejście w posiadanie waluty obcej następuje w drodze nielegalnej, w świetle przepisów wymiany.

DYLEMAT III

Mnożyć dalej absurdy, czy unormalniać życie?

PRZYKŁAD CZWARTY

Oficjalne wystąpienia, wszelkie programy gospodarcze postulują od lat, jako jeden z zasadniczych celów gospodarki, wzrost eksportu. W tym momencie schodzimy na ziemię. Jest firma. Ma kapitał. Ma odbiorcę swych wyrobów, które produkuje na eksport. Ma surowce. Ma moce produkcyjne. Jedynym ograniczeniem jest określony przez administrację limit zatrudnienia, przy którym nie jest w stanie zwiększyć produkcji. Zabiega więc o zwiększenie tego limitu u odpowiednich czynników administracji państwowej. Jej przedstawiciele nie widzą w zasadzie przeszkód. Ale od roku brak decyzji, mimo że kodeks postępowania administracyjnego zobowiązuje urzędy do odpowiedzi w ciągu najwyżej dwóch miesięcy. Sprawa trwa. O co w niej chodzi? O eksport? Nie! O stopień zbiurokratyzowania gospodarki.

DYLEMAT IV

Odbiurokratyzowanie gospodarki, czy jej dobijanie?

PRZYKŁAD PIĄTY

Politykę gospodarczą PRL cechuje zapalanie raz zielonego, raz czerwonego światła dla prywatnej inicjatywy. Są okresy zachęty, ulg podatkowych, łatwości w uzyskaniu zezwoleń, dobrego klimatu polityczno-propagandowego. Po nich następują z reguły zaostrzenia warunków finansowych, utrudnienia w wydawaniu koncesji, traktowanie przez aparat władzy prywatnej przedsiębiorczości jako kozła ofiarnego złej sytuacji gospodarczej, blokowanie źródeł zaopatrzenia w surowce, materiały, maszyny i urządzenia. Ten typ polityki wprowadza stan niepewności, brak skłonności do ryzyka, tendencję do szybkiego wzbogacenia się, niechęć do rozwoju. U źródeł tych fluktuacji leżą uprzedzenia doktrynalne, abstrahujące od kryteriów ekonomicznych, takich jak: efektywność, opłacalność, elastyczność, wydajność.

DYLEMAT V

Bronić doktryny czy efektywności gospodarowania?

PRZYKŁAD SZÓSTY

Na konferencji prasowej 13 czerwca 1986 roku I zastępca przewodniczącego Komisji Planowania min. Kubiczek poinformował, że zamierzenia na lata 1986-1990, oparte na poprawie efektywności gospodarowania i osiągnięciu równowagi gospodarczej, nie zostaną w pełni wykonane. Dlatego też — ponieważ tempo dochodzenia do równowagi zależy w dużej mierze od mechanizmów ekonomicznych, Komisja Planowania widzi potrzebę bardziej radykalnego wycofania się z rozwiązań przejściowych reformy gospodarczej, czyli skończenie z rozdzielnictwem materiałów, dotacjami. Chce wytworzyć sytuację, w której przymus ekonomiczny byłby głównym motorem działania przedsiębiorstw.

A zatem dopiero kolejne z rządu doświadczenie (które to w ciągu czterdziestu lat?), że brak wystarczająco głębokich zmian w systemie funkcjonowania gospodarki hamuje przewyżnianie kryzysu — wymusza te zmiany. Dlaczego centrum zarządzające, czyli inaczej mówiąc rząd, nie jest zdolny *ex ante* przewidywać konsekwencji określonych decyzji lecz czyni to zawsze *ex post*?

DYLEMAT VI

Albo konsekwentna reforma gospodarcza uruchamiająca ekonomiczne kryteria i mechanizmy, albo mocno skompromitowany, nakazowo-rozdzielczy styl zarządzania utrwalający niewydolność i impas polskiej gospodarki?

PRZYKŁAD SIÓDMY

Udział Polski w handlu światowym wynosił w 1984 r., jeżeli idzie o import 0,5%, a w eksporcie 0,6% i zmniejszył się w porównaniu z 1970 r., w którym odpowiednio wynosił dla importu i eksportu 1,1%. W przeliczeniu na 1 mieszkańca Polski import wzrósł ze 111 w 1974 r. do 288 dolarów USA na głowę w 1984 r., a eksport ze 109 do 318, z tym, że równocześnie import i eksport światowy wzrósł w tym okresie sześciokrotnie. Stało się wyraźne nienadążanie Polski za rozwojem handlu światowego, mierzonym udziałem w międzynarodowym podziale pracy. Stąd nierozwiązalność problemu polskiego zadłużenia.

Powrót Polski po 36 latach do Międzynarodowego Funduszu Walutowego oraz uchwalenie ustawy o spółkach z udziałem kapitału zagranicznego są dobrymi sygnałami. Może to wskazywać na chęć

rządu utrzymania Polski w kontakcie z gospodarką światową. Międzynarodowa izolacja polskiej gospodarki, mająca swoje polityczne przyczyny, skazuje przecież nasz kraj na uwiąd gospodarczy. A prawda jest taka, że to Polska bardziej potrzebuje świata, niż świat Polski.

DYLEMAT VII

Polska w pełnowymiarowym kontakcie z gospodarką światową, czy Polska izolowana?



Przytoczone „obrazki” z codzienności gospodarczej Polski pomogły mi jedynie egzemplifikować siedem tak sformułowanych dylematów polskiej gospodarki, przy czym ich dobór był zupełnie przypadkowy. Rzecz w postawionych dylematach. Myślę, że nie wyczerpują wszystkich, ale są chyba ważne.

Morze atramentu wypisano na temat krytycznego stanu polskiej gospodarki. Donosi o tym zarówno prasa oficjalna, jak i drugiego obiegu, przeróżne opracowania referatowe, książkowe. Nie brak też krytycznego tonu w wystąpieniach oficjalnych, chociaż próbuje przelicytować go urzędowy optymizm. Niepokój o przyszłość gospodarczą Polski wyrażają również Biskupi w Komunikatach z Konferencji Episkopatu.

Do abecadła wiedzy na ten temat należy, że Polska gospodarka jest mało wydajna; materiało-, energo-, transporto-, import- i kapitałochłonna; że środowisko naturalne jest poważnie zagrożone; perspektywa zmniejszenia zadłużenia, nie mówiąc o jego spłacie, staje się coraz mniej realna; majątek produkcyjny jest zanadto zużyty i nie jest odtwarzany itd. itp.

Póki co, niewiele z tego wynika dla praktyki i efektów gospodarowania. Samo opisywanie stanu gospodarki, chociaż ważne, nie zastąpi ostrych wyborów, których należy dokonywać. Klucz do nich znajduje się w ręku władz. Odnosi się jednak wrażenie, że brak jest sił politycznych i społecznych zdolnych do skierowania polskiej gospodarki na tory dynamicznego, nowoczesnego i efektywnego rozwoju.

Wiadomą rzeczą jest, iż wyczerpane zostały czynniki tzw. ekstensywnego rozwoju w postaci dodatkowego zatrudnienia, zwiększonej produkcji i zużycia surowców i materiałów, czy budowania nowych fabryk, które stanowiły siłę napędową wzrostu gospodarczego Polski do końca lat siedemdziesiątych. Równocześnie wiadomo, że istnieją olbrzymie rezerwy ludzkie i materialne do wykorzystania, których obecna polityka i obecnie realizowany model gospodarki nie są w stanie uruchomić.

Powstaje więc pytanie zasadnicze: jak rozstrzygnąć dylematy

polskiej gospodarki i kto ma to czynić, aby absurd przestał dominować nad normalnością, aby czarne było czarne, a białe białe? *Uczynić należy z gospodarki teren rzeczywistego porozumienia narodowego*, które pozwalałoby na pobudzenie ludzkiej inicjatywy, na poprawę stosunku do pracy, na podjęcie walki z absurdami, niegospodarnością, indolencją.

1. Porozumienie w sprawach gospodarczych musiałyby oznaczać zgodę na respektowanie praw ekonomicznych, takich jak:

— prawo wartości, umożliwiające optymalną alokację środków produkcyjnych, liczenie rzeczywistej efektywności gospodarowania i prowadzące do urealnienia funkcji pieniądza;

— prawo popytu i podaży, określające wielkości produkcji i jej opłacalności;

— prawo zmiany stosunków społeczno-ekonomicznych w zależności od poziomu rozwoju gospodarki;

— prawo proporcjonalnego rozwoju, chroniące gospodarkę przed powstawaniem nadmiernych dysproporcji.

Lekceważenie tych praw w imię racji ideologicznych czy politycznych paraliżuje gospodarkę. Odpowiedzialni za jej stan bardziej czuwają nad poprawnością ideologiczną i polityczną, aniżeli nad słusznością ekonomiczną.

2. Porozumienie, to stosowanie ekonomicznych reguł gry w działalności wszystkich sektorów gospodarki — państwowym, spółdzielczym i prywatnym. Państwo winno pełnić funkcje ochronne, a nie represyjne wobec wszelkich form działalności gospodarczej. Także finansowe zasady gospodarowania różnych podmiotów nie mogą wprowadzać sytuacji, w której maksymalizacja zysku staje się nieopłacalna z powodu nadmiernej progresji podatkowej. Przedsiębiorstwa muszą mieć zdolność akumulowania odpowiednich środków na rozwój.

3. Porozumienie, to poważny dialog o sprawach społeczno-gospodarczych zainteresowanych stron, z udziałem najwybitniejszych ekspertów, praktyków i ludzi posiadających społeczne zaufanie i aurytet. Temu dialogowi służyć winny środki społecznego przekazu wolne od ciasnego gorsetu cenzury. Dla tego typu dialogu muszą istnieć odpowiednie — instytucjonalne płaszczyzny, wyposażone w instrumenty wpływania na określoną politykę gospodarczą.

4. Porozumienie musiałyby oznaczać postawienie na kompetencję i fachowość weryfikowaną faktycznymi efektami gospodarczymi. Istnienie obecnie tzw. nomenklatury, która obejmuje około 250 tys. stanowisk kierowniczych, oznacza polityczną akceptację tych ludzi przez odpowiednie instancje PZPR. Czy na tym ma polegać kierownicza rola PZPR w gospodarce? Dotychczasowe wyniki gospodarowania budzą w tej sprawie zasadniczą wątpliwość. Nie oznacza to wcale, że wśród tych 250 tys. objętych nomenklaturą nie ma fachowców. Ale

ważne jest ostateczne kryterium, ów sposób doboru, który ma polityczny, a nie merytoryczny charakter.

Polskiej gospodarce potrzebna jest terapia wstrząsowa, swoiste „trzęsienie ziemi”. Może ona nastąpić tylko przy radykalnych zmianach w sposobie zarządzania i w mechanizmach funkcjonowania gospodarki. Obserwowane w świecie i w Polsce z dużym zainteresowaniem przeobrażenia w gospodarce Chin spowodowały m.in. i to, że w ciągu 5 lat nastąpiło przejście od zagrożenia głodem do wytworzenia nadwyżek w produkcji rolnej. A to umożliwiło eksport żywności. Dokonało się to w wyniku oddania chłopom ziemi państwowych gospodarstw w dzierżawę.

A zatem konieczna jest najpierw zmiana w systemie, potem następuje konkretny efekt. Nie na odwrót, co próbuje się czynić w Polsce. Bez zmian w systemie pozostają hasła — wyższej wydajności, większej efektywności, mniejszego marnotrawstwa itp. Pozostaje dreptanie w miejscu, co oznacza cofanie się wobec innych, idących do przodu.

Z kiepskiej kondycji i naszej gospodarki zdaje sobie sprawę ponad 80 % Polaków i nie poprawia to ich samopoczucia. Społeczeństwo pozbawione wpływu na zachodzące procesy jest bierne, oczekujące, popada w apatię. Brak czytelnej perspektywy poprawy rodzi frustrację.

Kryzysowy stan gospodarki osłabia też władzę. „Spadająca efektywność gospodarowania podważy w dalszej perspektywie istniejące podstawy legitymizacji władzy politycznej, co zagrozi jej stabilności” — piszą w jednym z opracowań eksperci z Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Zły stan gospodarki ogranicza suwerenność Polski. Czyni ją wasalem wśród krajów rozwiniętych. Tworzy zagrożenie dla polskiej państwowości. Obrona współczesnego państwa polskiego to przede wszystkim tworzenie jego siły, głównie gospodarczej.

Tego typu porozumienie narodowe w sprawach gospodarczych, w imię poprawy kondycji narodu, w imię umocnienia państwa, w imię legitymizowania władz — ma bez wątpienia wielu przeciwników. Są oni usadowieni z różnych powodów w części aparatu sprawiającego władzę i w łonie części samego społeczeństwa, w którym dla wielu stan bylejakości, niskich wymagań, przeciętniactwa, zabezpieczenia ze strony państwa przed „głodem i chłodem” oraz bezrobociem — wystarcza.

Radykalne przemiany w systemie funkcjonowania gospodarki stanowią główny przedmiot porozumienia narodowego.

Jan KRÓL

Historia najnowsza

Stefan Kardynał Wyszyński

„PRO MEMORIA” Rok 1952 (IV)

2.IV.1952. Środa

Dziś pracuję cały dzień w domu. Przyjmuję kolejno: kierownika Wydziału Duszpasterstwa, ks. kan. Czerniaka; przewodniczącego Wydziału Nauki Katolickiej, ks. kan. Reitera; ks. Rektora Seminarium Duch., dra Pacynę; ks. radcę Zarębę; ks. dra Michalskiego, *defensora vinculi*, wreszcie ks. bpa Bernackiego, Wikariusza Generalnego.

Ks. *Arbp Dymek* przysłał list, w którym prosi o wyrażenie zgody na rozłączenie seminariów duchownych poznańskiego i gnieźnieńskiego, od czerwca 1953 r. Przewidywaliśmy w ostatniej umowie, że wspólnota mogłaby przedłużyć się do 1954 r., jednak Seminarium Poznańskie nie może pomieścić tak wielkiej liczby teologów. Dla Gniezna stanowi to niemałą trudność, gdyż brak nam profesorów. Trzeba ich dopiero przygotowywać, na co potrzeba wielu lat.

Wspominam dziś rocznicę wyjazdu do Rzymu. Przed rokiem w tym czasie, późnym wieczorem wsiadaliśmy do pociągu. Chociaż zadanie, które nas wiodło do Rzymu było niełatwe, jechaliśmy z radością — do Ojca chrześcijaństwa, do Grobu św. Piotra. Ufałem, że zdołam pozyskać Biskupów dla Ziemi Zachodnich. Ta ufność kazała zapomnieć o trudzie. Miałem dziwną pewność, że wrócę. Bóg prowadził.

3.IV.1952. Czwartek

Rano, o godz. 6.30 odprawiłem Mszę św. dla alumnów *Seminarium Duchownego* i wygłosiłem naukę od ołtarza.

Po śniadaniu przeprowadziłem wstępną rozmowę z ks. Rektorem *Pacyną* na temat organizacji Seminarium w Gnieźnie. Prosiłem, aby mi przedstawił dokładnie *ratio studiorum* dla teologii; na tej podstawie obliczymy nasze możliwości.

Przybył z Poznania o. Józef *Pachucki* T. J., z którym omawiałem sprawę wizytacji kanonicznej Zakonu Paulinów, przed zbliżającą się Kapitułą.

Przed obiadem zgłosił się ks. *K. Milik*, b. Administrator Wrocławski, rezydujący dziś w Polskiej Wsi k. Pobiedzisk.

Po obiedzie pracowałem nad programem rozmowy z posłem Mazurem, ustalonej na dzień 8.IV. br. w Wilanowie.

4.IV.1952. Piątek

Od rana zgłasza się ks. Inf. Brosse w sprawie *odbudowy Katedry*. Opracowano już projekt odbudowy kopuły nad kaplicą w południowej stronie katedry; pragniemy przez to urozmaicić monotonię dużych płaszczyzn dachów, obejmujących obejście i kaplice. Dotychczas brak jest odpowiedzi p. Zachwatowicza, który jakoby nie miał skłonności aprobować przedłożenia.

Ks. Infułat prosi o odezwę do Archidiecezji w sprawie odbudowy Katedry; ostatnia była wydana w marcu 1950 r. Należy zachęcić Wiernych, aby złożyli 1 zł rocznie. Suma uzyskana pozwoliłaby na prowadzenie pracy w br.

Z ks. Kan. Czerniakiem ustaliliśmy ostateczny program Kongregacji księży Dziekanów.

Odwiedzam pracowników kurialnych w ich biurach.

W wolnych chwilach przygotowałem *Wezwanie* do Duchowieństwa do pracy wewnętrznej, w związku ze zbliżającą się Kongregacją księży Dziekanów.

Napisałem od ręki *Odezwę* w sprawie odbudowy Katedry i przekazałem Kurii do rozestania.

Po obiedzie pracuję nad planem rozmowy „Wilanowskiej”.

Wieczorem z ks. Bpem Bernackim i ks. Inf. Brosse udajemy się do Seminarium. Młodzież nam przygotowała „Ostatni sąd” — Zawieyskiego. Jest to inscenizacja dramatyczna na tle Wielkiego Piątku. Główna postać — Piłat. Problematyka — Prawda. Wielki wkład pracy młodych artystów trzeba ocenić przede wszystkim od strony wychowawczej. Młodzież, prowadząca uporządkowany tryb życia, musi mieć „nadzwyczajności”, by nie uległa szablonowi. Praca nad scenerią, nad kulisami, jest niewątpliwie wielkim dodatkowym wysiłkiem. Nagrodziliśmy młodych ludzi zasłużoną pochwałą.

W czasie przedstawienia dowiaduję się, że ks. A. Słomkowski jest aresztowany.

5.IV.1952. Sobota

Dzień Matki Bożej. Msza św. ku Jej czci zawsze uspokaja, budzi ufność i dodaje sił do pracy. Każda Msza sobotnia należy się „mojej Tarczy i Puklerzowi”.

Pomimo wyjazdu — w poczekalni szturm. Wiadomości nie liczą się z niczym, są bezlitosne. Jedna bije w samo serce; jest zbyt bolesna, by o niej tu pisać. Nie powali mię. Każę zachować spokój i przyglądać się ludziom i biegowi sprawy. Już tyle razy doświadczyłem, że nie należy się śpieszyć z wyniszczeniem „zła”. Ale „zło” obstawiam ludźmi — niech czuwają.

Przybywa ks. Kwiatkowski z Archidiecezji, Poznańskiej, upatrzony przez ks. Iwanickiego kandydat na gospodarczego kierownika KUL. Jest pełen gotowości do pracy. Przyświeca mu myśl — wprowadzić KUL z nieładu gospodarczego.

Wreszcie przebijam się przez fale spraw — zbieram drobiazgi, siadam do wozu. Towarzystwem drogi jest ks. kanclerz Palewodziński. Cieszy się na to *intermezzo* w jego monotonnej pracy kurialnej. Jest to miły rozmówca. Zna się na sztuce, chociaż w tej dziedzinie jest samoukiem. Krótka, towarzyska rozmowa, poczem zagłębiam się w Ropsie. Jego „Chrystusa” czyta się z zainteresowaniem, chociaż jest to książka raczej dla świeckiej inteligencji niż dla teologów.

O godz. 14.00 wjeżdżamy w bramę domu, przy ul. Szucha. Na progu potwierdzają się wiadomości o aresztowaniu ks. Słomkowskiego i jego brata, b. intendenta KUL.

Z wprawą przechodzę do zwykłości życia domowego. Walka z papierami, listami, sprawami wiszącymi.

Przybywa ks. dr Radomski z KUL. Mają kłopot z doktorami. Pragną się przystosować do ustawy państwowej. Radzę wprowadzić rozróżnienie w debatach na Senacie. Niech wydziały świeckie idą po linii ustawy państwowej, a kościelne — po linii Konstytucji Apostolskiej o studiach.

6.IV.1952. Niedziela Palmowa

Po rannym brewiarzu piszę mnóstwo zastarzałych listów.

Na godz. 9.00 udaję się ze Mszą św. do kościoła Wizytek, gdzie *Bankowcy kończą rekolekcje wielkopostne*. Ks. Jan Zieja czyta z ambony cudownie, jak tylko on to umie, opis Męki Pańskiej, według św. Mateusza. Komunia św. trwa około godziny. Przeważają kobiety; mężczyzn naliczyłem przeszło 30; inni Kapłani musieli mieć ich więcej, gdyż rozdzielali Eucharystię przy drzwiach. Kazanie było krótkie, temat: Entuzjazm Palmowej Niedzieli i Męka Wielkiego Tygodnia. Katolicyzm inteligencji polskiej jest z Palmowej Niedzieli. Musi stać się katolicyzmem Drogi krzyżowej — aż do Zmartwych-

wstania. Nie wystarczy nastrój religijny; konieczne jest życie religijne. Inteligencja katolicka — to znaczy życie katolickie. A ono wymaga zaangażowania całego człowieczeństwa, rozumu, woli i serca. Zachęcam do studiów filozoficzno-teologicznych.

Wracam do rozmównicy sióstr Wizytek. Przeprowadzam dłuższą rozmowę z Matką *Demińską*, przełożoną SS. Wizytek.

Po obiedzie jadę do parafii św. Augustyna. Proboszczowie okoliczni robią dziś nalot na kościół, by go ożywić. Dojazd straszny, poprzez przepaściste błoto rozjeżdżonych ulic, obstawionych rusztowaniami wznoszonych gmachów dzielnicy Muranów. Za kilka miesięcy będzie tu miasto i przyjdą ludzie. Wielki kościół św. Augustyna, jedyny budynek, który ocalał w ghetto, zapełni się. Dziś jest pusty. — Po „Gorzkich Żalach” wygłaszam kazanie nt. rodzącej się parafii w Kościele. Przedstawiam rolę życia parafialnego w Kościele.

Po nabożeństwie z trudem wydobywamy się ze świątyni. Wiele dzieci, maleństw na ramionach rodziców. Proszą o błogosławieństwo. Ministranci ks. Sprusińskiego śpiewają *Pueri Hebraeorum, Credo* i in. Jest to wspaniała czereda, której można oddać duszę i cały czas. Przy podwieczorku — wszyscy okoliczni kapłani. Omawiamy sprawę przyszłego rozgraniczenia parafii w tej dzielnicy, która ulega radykalnej przebudowie.

Wracam na godz. 19.00 — zastaję ks. bpa *Choromańskiego*, z którym omawiam plan rozmowy z posłem Mazurem, w Wilanowie. Dowiaduję się, że po liście moim do p. Prezydenta Rz.P., w sprawie przedszkoli, wycofano Komisję Upaństwowiającą z domu SS. Urszulanek Szarych w Milanówku. Natomiast nie ustały represje w innych domach. Np. w Lipnie wywieziono siostry „Wspólnej Pracy” przemocą do Włocławka.

7.IV.1952. *Poniedziałek*

Przyszedł na Mszę św. *Jerzy Zawieyski*, był u Stołu Pańskiego; gawędziliśmy o rekolekcjach ks. Jana Ziei. Pojechał do Lasek na Wielki Tydzień.

Trójka krakowska — *J. Turowicz, Stomma i Gołubiew* — z Tygodnika Powszechnego przedstawiła swoje kłopoty z dyr. Bidą. Od pewnego czasu p. Bida „straszy”; i tym razem użył tej metody wobec Tygodnika. Przewiduje on kłopoty Kościoła w miesiącu maju br. po okresie świąt, nie wyłączając 1 maja i uroczystości urodzinowych Prezydenta Bieruta. Kłopoty miałyby rozgrywać się głównie na odcinku sprawy Ziemi Zachodnich i KUL. „Trójka” chce uprzedzić spodziewane i dla siebie kłopoty; z uwagi na swój związek z Kościołem. Ma nadzieję, że dałoby się to uniknąć przez złożenie „Memoriału” o postawie Tygodnika i przez umieszczenie nowego wywiadu z Prymasem nt. Porozumienia. Wyrażam zdanie, że „Memoriał”

można złożyć. Co do „Wywiadu” zastrzegłem sobie namysł do Poniedziałku Wielkanocnego.

Siostry *Urszulanki Szare* informują o wycofaniu się Komisji Upaństwowiającej z Milanówka, w dniu 2.IV. br., a więc zaraz po liście moim do Prezydenta Rz.P. Czy miał on jaki wpływ na sprawę — nie wiadomo. Komisja miała oświadczyć, że w tych warunkach pracować nie może. Podobno w kołach rządowych obmyśla się inny sposób przejmowania. Przykładem ma być Klemensów, w woj. lubelskim. Ponieważ Siostry nie chciały się zgodzić na upaństwowienie, więc oświadczone im, że dzieci będą zabrane, a gmach przejęty; Siostry pozostaną bez dachu nad głową. Lepiej więc, by przyjęły kierowniczkę, bo wtedy i same nie stracą pracy, i dzieci pozostaną. Być może, że ta metoda pozbawi zakony skuteczniej instytucji wychowawczych niż dotychczasowy gwałt.

Zgłosił się o. *Klemens Izdebski* z Jasnej Góry; doniosłem mu, że wizytatorem klasztoru jest mianowany o. Józef Pachucki T. J. z Poznania.

Przybył również o. Wł. Łysik z Bielania i przedstawił nowy projekt umowy o przejęciu Bielania. Uważa, że trzeba na to czasu 10 lat, *rebus sic stantibus*. Jestem zdania, że okres ten jest „zbyt krótki w obecnych warunkach, zbyt długi w zmienionych”. Sprawę rozpatrzę na sesji kurialnej.

Dr Paweł *Czartoryski* pracujący na KUL, powiadomił mnie o swoim zamiarze małżeńskim z p. Ponińską.

Ustaliłem porządek wizytacji kanonicznej par. *Grodzisk Mazowiecki* z ks. kan. Grabowskim.

Przyjechał z Krakowa ks. abp *E. Baziak*. Omawiał swoją rozmowę z ks. K. Lagoszem. Rozmówca stał na stanowisku ważności wyborów Wikariusza Kapitulnego. Powoli jednak zrozumiał sytuację kanoniczną. Wyraził swoją gotowość rozmowy na temat sytuacji kościelnej we Wrocławiu. Przybędzie do Warszawy po świętach.

W szeregu kapłanów, którzy dziś zgłosili się do Sekretariatu, byli: ks. Kuć, ks. Malesa, ks. Paciorkowski i ks. Waczyński.

Wieczorem udałem się do sióstr Rodziny Marii, gdzie zebrały się *katechetki warszawskie*, na jajko wielkanocne. Mówiłem im o duchu Wielkiego Tygodnia, który najwyraźniej się przejawia w *Exsultet*. Obdzieliłem je „Nowym Testamentem” i encykliką Piusa XI, O wychowaniu chrześcijańskim.

Wieczorem pracowałem nad jutrzejszą konferencją z posłem Mazurem.

8.IV.1952. Wtorek

Dzień jest pod znakiem rozmowy z posłem Mazurem, w pałacu Wilanowskim. Wyjechałem o godz. 10.40 z ks. drem Goździewiczem.

Rozmowa trwała od godz. 11.00 do 16.30. Przedmiotem rozmowy były zarzuty, stawiane mi na posiedzeniach Komisji Mieszanych, a zwłaszcza sprawa stosunków na Ziemiach Zachodnich i uzgadnianie stanowiska w sprawie wakujących diecezji. Szczegółowy protokół jednostronny o przebiegu rozmowy sporządziłem sobie po powrocie z Wilanowa.

9.IV.1952. Wielka Środa

Przed rokiem byliśmy u Ojca św. Jestem pod wielkim wrażeniem tej rocznicy. Nie mogę opanować pragnienia, by tam znów być. Potrzeba mi Rzymu jak powietrza, jak kropli rosy spragnionym wargom. Cały dzień męcę się tym dążeniem niepokonalnym. Modłę się za Ojca św. dzień cały. Jego ujmująca postać stoi mi żywo przed oczyma. Widzę Papieża. Widzę Jego wnikliwe, dobre oczy. A jednak — nie można jechać do Rzymu. W takich chwilach rozumie się, że jednak jestem niewolnikiem „Nie można...”.

Rano przybyła *s. Adela*, urszulanka; omawiamy sprawy zakonne. Niektóre zakony zgłaszają nowe trudności z umowami zbiorowymi dla sióstr zakonnych w zakładach społecznych. Wbrew ustawom o umowach zbiorowych, władze państwowe domagają się od sióstr zakonnych umów indywidualnych, a więc podtrzymywania instytucji wybitnie kapitalistycznej. Już dawniej ustaliliśmy, że siostry powinny domagać się umowy zbiorowej. Tylko wtedy, gdyby nieustępliwość władz państwowych narażała zakon na utratę placówki pracy, można by ustąpić, dla ocalenia terenu pracy. W tym wypadku przełożone powinny dawać indywidualne zezwolenia siostronom na podpisanie umowy indywidualnej.

Stajemy też na stanowisku, że zakony mogą przyjmować zakłady specjalne jako ostatnią deskę ratunku dla utrzymania bytu zakonu. Państwo odbiera siostronom dzieci normalne i przekazuje im tak zwanych debilów. Okazuje się, że Kościół jest dla człowieka zawsze ostatnią deską ratunku[...].

Zgłosili się *oo. Bernardyni*. Przedstawiają sytuację w Zakonie. Z nowego zarządu prowincjańskiego pozostało na wolności tylko trzech. O. Prowincjał, ostatecznie, dostał się do więzienia, i to w tydzień po moim liście do p. pośła Mazura. Prócz niego są w więzieniu O. Ludwik Krupa i O. Augustyn, prefekt studiów. Postanowiłem raz jeszcze interweniować w tej sprawie w rozmowie z p. Mazurem.

Sesja w Kurii Metropolitalnej odbyła się między godz. 11.00—14.00. Zajmowaliśmy się głównie obsadą wakujących stanowisk i translokatami.

Przybyła też siostra urszulanka z *Kielc* z listami od bpa Sonika. Sprawę bpa Kaczmarka powierzono adwokatowi Rettingerowi.

Wreszcie omawiałem z ks. Ugniewskim i z ks. Urbankiem plan budowy Domu Arcybiskupiego, w II kwartale br. Plan jest zatwierdzony na sumę 700 tysięcy.

10.IV.1952. Wielki Czwartek

Uroczysta *celebra* w *Prokatedrze* rozpoczęła się o godz. 9.00 rano. Trwała trzy godziny. Nadal największe zainteresowanie wzbudza „Mandatium”, nawet wśród kanoników. Ks. Kaulbersz troszczył się o to, że nie zobaczy całowania nóg ubogich przez Biskupa. Podobnie jak małe dzieci i pobożne panie. Ale coraz częściej widzi się ludzi z mszałami, którzy śledzą czynności liturgiczne i biorą w nich żywy udział. Po nabożeństwie był tradycyjny obiad w Seminarium. Prócz ks. kan. Murawskiego nie było ks. kan. Kaczyńskiego, przebywającego w więzieniu. Natomiast abp Szlagowski dzielnie asystował i w Katedrze, i przy stole. Niespożyte siły ma ten człowiek.

W czasie obiadu poinformowałem Kapitułę o planach dotyczących budowy Seminarium Metropolitalnego na Bielanach.

O godz. 15.00 przybył bp *Choromański*, z którym omówiłem przebieg konferencji z posłem Mazurem.

Wieczorem zgłosił się ks. dr *Z. Kamiński*, dyskutowaliśmy nad nowym planem czteroletnich kazań katechizmowych.

O godz. 20.00 udałem się do Seminarium Metropolitalnego na kapłańską godzinę świętą. Wygłosiłem konferencję o Mszy św. kapłanów, na tle *Communicantes* i *Hanc igitur* z dzisiejszej liturgii.

11.IV.1952. Wielki Piątek

Na Wielki Piątek pojechałem do *Lasek* z ks. bpem Baraniakiem. Adorację Krzyża św. odprawiliśmy z ociemniałą dziatwą i ubogimi Siostrami Franciszkaniami. Jest to najbardziej stosowne towarzystwo dla podobnych przeżyć.

Odwiedziłem Matkę *Czacką*, która była cudownie przytomna, pomimo postępu swej choroby. Wspominaliśmy ciężkie przeżycia wojenne i ostatnią Wielkanoc okupacyjną.

Po obiedzie byliśmy w zakładzie dziewczynek, którym dziękowałem za piękny list na święta.

Wieczorem spowiadałem.

12.IV.1952. Wielka Sobota

Po Ciemnej Jutrzni, w rannych godzinach, złożyłem życzenia Siostram i wróciłem do domu.

O godz. 10.30 przyjąłem przedstawicielki rodzin zakonnych z Warszawy.

O godz. 12.00 zgłosił się Wydział Duszpasterstwa z życzeniami, dzieci z parafii Dzieciątka Jezus, młodzież akademicka p. M. Okońskiej, akademicki z Internatu urszulanek i wiele in.

O godz. 18.30 zgromadzili się domownicy, z którymi podzielili-śmy się jajkiem święconym.

O godz. 20.00 udałem się do Prokatedry na nabożeństwo wigilijne Wielkiej Soboty, według nowych zarządzeń Stolicy św. Kościół wydobyl skarby swych dziejowych doświadczeń na czasy dzisiejsze. Wywyższenie Paschału jest mocnym naciskiem na *Lumen Christi* w świetle. A wspaniałe poświęcenie wody *coram populo* i procesja do *fons baptismatis*, oraz odnowienie przyrzeczeń — odwołuje się do konsekwencji, płynących ze Chrztu św. Lud tłumnie przybyły na tę uroczystość jest pod silnym wrażeniem. Widać to z jego uwagi, z jaką śledzi święte obrzędy. Pomaga mu umiejętne objaśnienie z ambony, przez jednego z młodych kapłanów. Sam obrzęd ze Mszą św. trwa 2 1/2 godz. Sprawę komplikuje rezurekcyjna procesja, która miała miejsce zaraz po Mszy św. Wtedy, gdy ludzie już są nasyceni, mają przeżyć jeszcze jeden moment, który w polskiej religijności ma swoje olbrzymie znaczenie. I tu widać, że to już nieco za wiele. Znaczna część ludzi odplynęła wskutek spóźnionej pory z obawy noclegu na ulicy. Rzecz cała w tym, by umiejscowić tak procesję rezurekcyjną, aby nie utracić jej doniosłego znaczenia dla polskiego życia religijnego. Może nawet lepiej będzie nie łączyć tej procesji z obrzędkiem Wielko-sobotnim. W całości jednak reforma wigilii Zmartwychwstania ma doniosłe religijne znaczenie.

13.IV.1952. Wielkanoc

Suma pontyfikalna w Prokatedrze zaczęła się o godz. 11.00. Asysta w komplecie. W stallach kanonicznych nie ma arbp. Szlagowskiego, uwięzionego kan. Kaczyńskiego i kan. Murawskiego. Głoszę kazanie nt. „Światłość — Żywot — Radość” w przeżyciach Wielkanocnych.

Resztę dnia spędzam w domu, przyjmując świąteczne odwiedziny.

14.IV.1952. Wielki Poniedziałek Wielkanocny

Rano na Mszy św. jest grupa *ojca Kornitowicza*, z Z. Nosalewską i K. Popiel. W kazaniu po Mszy św. mówiłem im o nadprzyrodzonym działaniu w Kościele.

Przed obiadem zgłosił się Jerzy *Turowicz*, redaktor Tygodnika Powszechnego. Ponieważ dziś przypada dwulecie podpisania „Porozumienia” Episkopatu z Rządem, prosił o kilka słów dla Tygodnika. Tekst ułożyliśmy wspólnie.

15.IV.1952. *Wtorek Wielkanocny*

Wybrałem się do *Lipkowa* i *Izabelina*, gdzie prowadzona jest budowa kościołów parafialnych. W wyprawie towarzyszył ks. dziekan Kowalczyk i ks. bp Baraniak. Ks. kanonik doskonale zna tereny podwarszawskie, prowadził nas po polach przez Babice. W *Lipkowie* odbudowywany jest stary kościółek z czasów Stanisława Augusta, od dawna leżący w ruinie. Pozostała wieża, a na frontonie cudowny napis. Dziś kościółek jest już przykryty dachem z gontów, a wewnątrz odbywa się tynkowanie. Przy kościółku stoi zwalony dworek, w którym Sienkiewicz tworzył swoją Trylogię. Władze konserwatorskie interesują się odbudową ruin. Przy kościółku zebrała się gromada dzieci i starszych, którzy żywo interesują się odbudową. Bardzo życzliwie odnoszą się do budowy władze konserwatorskie warszawskie, których przedstawiciel przybył na miejsce odbudowy.

Z *Lipkowa* dojechaliśmy do *Izabelina*; odległość jednego kościółka od drugiego wynosi do 2 km. Powstaje tu obszerny kościółek z baraku, budowany przez Inż.-arch. Brukalską. Ma to być kościół dla parafii *Izabelin*, dziś mieszczącej się w *Laskach*.

Wstąpiłem do Zakładu w *Laskach* i pobłogosławiłem *Matkę Czacką*, której stan zdrowia znów bardzo się pogorszył.

W powrotnej drodze zwiedziliśmy odbudowę kościoła *Najświętszej Marii Panny* na *Nowym Mieście*.

O godz. 15.00 rozpoczęło się zebranie Wydziału *Duszpasterstwa*; członkowie Wydziału byli w komplecie. Omawialiśmy program kursów duszpasterskich na wakacje oraz program kursów przedmażeńskich. Długo debatowaliśmy nad osiągnięciami pracy *Wielkopostnej* w *Stolicy* i w *Archidiecezji*. Powołałiśmy Komisję przygotowania *Kongregacji* księży *Dziekanów* [...].

16.IV.1952. *Środa Wielkanocna*

Od rana zgłosił się o. *Klemens Izdebski* z *Jasnej Góry*, ks. *Szuber*, prowincjał *Kanoników Regularnych* z *Krakowa*, ks. *Ruszczak* i ks. kan. *Stefanowski* z *Leszna*.

W południe wziąłem udział w zjeździe koleżeńskim kapłanów, wyświęconych w 1927 roku; do rocznika tego należy bp *Pawłowski*, ks. *Modzelewski* i in.

O godz. 16.00 prowadziłem zebranie sekcji pisarzy przy Wydziale *Duszpasterstwa*. Omawialiśmy program 4-letni kazań katechizmowych, synchronizowany z programem nauk katechetycznych na poziomie średnim i wyższym.

17.IV.1952. Czwartek Wielkanocny

[...] O godz. 10.30 w Seminarium Metropolitalnym rozpoczęły się obrady części duchowieństwa archidiecezjalnego nt. nowej organizacji katechizacji, w ramach Wydziału Nauki Katolickiej. Ponieważ szkoła przestaje uczyć religii, na duchowieństwo spada obowiązek uczenia w kościele. By to zadanie ułatwić układamy plan kazań katechizmowych na 40 niedziel w każdym roku, tyleż katechez i tyleż „problemów” — dla dziatwy klas III—VII i dla młodzieży klas VIII—XI. Będą więc prowadzone trzy cykle *pari passu*, ale wszystkie będą dotyczyły tego samego tematu. Wydział Duszpasterstwa i Wydział Nauki Katolickiej wyłaniają Główny Komitet Redakcyjny, który zajmie się w 3 komisjach przygotowaniem kazań, katechez i problemów. Duchowieństwo otrzyma gotowy materiał, a synchronizacja tematyczna ułatwi mu przygotowanie się do zadań nauczycieli Prawdy Bożej. — Oto myśli przewodnie tej reformy. Myśli te rozwijali w 3 referatach księża: S. Piotrowski, Fr. Barański i Z. Kamiński. Konkluzja należała do mnie. Podejmujemy pracę wielką, ale ufamy, że będzie owocna. Kuria Metropolitalna o dalszy krok na-przód posuwa swoją organizację.

Po zakończeniu zebrania księży rozpoczęły się obrady *Referatu Powołań Kapłańskich*. W przemówieniu wstępnym następujące myśli programowe dla tej pracy: 1) Opieka nad budzeniem powołań, których diecezja warszawska daje dotąd zaledwie 50% dla służby Kościołowi; w tym celu — opieka nad młodzieżą, ministrantami i młodymi kandydatami do Seminarium. 2) Podniesienie stanu liczebnego Seminarium tak, by można było przyjąć co najmniej 60 alumnów. 3) Przebudowa Seminarium Metropolitalnego na Bielanach; plan diecezjalny przedstawiam w ogólnych zarysach i proszę o urabianie dla sprawy przychylniej w diecezji opinii. 4) Wreszcie proszę, by Referat zajął się również kapłanami, którzy dopiero co opuścili Seminarium, i stworzył dla nich coś w rodzaju *perseverantiae sacerdotalis*.

18.IV.1952. Piątek Wielkanocny

Rano wystaliśmy *depeszę do Prezydenta Rz. P.* — z okazji 60-lecia jego urodzin. Stoję na stanowisku, że Głowie Państwa należą się oznaki szacunku, [...] bez względu na osobiste przekonanie, które różnią obywatela Polski od przewodniczącego partii i głoszonego przez nią światopoglądu.

Przybyli *oo. Bernardyni* i przedstawili sprawę swych aresztowanych Ojców z zarządu prowincjalnego.

Księża *Lejchta* i *Skrzypczak* przyszli dziękować za udział w ich zjeździe koleżeńskim.

Ks. Ruszczak po odbyciu praktyki w Kurii katowickiej, zgłosił się po dalsze dyspozycje; został skierowany do Tarnowa na miesięczną praktykę kurialną.

O godz. 10.30 rozpoczął się w Seminarium Metropolitalnym drugi kurs dla duchowieństwa z diecezji w sprawie organizacji nauczania religii. Kurs miał przebieg identyczny z kursem dnia poprzedniego. Różnica w zdolnościach odbiorczych; dziś na sali był element starszy, trudny do poruszenia, opieszały w dyskusji. Dopiero pod koniec „zrozumiał”, o co idzie. To są ludzie „ziewający” — może znużeni po pracy Wielkopostnej.

Wieczorem, godz. 19.00 kurs ten był powtórzony dla duchowieństwa stolicy. Dyskusja była żywsza, reagowanie sali wdzięczniejsze. Brakło nam tylko czasu na pełniejsze „rozgadanie” ludzi.

19.IV.1952. Sobota Wielkanocna

[...] O godz. 11.45 udałem się do Wilanowa, dla prowadzenia dalszej rozmowy z posłem Mazurem, zaczętej 8 kwietnia. Rozmowa trwała do godz. 16.15. Sporządziłem z niej wyczerpujący protokół. Główne myśli przeprowadzone dotyczą sposobu uzgadniania nominacji biskupich ze Stolicą Apostolską.

Wrażenie z tej rozmowy odniosłem fatalne, i to zarówno z uwagi na samego rozmówcę, jak i z uwagi na sposób prowokacyjny stawiania spraw. Głównym celem tej drugiej rozmowy było usłyszeć odpowiedź na przedłożone do uzgodnienia nazwiska kandydatów na wakujące Stolice biskupie w Krakowie i we Włocławku. Odpowiedź brzmiała bezczelnie: Rząd przyjmuje tylko jedno nazwisko na Kraków i jedno na Włocławek. O tzw. *terno*, którego oczekuje Stolica św., mowy nie ma. Rząd uważa to za jedynie możliwą i ostateczną odpowiedź. Przekreśla to możliwość „uzgadniania”, gdyż takie stanowisko równa się nominacji przez Rząd. I dlatego protestowałem stanowczo, dowodząc, że to jest przekreślenie Porozumienia, które uznaje jurysdykcję Ojca św.

Dyskusja była jałowa. Pos. Mazur sposobem mówienia był wyraźnie obstrukcyjny. Tracił czas na ciągnięcie znanych mi wywodów, tyle razy powtarzanych na Komisji Mieszanej. Zmuszony byłem wygłosić dłuższe przemówienie, którego osnową było twierdzenie, że to właśnie Rząd nie zachowuje Porozumienia, i to w całości, podczas gdy biskupom zarzuca się tylko, że nie załatwili sprawy Ziem Zachodnich i sprawy p. Papée w Watykanie. Innych spraw z zakresu tej przykłej rozmowy nie chcę tu omawiać. Zamieszczam je w sporządzonym protokole.

Zdaje mi się, że na tej rozmowie zarysowują się nowe dezyderaty Rządu, a zwłaszcza: sprawa zakonów, sprawa seminariów duchownych, kapituł, kurii biskupich. Zakony doznały mocnego ataku;

w seminariach oczekuje się wykładów o Polsce współczesnej; kapituły uważane są za ośrodki zakonspirowane, kurie biskupie są bodajże zagrożone interwencją Urzędu dla spraw Wyznań.

Do domu wróciłem o godz. 17.00. Na godz. 17.30 udałem się do domu sióstr Franciszkanek Misjonarek. Znalazłem się w gromadzie dzieci, ich rodziców i sióstr zakonnych. Jakże to odmienna atmosfera. Dzieci pokazały nam wszystkie swoje dziecinne możliwości — w 4 porach roku. Działwa jest wyrobiona, śmiała, łatwo się zbliża i chętnie rozmawia. Spędziłem z dziećmi 2 godziny. Odwiedziłem też siostry i złożyłem im życzenia z okazji 75-lecia istnienia Zgromadzenia.

Wróciłem do domu na godz. 20.30. Zastałem ks. bpa Choromańskiego, z którym omówiłem rozmowę w Wilanowie.

Rano zgłosił się ks. prałat Lagosz z Wrocławia. Był pod silnym wpływem śmierci ks. prał. Kozubskiego, w rezydencji Wrocławskiej. Omówiliśmy sprawy zasadnicze, dotyczące stanu kanonicznego na terenie Wrocławia. Prosiłem ks. L., aby prowadził sprawy Kościoła z wielką oględnością i poczuciem odpowiedzialności za prawa Kościoła, których bronić trzeba. Ks. L. zapewniał o swej woli i wierności Kościołowi.

O godz. 9.00 udałem się z ks. kan. *Sitkowskim* do *Rembertowa* na poświęcenie kościoła. W ciągu 4 lat ks. Dziekan Skrzyszewski wznosił piękną świątynię, w stylu barokowym, zdolną pomieścić 3 tysiące ludzi. Parafia liczy 17 tysięcy ludzi. Zbiegła się tu dziś wielka rzesza. Ze wszystkich stron „przez piaski i laski” biegli ludzie ku świątyni. Na tle baraków, przy drodze, wzniesiono ołtarzyk, przy którym zebrali się biedni ludzie i prosili ze łzami o błogostawieństwo. Przed kościołem, w karnych szpalerach wzdłuż drogi, stała działwa i starsi. Wysłuchałem mnóstwo wierszy, powitań — od rady parafialnej, od matek, młodzieży akademickiej, dzieci szkolnych i ministrantów. Ludność z wielkim rozrzewnieniem brała udział w uroczystościach poświęcenia kościoła. Zwłaszcza radowała obecność gromady dzieci. Władze administracji okazały swoją niechęć do uroczystości kościelnych. Zwołano w szkołach rady rodzicielskie z obowiązkowym stawiennictwem, pod karą usunięcia dzieci. Zarządzono stawienie się młodzieży szkolnej na place sportowe; dwa razy defilowała młodzież przez miasto, tuż obok kościoła. Robiło to przykre wrażenie, a na pewno nie poprawiało wrażenia. Rząd ciągle się domagał poprawy stosunku społeczeństwa katolickiego do niego, a tymczasem ciągle drażni katolików taktyką władz administracyjnych.

Po obiedzie konsekrowałem dzwon imieniem „Stefan”, a po nabożeństwie błogostawiłem dzieci na cmentarzu. Rodzice przynieśli także mnóstwo niemowląt, że zajęło to prawie godzinę czasu. Polska jest bogata w dzieci. Rodzice są szczególnie wdzięczni za to błogostawieństwo.

Do domu wróciłem na godz. 18.30. Zastałem ks. dyr. *Pękałę*.

Referował sprawy odbudowy Katedry. Wykonywane są sklepienia w nawie głównej. Nie brak trudności w sprawie ogrzewania.

21.IV.1952. *Poniedziałek*

O godz. 9.00 wyruszyłem z bpem Baraniakiem i ks. kan. Sitkowskim do *Bąkowa* za Łowiczem. Celem tej drogi było poświęcenie plebanii i bierzmowanie. O godz. 11.00 byliśmy na miejscu. Oczekiwała nas barwna procesja łowicka[...]. Obiad spożyliśmy w towarzystwie rady parafialnej i Komitetu Budowy. Opuściliśmy parafię o godz. 15.00, a o godz. 18.30 stanęliśmy w Gnieźnie.

Wieczorem, o godz. 19.30 w Bazylice Katedralnej rozpoczęły się uroczystości *św. Wojciecha*, a zarazem rozpoczęcie pracy dorocznej Kongregacji księży Dziekanów. W nabożeństwie wzięli udział wszyscy księża Dziekani i obie Kapituły: Gnieźnieńska i Kruszwicka. Przeniesiono trumnę-relikwiarz *św. Wojciecha* na ołtarz prowizoryczny na środku Bazyliki. Nieszpory śpiewał lud na przemian z chórem. Kazanie wygłosiłem nt. *Per merita s. Adalberti*; rozwijałem myśl: patronat *św. Wojciecha* jest dla Narodu, dla Archidiecezji i dla Gniezna szczególną łaską, którą musimy sobie wysoko cenić i dla dobra dusz wykorzystywać.

22.IV.1952. *Wtorek*

W ciągu całego dnia obradowała Kongregacja księży Dziekanów Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Porządek obrad był bardzo starannie przygotowany przez komisję specjalną, pod kierunkiem ks. kan. Czerniaka. Komisje przedstawiały owoc swych prac, w postaci referatów lub też projektów instrukcji, czy też rozporządzeń. Po referacie ks. prał. Pękackiego, o dziekanach na tle prawa kanonicznego, przyjęto instrukcję o obowiązkach i prawach wikariuszów, o stroju duchownych, o testamentie i o zajmowaniu pomieszczeń kościelnych przez rodziny. Popołudniowe obrady dotyczyły instrukcji o przyozdabianiu ołtarzy, o urządzaniu i utrzymaniu cmentarzy grzebalnych, przykościelnych cmentarzy, opłat z okazji posług duchownych. Po podwieczorku ks. inf. Bensch wygłosił referat o biurze parafialnym jako ośrodku oddziaływania duszpasterskiego, a ks. prał. Ziarnich — o kancelarii kościoła parafialnego. Na zakończenie tego dnia ks. prał. Pacyna miał referat nt. *Confraternitas sacerdotalis*. Po wieczery wróciłem do domu i już nie brałem dalszego udziału w pracach.

23.IV.1952. Środa

Dzień św. Wojciecha przeleżałem w łóżku, wskutek zaziębnienia. W seminarium Kongregacja księży Dziekanów pracowała nadal, pod przewodnictwem ks. bpa Bernackiego. W tym dniu rozpatrywano instrukcje o duszpasterstwie dzieci w wieku przedszkolnym, o wczesnej Komunii św. dzieci. W dalszym ciągu składano sprawozdania: z kasy emerytalnej, z Wydziału Duszpasterstwa i Nauki Katolickiej, z referatu Powołań Kapłańskich, z referatu charytatywnego dla spraw organistowskich, beneficjalnych i podatkowych, oraz odbudowy Katedry. Obrady zakończono konferencją, wygłoszoną przez ks. Tadeusza Serżysko. — Program obrad był bardzo starannie przygotowany i dość obfity. Dyskusja w rzeczach zasadniczych i teoretycznych zazwyczaj mało ożywiona, a natomiast w sprawach administracyjnych — bardzo ożywiona. — Wieczorem delegacja Kongregacji zgłosiła się do mnie z życzeniami zdrowia.

24.IV.1952. Czwartek

Dziś obradowała w Gnieźnie Komisja Główna Episkopatu. Brak nam było abpa Jałbrzykowskiego, z powodu odległości i słabego zdrowia. Natomiast bp Goliński wziął udział w Konferencji w charakterze referenta. Głównym celem tej Konferencji było wysłuchanie sprawozdań z rozmów prowadzonych przez Prymasa z posłem Mazurem i obmyślenie *modus procedendi*. Wyłaniają się sprawy: 1) organizacji kościelnej na Ziemiach Zachodnich, szczególnie postulat Rządu, stworzenie diecezji; 2) sprawu pokoju wewnętrznego w obliczu zbliżającej się wojny, o czym Rząd wyrażnie mówi jako o niebezpieczeństwie zagrażającym bezpośrednio; 3) sprawa zakonów; 4) sprawa seminariów duchownych i postulat wykładania tam nauki o Polsce współczesnej; 5) sprawa kurii biskupich. — Oceniając obecną sytuację wysłuchaliśmy naprzód sprawozdania bpa Chorońskiego z rozmów z min. Bidą. Rozmowy dotyczyły głównie zajęć na tle przejmowania przedszkoli przez państwo. Następnie przedstawiłem szczegółowo przebieg rozmów swoich z posłem Mazurem, w Wilanowie, w dniach 8 i 19.IV. br. Na temat tych rozmów przeprowadziliśmy szczegółową wymianę myśli. Rząd zmierza do wmanewrowania biskupów polskich w sprawę dla nas niebezpieczną, a więc w tzw. „politykę watykańską” i w tzw. politykę amerykańską. Nadto wyczuwa się niebezpieczeństwo schizmy, której linie wytyczne widać było w przemówieniach posła Mazura. Rozmowa była korzystna, gdyż dowiedzieliśmy się pewnych rzeczy, które były trzymane w zanadru.

Jako wnioski z obrad Komisji Głównej dla prowadzenia spraw w rozmowach z Rządem można wysunąć następujące: 1) Gdy idzie

o Ziemię Zachodnie — będzie pożyteczną rzeczą rozszerzyć uprawnienia Ordynariuszów Ziemi Zachodnich, jednak członkowie Komisji wysuwają zastrzeżenia co do osoby Ks. Lagosza i Ks. Koberzyńskiego, którzy nie posiadają dostatecznego autorytetu w społeczeństwie [...]. 2) W sprawie sposobu uzgadniania kandydatów na Stolicę biskupią trzeba stanowczo bronić prawa Stolicy św. do terno. Wy-suwanie tylko jednego kandydata równa się nominacji i jest nie do przyjęcia. 3) Sprawą p. Papée przy Watykanie Episkopat się nie zajmuje. Jest to sprawa Rządu, gdyż Rząd wysłał posłów i niech ich odwołuje. Zresztą Rząd Rz.P. może posłać swego przedstawiciela do Stolicy św., skoro go ma nawet w Waszyngtonie; 4) Komisja Główna zastrzega się stanowczo przeciwko straszeniu nas perspektywą oderwania od kontaktów z Rzymem. Kościół polski tylko z Rzymem. 5) W Seminariach Duchownych można zaprowadzić naukę o Polsce współczesnej, zwłaszcza na teologii. 6) Episkopat często zachęcał wiernych do rzetelnej pracy nad odbudową Ojczyzny. Może i teraz ponowić swe apele o wydatniejszą pracę rolniczą.

Inne sprawy odsyłamy na Konferencję Plenarną Episkopatu, w Warszawie.

Wysłuchaliśmy przedłożeń bpa Golińskiego w sprawie duszpa-sterstwa akademików. Referent przedstawi konkretne wnioski na Konferencji plenarnej.

Dla braku czasu inne sprawy spadły z porządku dziennego. Prace zakończyliśmy o godz. 19.00. Po wieczery ks. arcybiskupi opuścili Dom Prymasowski.

25.IV.1952. Piątek

Dziś umieściliśmy w ołtarzu kaplicy Prymasowskiej obraz *Matki Bożej Częstochowskiej*, подарowany przez ks. bpa Czajkę z Częstochowy, w nowej ramie wyszukanej w Gnieźnie. Wygląda dobrze. Kaplica wymaga przemalowania.

Przeprowadziłem kolejno rozmowy z ks. inf. Brosse, ks. Zarębą, ks. Rektorem Pacyną i ks. Czerniakiem, który mi referował przebieg drugiego dnia Kongregacji księży Dziekanów.

O godz. 11.00 pożegnałem bpa *Choromańskiego*, który odjechał do Warszawy.

Przybył ks. *prał. Cymanowski z Gdańska*, dla uzgodnienia spraw związanych z wizytacją Gdańska. Ustaliliśmy termin święceń kapłańskich w Oliwie i bierzmowanie we Wrzeszczu, w Sopocie i w mieście.

Omawialiśmy też z niepokojem postępowanie niemieckie, której patronuje nie kto inny tylko p. Fatyga z Urzędu do Spraw Wyznań. Rzecz znamienna, że w Wielką Sobotę w Krematorium pastor przemawiał po niemiecku i entuzjasmował ludzi powrotem języka niemieckiego. Tenże p. Fatyga oświadczył księżom Jezuitom, że kościół dawny

poewangelicki, ma być oddany Luteranom. Nawiasem trzeba dodać, że tenże p. Fatyga czyni wielkie trudności katolikom, a faworyzuje protestantów. Obecnie chce 17 tysiącom katolików odebrać parafię, by oddać ją niespełna tysiącowi protestantów. Dąży się do zlikwidowania duszpasterstwa akademików w kaplicy księży pallotynów. Podobnie zamierza p. F. uczynić z barakiem oo. Zmartwychwstańców we Wrzeszczu. Zdołano już wysiedlić 12 księży; wszelkie protesty ks. C., wysyłane do min. Bidy, pozostają bez odpowiedzi [...].

Wieczorem przybył młody akademik z Poznania, który od dawna już prosił o rozmowę. Oczekiwałem spraw wewnętrznych, spotkałem się z typowymi kłopotami politycznymi. Najlepiej tłumaczy je zdarzenie. Po tzw. „stabilizacji” na Ziemiach Zachodnich w jednym z biur poznańskich odbywał się wiec pracowników. Na sali było przeszło 300 polskich inteligentów, katolików. Mieli dać wyraz uznania dla Rządu, że nareszcie uporządkował sprawy kościelne na Ziemiach Zachodnich. Po referacie młodego człowieka — głosowanie. Naprzód przez podniesienie rąk. Nikt rąk nie podniósł. Pytanie: kto się wstrzymuje od głosowania. Nikt ręki nie podniósł. A zatem, stwierdził referent, rezolucję przyjmujemy. I wtedy na środek sali wychodzi jakiś człowiek, który podnosi wątpliwości natury formalnej. W rezultacie — ponowne głosowanie. Tym razem rezolucja przeszła większością rzeczywistą głosów, obecnych na sali. Oponenta usunięto z pracy, a inni byli zdania, że najlepiej jest milczeć. W młodym człowieku budzą się wątpliwości — czy to milczenie katolików zgodne jest z sumieniem. Odpowiadam: milczenie dostarcza argumentu, że ludność polska, chociaż jest katolicka, to jednak popiera politykę kościelną Rządu, a Episkopat pozostaje osamotniony. W rzeczywistości tak jest. Katolicy zajęli zbyt wygodną pozycję. Cieszą się, że mają biskupów i we wszystkich kłopotach krzyczą: biskupi, biskupi — jak jerozolimscy Żydzi: *templum Domini, templum Domini*. Biskupi muszą bronić nie tylko prawd wiary i zasad światopoglądu katolickiego, ale nadto własności prywatnej, religii w szkołach, prawa rodziców do nauczania itd. Słowem podstawa społeczna obrony sprowadza się na wąski odcinek 25 Biskupów, a Rządowi się wydaje, że wystarczy rozprawić się z tymi 25 ludźmi i ustaną wszystkie trudności. Któż nie widzi, jak przez to wygodnictwo społeczeństwa pozycja Kościoła staje się coraz to trudniejsza. — Tyle wyjaśniłem memu rozmówcy. Wyszedł niepokieszony.

26.IV.1952. Sobota

Gniezno. W dniu dzisiejszym odbywa się w Gnieźnie zebranie *Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich*. Przewodniczy im ks. infułat B. Kominek, z Krakowa. Rano omawiamy porządek dzienny tego zebrania. Główny referat nt. Duchowieństwo zakonne w pracy

duszpasterskiej diecezji wygłasza Przewodniczący. Następny nt. Myśli przewodnie dla życia zakonnego, na tle przemówień Piusa XII, wygłasza o. Bernard Przybylski. Wreszcie referat o polskich Instytutach świeckich (o. Honorat) wygłasza o. Bronisław Kapucyn. Po ukończeniu zebrania przybyli do Pałacu Prymasowskiego wszyscy Przełożeni, do których wygłosiłem dłuższe przemówienie. Przedstawiłem współczesne trudności życia zakonnego od strony władz politycznych, zwłaszcza zarzuty dziś stawiane zakonowi. A później omawialiśmy sprawy pracy wewnętrznej i duszpasterskiej. Zachęcałem do bliższego zaznajomienia się z ideologią Instytutów świeckich, jak to wygląda w *Provida Mater* i w innych wypowiedziach Ojca św. Polska już niejedno uprzedziła z myśli Stolicy św., gdyż od dawna stworzyła i rozbudowała u siebie organizację Instytutów świeckich. Czołowym promotorem tego ruchu był o. Honorat. Zapewne, że myśli Piusa XII bardzo pogłębiają zagadnienie i jeszcze je rozszerzają. O. Honorat bowiem tworzył zakony w ramach świeckich zgromadzeń. Ale w czasach ciężkich życia Kościoła te Instytuty odegrały doniosłą rolę podtrzymywania życia kościelnego.

Zachęcałem Przełożonych do utrzymywania kontaktu z wydawnictwami katolickimi, do sprowadzania pism i książek z Rzymu, by uchronić własne rodziny zakonne od tej ciasnoty, która tak jest niebezpieczna dziś, gdy nie mamy kontaktu z zagraniczną nauką katolicką i pismami.

Jako naczelny problem podkreślałem włączenie się zakonów w programy pracy duszpasterskiej, prowadzonej przez wydziały Kurii Biskupich. Zachęcałem do studiowania teologii pasterskiej i do wprowadzania w życie planów nauk katechizmowych.

Tego dnia obradowała w Gnieźnie Komisja Międzydiecezjalna Wizytatorów religii w szkołach. Rano zgłosiła się Komisja i otrzymała wytyczne nowych planów pracy synchronizowanej — na ambonie i w katechezach szkolnych. W tym kierunku ma też pracować i Komisja, aby praca była programowa i wydała należyte owoce. Największe trudności ma Komisja w drukowaniu podręczników szkolnych, tak że niemal wszędzie zmuszeni byliśmy przejść na powielacz jako jedyną dostępną nam formę dostarczania młodzieży pomocy naukowych. Są to, oczywiście, bardzo skromne możliwości. — Ze strony nauczycielstwa przychodzą pytania, co mają robić wobec nacisku światopoglądu materialistycznego. Czy dobra praca nauczycielstwa nie jest już zgorzeniem. Jestem zdania, że od chorych nikt nie ucieka, lecz tym bliższą otacza opieką. Powinni więc trwać przy dzieciach i młodzieży i starać się o pozyskanie sobie pełnego zaufania dzieci.

W ciągu dnia dzisiejszego przyjąłem ks. J. Zarębę i ks. J. Michal-skiego, któremu poleciłem odnowienie kaplicy w domu Prymasowskim. Przybył również na chwilę ks. K. Michalik, z Polskiej Wsi

i ks. Goździewicz z Warszawy, który przywiózł bieżącą korespondencję. Zgłosili się oo. Bernardyni ze swoimi kłopotami.

Po wizycie Prowincjałów przyjąłem również Komisję Porozumienia Zakonnego Męskiego, z którą ustaliliśmy pracę na najbliższy okres. Członkowie Komisji wyrażali podziękowanie za zaproszenie ich na odpust św. Wojciecha do Gniezna.

Pracowity dzień dzisiejszy zakończył się wieczerzą, na którą przybyli księża infułaci Bensch i Kominek.

Wieczorem oglądamy piękną procesję z relikwiami św. Wojciecha do kościoła św. Michała. Jest ciemno, drogę oświetlają lampiony; jest ich niewiele, gdyż są zabronione „ze względów bezpieczeństwa”. Pojęcie „bezpieczeństwo” jest dziś tak rozległe, że aż czuje się wszędzie niebezpieczeństwo. Ale może w tych ciemnościach ulicy lepiej widać to, co warte widzieć jedynie — światłość Bożą.

27.IV.1952. Niedziela

Gniezno. Odpust ku czci kościoła św. Wojciecha. Mszę św. odprowadzam w domu. O godz. 9.00 wyruszamy do kościoła św. Michała. Po drodze mijamy tłumy pątników, co dziś przybyli zewsząd, by uczcić św. Wojciecha. A trudności nie brakło, gdyż administracja gnieźnieńska nie wyzwołała się ze złośliwości. Na drodze z Witkowa do Gniezna kontrolowano każdy pojazd; zresztą czyniono to przy wszystkich wylotach z miasta. Nawet mała kolejka, która zazwyczaj prowadziła 8—10 wagoników, dziś miała ich tylko 3. Bilety wypisywano, żeby ich mniej wydać. Ludzie przyzwyczajeni do tych złośliwości starali się o bilety wcześniej. Zarządzono, jak zazwyczaj, różne zbiórki, zebrania, wycieczki liczne itp. imprezy, których celem było odciągnąć ludzi od odpustu. Niemniej ludzi była pełna ulica. Działwa parafii franciszkańskiej stała w gromadzie karnej i śpiewała ku czci Matki Bożej. Przed kościołem św. Michała wita nas Ksiądz Proboszcz. Wchodzimy do świątyni, oddajemy cześć św. Relikwiom. Wyrusza procesja ku Bazylice. Wzdłuż drogi mnóstwo ludzi, rodzice podnoszą dzieci ku błogosławieństwu. Na horyzoncie ulicy Chrobrego rysują się wieże katedralne. Wieża południowa już okryta miedzią w górnej swej części; wieża północna rysuje się rusztowaniami. Dzwon „Wojciech” sercem wygląda ku ulicy, witając procesję. Sylweta dzwonu rozbujanego doskonale rysuje się w świetle okien. Plac katedralny kwitnie wszystkimi barwami, jak piękna łąka. Zwłaszcza balustrada otaczająca wzniesienie wzgórza barwi się działwą i młodzieżą. We wszystkich oknach świece, tu i ówdzie barwy maryjne, wśród zieleni. Wchodzimy w podwoje Katedry. Sumę celebruje na środku katedry ks. bp Baraniak; słowo Boże głosi ks. inf. Kominek. Szkoda, że czyta; treść, jak zazwyczaj, wyborna. Po Sumie procesja prowadzi do Pałacu Prymasowskiego, przed którym

mnóstwo matek z dziećmi czeka na błogosławieństwo. — Dawnym zwyczajem przemawiam z balkonu Domu Prymasowskiego. Lud wypełnia cały rozległy plac, głowa przy głowie, jak najlepszy bruk. Widok to malowniczy i wzruszający. Stoją gotowi na przyjmowanie słowa Bożego. Mówię o tej przedziwnej tajemnicy, która dokonała się tu na wzgórzu Lecha. Przybył Apostoł Narodu, św. Wojciech, „duszę swoją dał za Naród, aby nie cały Naród zginął”, zda się przegrał — Pasterz Dobry. Wyrosły z Chrystusowego Wzoru — Kościół, też dobry Pasterz, dotąd żywi Naród tak dobrze, że ta strawa nie przejadła się Narodowi. A rzecz znamienita, że choć ta strawa dla dusz, tak dobrze czyni i Narodowi całemu. Wszak tu, u grobu św. Wojciecha, Apostoła Narodu, podali sobie ręce Otto i Bolko. — W tych dłoniach był pokój i dzieje pogranicza zachodniego Polski. Gdyby tych dłoni nie rozdzieliła śmierć, jakże inaczej układałyby się dzieje stosunków politycznych nad Odrą. Ile by zaoszczędziło się krwi i męki. Dziś, gdy stoimy u trumny św. Wojciecha, nad Odrą znowu stoją dwa narody, w podobnej niemal konfiguracji granicznej. Gdyby ich łączył duch Wojciechowy! Gdyby on rodził przymierze pokoju! — Jak wielkie siły drzemią w mocach chrześcijaństwa, skoro my tu dziś na wzgórzu Lecha, mamy te same tęsknoty co Wojciech, Bolesław i Otto. Przemówienie zakończyłem błogosławieństwem, które głosniki roznieśli po całym wzgórzu Lecha. Powoli, powoli lud odpływał ku miastu i ku jezioru Wenecji. Pogoda, choć powietrze czerstwe, dopisała.

Przed obiadem przyjąłem ks. kan. *Piotrowskiego* z Warszawy, który przedstawił mi wyniki prac Komisji Wizytatorów religii i projekt listu do rodziców Archidiecezji warszawskiej w sprawie dwuletniego nauczania religii dla dzieci do pierwszej Komunii św.

Obiad miał miejsce w Seminarium Arcybiskupim. Księży z diecezji było niewielu. Natomiast wzięli w nim udział Wyżsi Przełożeni Zakonni. Dziękowałem im za udział w uroczystościach odpustowych, odpowiadając na przemówienie o Piotra Rostworowskiego, przeora z Tyńca.

Nieszpory odpustowe odprawił ks. inf. *Kominek*, a kazanie, bardzo dobrze skonstruowane historycznie, wygłosił ks. inf. *Brosse*. Odczytałem z ambony modlitwę kard. *Hlonda* do św. *Wojciecha*. W drodze powrotnej błogosławiłem dzieci. Pożegnalne przemówienie do pielgrzymów, z balkonu Domu Prymasowskiego, zakończyło uroczystość. Tym razem słuchaczami byli głównie Gnieźnianie, gdyż ludność napływowa przeważnie odjechała do domów. Plac i tym razem był wypełniony. Mówiłem o kulcie św. *Wojciecha* w rodzinach i w Narodzie. Dziękowałem za ofiarność na odbudowę katedry, której dźwigające się wieżyce mają być symbolem niespożytości ducha Narodu i hasłem do wewnętrznej odbudowy. Błogosławieństwo zakończyło przemówienie. Potężne „My chcemy Boga” było odpowiedzią na błogosławieństwo.

W sali prymasowskiej zebrał się chór prymasowski, któremu chciałem podziękować za trud przygotowania śpiewów. Po kantacie otrzymali błogosławieństwo i obrazki. Wychodzili radzi, że praca ich została doceniona.

Na zakończenie dnia przybyli ks. prał. Szelązek, ordynariusz z Gorzowa i ks. prał. Zink, z Olsztyna. Omawialiśmy sprawy administracyjne.

28.IV.1952. *Poniedziałek*

Gnieszno — Gólczewo. Po odpuście św. Wojciecha, wczesnym rankiem wyruszyłem z bpem Baraniakiem i ks. Janem Zarębą, *via* Poznań i Gorzów, do dekanatu Kamieńskiego, diecezji Gorzowskiej. Celem naszym jest przeprowadzenie bierzmowania w Gólczewie, Wolinie, Świnoujściu, Międzyzdrojach i in. Podróż do Gorzowa przebiegała spokojnie. Na polach Pniew widzieliśmy Urszulanki Szare, orzące swoimi wołami na swoim polu zamienionym na PGR. Zapewne nigdy nie myślały, że wypadnie im, zakonnicom polskim, stanąć na czele przodownic i postępowych kobiet, które rewolucja zrównała z mężczyzną, uważając to sobie za wyłączną zasługę.

Do Gorzowa przybyliśmy o godzinie 17.30. Przed bramą oczekiwała nas cała niemal parafia z dziatwą do bierzmowania. Oficjalny mówca zapomniał języka w ustach, podobnie mała dziewczynka. Ale wszyscy oczy się śmiały życzliwością i radością. Lud to przeważnie wileński, w pewnym procencie — Iwowski. Pracują w wielkim trudzie, na rozległych polach, dziś niemal całkowicie obsianych i uprawionych. Miasta leżą w gruzach — niewiele się tu robi. Natomiast drogi są odbudowywane starannie: zresztą są doskonałe.

Wysłuchaliśmy sprawozdania ks. Proboszcza ze stanu pracy kościelnej w parafii. Lud ubogi, lecz ofiarny i dźwigający się z przewrotów transmigracji z dalekiego Wschodu na zachodni kraniec Ojczyzny.

Przywożę im pozdrowienia z Gnieszna, z Warszawy i z Rzymu. Z Gnieszna, gdzie modliliśmy się wczoraj o jedność w wierze. Z Warszawy, która jest wzorem dźwigania się wzwyż, z popiołów i gruzów, dla całej Polski. Z Rzymu, gdzie uzyskaliśmy błogosławieństwo dla duchowieństwa i wiernych Ziemi Zachodnich. — Wybierzmowaliśmy 1,5 tysiąca ludu, wiele dzieci i młodzieży. Było dość chłodno. Wieczereż spożyliśmy w towarzystwie duchowieństwa dek. Kamieńskiego. Przybył też ks. Generał Posadzy, chrystusowiec. Przemawiał do Kapłanów przy stole.

29.IV.1952. Wtorek

Gólczewo — Przybiernowo — Stepnica. Rano, po Mszy św. w Gólczewie, wyruszyliśmy do Przybiernowa, odległego o 16 kilometrów. Wzdłuż drogi gromadziły się małe dzieci, które błogosławiliśmy. Wieś długa, poniemiecka, w połowie zniszczona i niezamieszкана. Bodaj co drugie domostwo opuszczone. Pola jednak wszędzie uprawne, nie widać tu ugorów;

W Przybiernowie przed kościołem oczekuje nas ludność ze swoim duszpasterzem. Kościół stary, zabytkowy. Proboszcz autochton, mówiący poprawnie, choć twardo, po polsku. W kazaniu powitalnym mówi o tym, że Przybiernowo od czasów reformacji nie widziało kapłana katolickiego, aż dopiero w 1946 r. Nie widziało też nigdy biskupa katolickiego, a już na pewno nigdy nie widziało Prymasa Polski. Toteż są szczególnie wdzięczni, że ta wioska jest wybrana na nasze odwiedziny. Powitanie jest serdeczne i bardzo bezpośrednie. Przemawiam do ludu. Kładę nacisk na Boże przykazanie „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Bóg wszystko czyni celowo. Sprowadził nas tutaj ze wszystkich stron Polski. Kościół wpoił w nas przykazanie „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. To działa i dziś jako owoc wychowania katolickiego. Musimy spełnić zadanie dni naszych. Tym bardziej, że Kościół nie szczędzi swej otuchy. On pierwszy wołał tu do nas. *Dominus vobiscum*. Gdy wszystko nas opuściło i pozostało daleko, „Bóg z nami” nadal. Kościół woła *Sursum corda*. To zwalcza w nas zwątpienie i niepewność.

Po kazaniu bierzmowaliśmy obydwaj na cmentarzu. Wczorajszy ziąb ustał, dziś jest ciepło i słonecznie. Przyszła też gromada matek z niemowlętami, prosząc o włożenie rąk na ich dzieci. Jest to zawsze wzruszająca chwila. Rodzice starają się zazwyczaj, by dziecko pięknie złożyło rączki i przeżegnało się. A jeśli umie paciorek i zacznie go szeptać — wielka radość dla religijnych matek, a przykład dla obojętnych.

Rzecz znamienna na Ziemiach Zachodnich. Nigdzie niemal nie można tu ustalić typu ludności. Zda się, że przeważają tu lwowianie, ale nie brak i wilnian, zdarzy się człek spod Radomska, są ludzie z Podlasia, zza Tarnowa — podobnie zresztą jak i ich duszpasterze. Przybiernowo jest podobną zbieraniną ludzi, co widać wybornie w gromadzie. Ich duszpasterz, autochton, ks. Józef Ochman, wspominał o swoich kontaktach z kard. Bertramem, z nuncjuszem Pacellim i z kard. Hlondem.

Opuściliśmy Przybiernowo o godz. 16.15 i przez lasy udaliśmy się do Stepnicy, położonej nad brzegiem rozlewiska Odry, tuż przy ujściu do zalewu Szczecińskiego. W tej rozległej wiosce, doskonale zbudowanej, parafia katolicka była już na kilka wieków przed reformacją. [...] A podobnie, jak w Przybiernowie, i tu nad Odrą Szczecińską lud

jest z całej niemal Polski. Przybyli dziś gromadnie, jadąc ciężkimi wozami z odległych wiosek, odgradzonych od kościoła lasami. Duszpasterstwo tu niełatwe, gdyż kapłan musi wędrować od kościoła do kościoła po 15—20 kilometrów. Wszyscy się wielce radują. Małe dzieci śmieją się otwarcie i szczerze. Po adoracji N. Sakramentu wychodzimy przed kościół. Ks. Proboszcz wita nas serdecznym słowem. Głoszę dłuższe przemówienie, osnute na tych samych motywach. Bóg nas tu przywiódł, tu mamy żyć, uświęcać się, tu mamy wypełniać swoje obowiązki i wobec duszy, i wobec ziemi ojczystej. Nie zbadamy tajemnic planów Bożych. Wielu urodzonych za Bugiem, czy też za Przemysłem, nie przypuszczało nawet, że wypadnie im żyć tu, pod Szczecinem. Ale Bóg, Ojciec Narodów, On rządzi i ziemią i życiem ludzkim. Nasze życie związał z tą właśnie ziemią. Błogosławię wszystkich obecnych, poczem zaczyna się bierzmowanie. W międzyczasie błogosławię małe dzieci i pytam je pacierza. Zazwyczaj są otwarte, odważne i odpowiadają dobrze. Krótkie nabożeństwo kończy pracę. Przechodzimy na plebanię. Dość długo ludziska stoją pod domem, jak gdyby jeszcze na coś czekali. Rozjeżdżają się na swych ciężkich wozach powoli, z ociąganiem się. Żal mi tego ludu. Ileż trzeba by mieć dla nich czasu, by im służyć. Wieczorem przyjeżdża kolejką ok. 30 dzieci i młodzieży z Łożnicy. Bp Baraniak biermuje; dzieci przechodzą po błogosławieństwo — długo stoją przy domu.

30.IV.1952. Środa

Stepnica — Wolin — Ładzin — Międzyzdroje. Msza św. rano — w Stepnicy; zebrało się mnóstwo dziatwy i starszych. Niemal wszyscy obecni w kościele przystąpili do Stołu Pańskiego. Wygłosiłem krótkie przemówienie od ołtarza. Po śniadaniu pożegnaliśmy Proboszcza-wicedziekana i udaliśmy się do Wolina.

Wyspa Wolin, odległa od Stepnicy około 20 km. Droga wiedzie przez nizinne łąki, piękne lasy i opustoszałe wsie. Wszystkie mijane po drodze wsie, prócz Żarnowa, są nie zamieszkałe. Z dala czernią się jamy wyrwanych okien. Wśród lasów rozrzucone są piękne kolonie domków robotników leśnych — dziś wszystkie puste. Przed przejazdem kanału krótki postój. Zatrzymują nas strażę strefy granicznej, sprawdzają dokumenty. Są bardzo grzeczni ci chłopcy w mundurach. Co znaczy rozkaz — tym razem polecono im być grzecznymi. Po ukończeniu służby zgłosili się na plebanię z zapytaniem, czyśmy się na nich nie gniewali za zatrzymanie, gdyż otrzymali polecenie być grzecznymi. Pan poseł Mazur działa. Miasto Wolin na wyspie — to kupa gruzów. Sterczą szczyty wielkich świątyń, całkowicie rozbitych. Nic się tu nie robi dla ich odbudowy. Jedna z nich ma być dawną świątynią katedralną, chociaż nie jest to pewne. Zwiedzamy jej wnętrze, które lepiej ukazuje elementy gotyku niż obraz zewnętrzny.

Zwłaszcza w starej wieży, w której leżą dwa, rozwalone i szerniałe, olbrzymie dzwony żelazne. W prawej stronie od wejścia znać doskonale „ośli grzbiet” łuku gotyckiego.

Do kościółka parafialnego podjeżdżamy mocno pod górę, po zwale gruzów z czerwonej cegły. Naokoło pozostały tylko progi dawnych domów — nic więcej. Wśród tych zwalisk wprost egzotycznie wyglądają małe dzieci w bieli, oczekujące z kwiatkami w koszyczkach na nasze przybycie. Witają nas tutaj z wielkim rozrzewieniem. Człowiek ma chęć pytać: skąd się tutaj wzięliście? Niewielki kościół parafialny napełnia się ludem. Pasterzuje tu dawny misjonarz Indian. Przemawia do nas obrazami ze swych doświadczeń misjonarskich. Trudno opanować wzruszenie, gdy się patrzy na ten lud „z Wołynia na Wolinie”. Zresztą wszyscy oni są też we łzach. Płaczą dzieci, dziewczęta i starzy oracze. Trzeba im wyjaśnić, że Bóg żartów nie czyni. Za krzywdy wyrządzone Narodowi Bóg — Pan ziemi — daje nam restytucję dziejową i osadzając nas tutaj rozkazuje: „Czyńcie sobie ziemię poddaną”. Jakże trudno jest niekiedy pojąć te dziwne drogi Boże. Bo trzeba wierzyć w Opatrzność i w jej szczegółową troskę. A właśnie Bóg pozwolił, by tu wrócili polscy oracze. Bóg pozwolił, aby po tylu wiekach [...] noga polskiego Prymasa znowu tu stanęła. Nie wystarczy to stwierdzać, trzeba to rozumieć, trzeba to uzasadnić.

Ks. bp Baraniak bierzmuje dzieci i młodzież, a ja błogosławię niemowlęta i ich matki, pytam o paciorek. Każda matka radaby, by jej dziecko dobrze się przeżegnało niezgrabną, dziecinną rączką. Każde dziecko trzeba pochwalić, choć krzyże koszlawe, każdej matce otuchy dodać, boć dobrze się rozumie, że to jest lud wielkiej męki. Nabożeństwo kończy ks. prał. Szelażek. Spożywamy obiad, aż nadto przesadnie przygotowany. Ale wszelkie próby protestów i upomnień, aby posiłek był skromny, nic tu nie pomagają. Jedyna możliwa obrona — to ogłosić strajk spożywczy, co też i czynię.

Żegnamy Wolin w gromadzie dziatwy, która tu się zbiegła. Fotografia, obrazki, kwiatki, łzy, uśmiechy i — w drogę.

Ładzin, odległy od Wolina o 8 km, jest dalszym etapem naszej drogi. Wiedzie ona przez łąki nadmorskie. Okolica lepiej zamieszkała, piaski, wielkie wydmy naniesiskowe piasku. Po drodze zatrzymuje nas brama powitalna, przy której gromada starszych i dzieci. Błogosławieństwo, krótkie słowa otuchy i zachęty i dalej w drogę. Kościół w Ładzinie, typowy poprotestancki, Proboszcz autochton, z trudem mówiący po polsku. Przyjęcie trochę beładne, ale powoli wszystko wchodzi w zręby ceremoniału. Są więc i kwiatki małych dziewczynek, i bochen chleba z solą, i kadzidło i kropidło — wszystko nie w swoim miejscu — ale jest. Okropne *Ecce sacerdos* — wysłuchane z tą samą cierpliwością, z jaką fałszowane... do końca. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Istotne jest to radosne spojrzenie dzieci, matek, ojców

— poczucie dumy, że tu do nich się przyjechało. Ks. Proboszcz z sensem przemawia. Pochwala religijność swych parafian. Wygłasza dłuższe przemówienie o znaczeniu religii dla zjednoczenia pielgrzymiego Narodu. Zachęcam do pracy dla duszy i dla ziemi. Wykazuję, jak wszystkie cnoty chrześcijańskie są cenne dla życia doczesnego. Błogosławię i schodzę z ambony. Bp Baraniak przygotowuje się do bierzmowania, a ja wychodzę na cmentarz, gdzie już czeka gromada matek i ojców z niemowlętami. Dzieci są starannie pielęgnowane, nie znać wśród nich schorzeń ani opuszczenia, chociaż nieraz widać ludzi ubogich i źle ubranych.

Wstępuję na plebanię ks. Prob. Jaworskiego, pełną różnych zbiorów, okazów morskich wodorostów i skamielin.

Międzyzdroje — są następnym celem naszej wędrowki. Wyruszamy o godz. 18.45 drogą przez Wolin, dalszą wprawdzie, ale lepszą. Bliższa droga liczy zaledwie 7 kilometrów, ale głębokich piasków. Na posterunku straży nadgranicznej krótkie formalności i wjeżdżamy w miasto. Jest już w pełni przygotowane na jutrzejszą uroczystość pierwszomajową. Zajeżdżamy przed kościół, stojący na wysokim nadbrzeżu wału morskiego, porośniętego lasem. Międzyzdroje to dawne kąpielisko Berlina, dziś jest skupiskiem wypoczynkowym dla całej Polski. Spotyka się tu ludzi zewsząd. Widać to po twarzach ludzi zebranych przed kościołem. Przeważa inteligencja. Dosadnie charakteryzuje swych parafian Ks. Proboszcz Aleksander H., stary proboszcz wileński, który tu przybył z gromadą swych parafian i z całym dobytkiem, wywiezionym na prawach repatriacji. Kazanie Ks. Proboszcza jest „morskie i rybne”. Jego owieczki to rzadkie złote rybki, cenne sandacze, głupawe dorsze, uparte szczupaki, ruchliwe węgorze; nie brak mu też i fląder, a i rekiny się zdarzają. Duszpasterz prosi, aby to wszystko „zabrać”. W odpowiedzi pocieszam Pasterza, że każdą rybę tak można przyrządzić, że staje się smaczna, że da się spożyć, a cóż dopiero człowiek, gdy go się doprawi taską Bożą i gorliwością pasterską. Po nabożeństwie lud odprowadza nas do plebanii, gdzie sobie gawędzimy.

Wieczera, pełną wspomnień Ks. Proboszcza z wędrowki repatriacyjnej do Polski, kończy się dzień dzisiejszy.

Głosy redaktorów prasy katolickiej w kraju

Ks. Stanisław Tkocz

CELE I ZADANIA PRASY KATOLICKIEJ W POLSCE

Autor jest redaktorem naczelnym tygodnika diecezji katowickiej „Gość Niedzielny”.

Zasadniczym celem istnienia prasy katolickiej w Polsce jest wspomaganie działalności duszpasterskiej Kościoła. Zważywszy jednak, że prasy tej jest na rynku czytelnicy zaledwie 1,2 proc., jej zasięg i stopień oddziaływania są raczej skromne. Do prasy katolickiej zaliczam czasopisma kościelne oraz te pisma katolików świeckich, które posiadają asystenta kościelnego. Wszystkie wymienione związane są z Komisją Episkopatu Polski do spraw Środków Społecznego Przekazu.

W Polsce istnieją 33 tytuły (tygodniki, dwutygodniki, miesięczniki, dwumiesięczniki, kwartalniki) czasopism katolickich, których łączny nakład w roku 1984 wynosił 1 078 tys. egzemplarzy. Obecnie jest on obniżony na skutek 20-procentowego zmniejszenia przydziału papieru. Obok tych pism istnieje jeszcze 27 periodyków urzędowych, wydawanych przez kurie diecezjalne wyłącznie do użytku wewnętrznego.

W tej sytuacji nie ma więc mowy o nasyceniu rynku czytelnicy prasą katolicką. Warunki byłyby normalne wówczas, gdyby każda diecezja mogła wydawać swój własny tygodnik, jak to ma miejsce w innych krajach o dużej liczbie katolików.

Dalsze trudności, na jakie napotyka prasa katolicka w realizowaniu swych celów, to: szczupła objętość pism, ingerencje cenzury, utrudniony dostęp do źródeł informacji, trudności techniczne

powodowane przez bazę poligraficzną, brak papieru, jego zła jakość i związana z tym mało atrakcyjna szata graficzna, praktycznie brak pism kolorowych, brak pisma dla młodzieży, jest jedno tylko pismo dla dzieci.

Zasadniczym walorem prasy katolickiej jest jej stosunek do prawdy, co zjednuje jej powszechny kredyt zaufania u czytelników. Prasa ta ponadto nie zamieszcza informacji o posmaku sensacyjnym, jak to niejednokrotnie ma miejsce w prasie na Zachodzie. Czytelnik w Polsce oczekuje raczej pozytywnego wykładu wiary, otuchy i nadziei w zmaganiach z przeciwnościami losu.

Prasa katolicka pełni trojaką funkcję: formacyjną, informacyjną i opiniotwórczą.

I

Panujące od 40 lat warunki społeczno-ustrojowe w Polsce wytworzyły sytuację nacechowaną różnymi kryzysami, od ekonomicznego poczynając a na moralnym kończąc. Głoszony przez lata dialektyczny stosunek do rzeczywistości odbił się ujemnie zwłaszcza na postawach moralnych, względnym pojmowaniu prawdy i deprecjonowaniu wielu tradycyjnych wartości. Tłumiona przez wiele lat podmiotowość społeczna doprowadziła do frustracji i groźnego rozprzestrzenienia się plag społecznych. W tej sytuacji nauczanie Kościoła staje się punktem oparcia dla milionów katolików, ukierunkowując ich ku wartościom absolutnym. Rolę służebną w tym nauczaniu pełni także prasa katolicka. Wskazuje ona na swych łamach na wartości ewangeliczne, ogólnoludzkie i narodowe, na które dzisiaj Polacy są szczególnie uciążliwi. Do tych wartości należą przede wszystkim godność osoby ludzkiej i godność narodu, prawa osoby ludzkiej i prawa narodu, niezależność i wolność, nadzieja i roztropność, prawda i sprawiedliwość, przebaczenie i solidarność.

Elementem zasadniczym formacyjnej funkcji prasy jest doskazywanie religijne oraz kształtowanie postaw. W Polsce nie dokonał się wprawdzie proces laicyzacji — ani kierowanej, ani spontanicznej; religijność wciąż stanowi trwałe czynnik integracji w dziedzinie świadomości i zachowań społecznych. Jednakże obserwuje się w naszym kraju jakby dwie płaszczyzny funkcjonowania religii: ogólnonarodową, przeżywaną w społeczności narodowej, i płaszczyznę życia codziennego. W pierwszej ujawnia się historyczne powiązanie Kościoła z narodem oraz aktualna tożsamość religii i patriotyzmu. W płaszczyźnie życia codziennego toczą się natomiast przemiany nie zawsze korzystne dla religijności i moralności naszego społeczeństwa. W tej sytuacji prasa, mimo swego ograniczonego zasięgu, usiłuje wpływać na kształtowanie postaw poprzez uświadamianie

podstawowych prawd wiary, nauczanie zasad moralnych i uświadamianie zagrożeń.

Strukturą społeczną, której prasa katolicka poświęca szczególną uwagę, jest rodzina. Stanowi ona chyba najzdrowszą wspólnotę społeczną a zarazem oparcie dla wszystkich pokoleń ludzi. Niemniej toczące się przemiany społeczno-ekonomiczne i demograficzne stwarzają dla rodziny wielorakie zagrożenie. Aby przeciwdziałać temu procesowi, prasa katolicka usiłuje wskazywać na korzenie polskiej rodziny, jej tradycje, obyczajowość oraz wartości religijno-patriotyczne przekazywane z pokolenia na pokolenie. Pisma katolickie podejmują ponadto takie istotne zadania, jak: propagowanie Kościoła domowego i rodziny rodzin, uwrażliwianie na potrzeby rodzin wielodzietnych, budzenie zainteresowania dziećmi z rodzin moralnie zaniedbanych czy też rozbitych.

II

Funkcja informacyjna prasy katolickiej obejmuje szeroki zakres tematyczny. Prasa, mimo swych skromnych możliwości, pragnie wszechstronnie informować czytelników o życiu Kościoła i narodu oraz o wielu innych problemach omawianych w ramach różnorodnych publikacji — poczynając od artykułów z takich dziedzin, jak: teologia, historia, nauka społeczna Kościoła, kultura, a na informacjach z życia bieżącego kończąc. Z uwagi na masowego czytelnika — w wypadku tygodników i dwutygodników — opracowania mają charakter popularny, łączy je przy tym wspólny cel: pobudzanie czytelnika do chrześcijańskiej refleksji. W dziedzinie historii i kultury prasa katolicka usiłuje wypełnić lukę, jaka istnieje w państwowych środkach przekazu, które z reguły pomijają kulturotwórczą rolę Kościoła oraz jego wkład w historię narodu i w ogóle w cywilizację.

Warunki społeczno-ustrojowe w Polsce — zdaniem władz — mają doprowadzić do stopniowego przyswojenia sobie marksizmu przez całe społeczeństwo, mają w konsekwencji zuniformizować myślenie całego narodu. Temu celowi ma także służyć wprowadzenie do szkół średnich przedmiotu zwanego religioznawstwem. W tej sytuacji zarówno nauczanie Kościoła, jak i publikacje w prasie katolickiej usiłują wnieść w dzisiejszą rzeczywistość element pluralizmu oraz uświadamiać, iż religii nie da się wcielić w życie poza kulturą i że tzw. jedynie naukowy światopogląd najczęściej nie ma wiele wspólnego z nauką.

Indoktrynacja ideologiczna społeczeństwa dokonuje się dość opornie ze względu na brak zaufania do państwowych środków przekazu. Niemniej presja mas-mediów może u osób o słabej religijności spowodować pewien zamęt i doprowadzić stopniowo do laicyzacji. Tymczasem prasa katolicka jest zbyt szczupła, by mogła

przeciwstawić się temu procesowi w skali całego narodu. Uzupełnia ona jedynie katechezę Kościoła poprzez publikację treści o znaczeniu podstawowym w wychowaniu religijnym oraz zachęca czytelnika do dokonywania świadomego wyboru.

Zadaniem o znaczeniu szczególnym dla prasy katolickiej jest — według mnie — informowanie czytelnika o obecności Kościoła w dzisiejszej rzeczywistości. Nauczanie Kościoła to nie anachroniczna doktryna, a wyznawanie religii, to nie uleganie zabobonom. Zadaniem prasy katolickiej jest ponadto informowanie o życiu Kościoła bogatym w rozmaite wydarzenia zarówno w kraju, jak i na całym świecie. Czytelnik w Polsce niewiele znajduje informacji na temat Kościoła i religii w państwowych środkach przekazu. Są tam bowiem zazwyczaj krótkie, wycinkowe wiadomości redagowane centralnie. Tego rodzaju informacja prowadzi raczej do dezinformacji. Ponadto publicystyka na tematy religijne w prasie państwowej, wychodzącej z założeń ateistycznych, nosi piętno ateistycznie pojętej demitologizacji, pomniejsza wartość religii oraz zawęża jej problematykę głównie do spraw kultowo-obyczajowych.

W pełnieniu swej funkcji informacyjnej prasa katolicka napotyka na dość duże trudności, dotyczące głównie gromadzenia informacji. Nie ma bowiem w naszym kraju katolickiej agencji prasowej. Przepływ informacji jest zatem utrudniony i powoduje, że prasa katolicka niejednokrotnie z opóźnieniem nadąża nawet za najważniejszymi wydarzeniami. Ale brak pełnej i aktualnej informacji nie zawsze jest zawiniony przez prasę. Przyczyną jest także prewencyjna cenzura państwowa, która ingeruje nawet w dokumenty kościelne oraz w przemówienia Papieża.

III

Prasa katolicka — obok funkcji ewangelizacyjnej — pełni także funkcję opiniotwórczą. Nie ma ona jednak charakteru politycznego w tym sensie, by głosiła poglądy partii politycznej, będącej w opozycji do władz. Niemniej nie może stronić od polityki, która zgodnie z definicją Jana Pawła II jest „roztrofną troską o dobro wspólne”. Podobnie jak faktem politycznym jest istnienie w państwie komunistycznym Kościoła liczącego kilkadziesiąt milionów wiernych. Pismo katolickie stroniące od powyższych problemów stałoby się biuletynem katechetycznym pozbawionym charakteru prasowego.

Na łamach prasy katolickiej znajdują oddźwięk głównie problemy społeczne interpretowane w myśl zasad chrześcijańskiej nauki społecznej. W piętnowaniu zła cenzura przepuszcza zazwyczaj tylko dość ogólnikowe sformułowania, choć wobec narastających problemów stwarzanych przez kryzys systemu przestaje milczeć nawet prasa

państwowa. Zło dostrzega ona jednak nie w wadliwym systemie, lecz w nieudolnej rzekomo realizacji założeń systemowych przez ludzi.

Prasa katolicka coraz częściej polemizuje ze stanowiskiem prasy rządowej, która odmawia Kościołowi kompetencji w interpretowaniu zjawisk społecznych oraz wyrażania swego krytycznego zdania, natomiast usiłuje go spychać jedynie do sfery kultowo-obyczajowej. Cenzura godzi się na taką polemikę pod warunkiem, że nie krytykuje się założeń systemowych, a jedynie poglądy takiego czy innego autora. Polemika jednak najczęściej utyka, gdyż laicycy polemicy z braku innych argumentów dość często szermują zarzutem politycznej opozycyjności wobec autorów katolickich, co sprowadza dyskusję na bezdroża. Bywa także, iż polemikę ucina cenzura, skreślając artykuły w prasie katolickiej.

Niejednokrotnie ze strony rzecznika prasowego rządu czy publicystów partyjnych padały zarzuty upolitycznienia prasy katolickiej. Wskazywano przy tym na publikacje, które krytycznie oceniały naszą rzeczywistość. W sytuacji znacznego ujednoczenia opinii prasowej, a z taką mamy przecież do czynienia w Polsce, każde odmienne spojrzenie na sprawy społeczne jest oceniane jako działanie polityczne, często określane dodatkowo jako opozycja antysocjalistyczna. Chciałbym jednak podkreślić, że to „upolitycznienie” nie wynika z orientacji prasy katolickiej, ale ze społecznego kontekstu, w którym obecnie działa.

Prasa katolicka, głosząc powszechnie obowiązujące normy moralne, ma w tej sytuacji jedno zasadnicze zadanie: budzić i krzycić podmiotowość człowieka i społeczeństwa. Przypominać, że człowiek nie jest elementem produkcji, a społeczeństwo nie jest własnością państwa. W jakiej mierze prasie katolickiej udaje się realizować te założenia, możemy jedynie wnioskować z listów czytelników. Nie istnieje bowiem instytut prasoznawczy, który zajmowałby się badaniem recepcji prasy katolickiej w Polsce.

Ks. Stanisław TKOCZ

PRASA KATOLICKA W POLSCE

„Apostolstwo Chorych”

Miesięcznik wydawany przez Polski Sekretariat Apostolstwa Chorych w Katowicach.

Nakład: 50.000 egz.

„Ateneum Kaptiańskie”

Dwumiesięcznik wydawany przez Wyższe Seminarium Duchowne we Włocławku.

Nakład: 6.030 egz.

„Biblioteka Kaznodziejska”

Miesięcznik wydawany przez Księgarnię św. Wojciecha.
Nakład: 11.300 egz.

„Chrześcijanin w Świecie”

Miesięcznik wydawany przez Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych w Warszawie.
Nakład: 5.000 egz.

„Collectanea Theologica”

Kwartalnik wydawany przez Akademię Teologii Katolickiej.
Nakład: 2.530 egz.

„Communio”

Dwumiesięcznik — Wydawnictwo Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego Pallottinum.
Nakład: 5.000 egz.

„Gość Niedzielny”

Tygodnik Kurii Diecezjalnej w Katowicach.
Nakład: 200.000 egz.

„Gwiazda Morza”

Dwutygodnik — pismo diecezjalne wydawane przez Kurię Biskupią w Gdańsku.
Nakład: 15.000 egz.

„Homo Dei”

Kwartalnik — przegląd ascetyczno-duszpasterski wydawany przez Ojców Redemptorystów prowincji warszawskiej.
Nakład: 5.000 egz.

„Jasna Góra”

Miesięcznik wydawany przez Kurię Generalną Zakonu Paulinów i klasztor Jasnogórski.
Nakład: 3.500 egz.

„Katecheta”

Dwumiesięcznik — Wydawnictwo Księgarni św. Wojciecha, Poznań.
Nakład: 6.500 egz.

„Królowa Apostołów”

Miesięcznik ilustrowany wydawany przez Księżę Pallotynów w Warszawie.
Nakład: 50.000 egz.

„Ład Boży”

Dwutygodnik wydawany przez Kurię Diecezjalną we Włocławku.
Nakład: 43.000 egz.

CELE I ZADANIA PRASY KATOLICKIEJ W POLSCE

„Mały Gość Niedzielny”

Miesięcznik dla dzieci wydawany przez Kurię Diecezjalną w Katowicach.

Nakład: 100.000 egz.

„Misjonarz”

Dwumiesięcznik wydawany przez Wydawnictwo Księży Werbistów „Verbinum”.

Nakład: 15.000 egz.

„Misyjne Drogi”

Kwartalnik wydawany przez Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej.

Nakład: 20.000 egz.

„Msza Święta”

Miesięcznik wydawany przez Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej w Poznaniu.

Nakład: 20.000 egz.

„Niedziela”

Tygodnik wydawany przez Kurię Diecezjalną w Częstochowie.

Nakład: 100.000 egz.

„Nowe Życie”

Dwutygodnik wydawany przez Kurię Metropolitalną we Wrocławiu.

Nakład: 20.000 egz.

„Papieskie Intencje Misyjne”

Dwumiesięcznik ilustrowany wydaje Sekretariat Krajowy Papieskiego Dzieła Rozkrzewiania Wiary.

Nakład: 10.000 egz.

„Poślaniec Serca Jezusowego”

Miesięcznik wydawany przez Księży Jezuitów Polski Południowej.

Nakład: 100.000 egz.

„Poślaniec Warmiński”

Miesięcznik wydawany przez Kurię Diecezjalną w Olsztynie.

Nakład: 25.000 egz.

„Powściągliwość i Praca”

Miesięcznik wydawany przez wydawnictwo „Michalineum” przy Kurii Generalnej Zgromadzenia św. Michała Archanioła.

Nakład: 30.000 egz.

„Przegląd Katolicki”

Tygodnik wydawany przez Wydawnictwo Archidiecezji Warszawskiej.

Nakład: 25.000 egz.

„Przegląd Powszechny”

Miesięcznik wydawany przez Prowincję Wielkopolsko-Mazowiecką
Towarzystwa Jezusowego.

Nakład: 10.000 egz.

„Przewodnik Katolicki”

Tygodnik wydawany przez Księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu.

Nakład: 100.000 egz.

„Ruch Biblijny i Liturgiczny”

Dwumiesięcznik wydawany przez Polskie Towarzystwo Teologiczne
w Krakowie.

Nakład: 4.000 egz.

„Rycerz Niepokalanej”

Miesięcznik wydawany przez Ojców Franciszkanów w Niepokalanowie.

Nakład: 100.000 egz.

„Tygodnik Powszechny”

Tygodnik wydawany przez Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”.

Nakład: 80.000 egz.

„W drodze”

Miesięcznik wydawany przez Polską Prowincję Dominikanów.

Nakład: 10.000 egz.

„Więź”

Miesięcznik.

Nakład: 10.000 egz.

„Współczesna Ambona”

Kwartalnik wydawany przez Kurię Diecezjalną w Kielcach.

Nakład: 5.000 egz.

„Znak”

Miesięcznik. Wydawnictwo „Znak”.

Nakład: 15.000 egz.

Wojciech Wieczorek

OD „KOŚCIOŁA FRONTOWEGO” DO „KOŚCIOŁA DIALOGU”?

Artykuł niniejszy stanowi odpowiedź na ankietę pt. „Kościół polski u progu 2000 roku” rozpisaną przez warszawski oddział Wydawnictwa „Pallottinum”. Drukujemy go za zgodą Wydawnictwa i Autora.

Kościół polski jest Kościołem ludowym. W interesującej publikacji zamieszczonej w 1/2 numerze wznowionego „Przeglądu Powszechnego” ks. Władysław Piwowarski tak oto charakteryzował jego cechy.¹ Otóż — zdaniem autora — jest to Kościół otwarty w tym sensie, że służy nie tylko katolikom, ale wszystkim Polakom, że stanowi organizację religijno-narodową. Po drugie — że jest Kościołem masowym, rozwijając bardziej duszpasterstwo ogólne skierowane na przeciętnego katolika (Polaka) aniżeli jego formy wyspecjalizowane, adresowane do poszczególnych kategorii i grup społecznych. Po trzecie — że jest Kościołem hierarchiczno-urzędowym na niekorzyść Kościoła wspólnotowego; odzwierciedla się to w hierarchii wartości akcentującej wymóg jedności, posłuszeństwa, sprzyjającej pewnemu uniformizmowi w myśleniu i działaniu, a także w aktywności duchowieństwa przy znacznej bierności laikatu. Po czwarte — że jest Kościołem rytuału utrzymującego masy przy religii i patriotyzmie, Kościołem zbiorowych praktyk i manifestacji religijnych, pobożności maryjnej. Po piąte wreszcie — że jest Kościołem, który również w warunkach państwa rządzonego przez komunistów nie zrezygnował z aliansu ołtarza z tronem, tzn. z dialogu z tymże państwem w imię nadrzędnych wartości narodowych i mimo ryzyka instrumentalizacji Kościoła przez władzę.

Przedstawione przez ks. Piwowarskiego cechy Kościoła ludowego w Polsce zarysowane są ostro i wyraziście. Nie wypełniając — co zastrzega sam Autor — całości obrazu, zdają się stanowić niewątpliwie jego dominantę. Zastrzeżenia wzbudza jedynie

wyjątkowo w tym miejscu nieszczęśliwe sformułowanie o *alianse ołtarza z tronem*, nieszczęśliwe, moim zdaniem, tak dalece, iż może wywoływać nieporozumienia merytoryczne. Bardziej adekwatna wydaje się formuła o spełnianiu przez Kościół „funkcji zastępczej” w sferze politycznej i społecznej, która to funkcja staje się nakazem chwili w warunkach braku bądź ograniczenia świeckich instytucji życia narodowego. Dzieje Polski w XIX wieku dostarczają tu modelowych przykładów. Faktem jest, że ówczesne władze kościelne musiały pozostawać w dialogu z „tronem” czy, ściślej mówiąc, trzema różnymi tronami, daleko stąd jednak było do „alianсу”, gdy podstawowe interesy nie tylko narodowe, ale i wyznaniowe (wyłączywszy może przypadek arcykatolickiej Austrii) pozostawały z gruntu rozbieżne. Myślę, że nawet z czysto teoretycznego punktu widzenia możliwość aliansu ołtarza z tronem zasadniczo przestała u nas istnieć wraz z upadkiem Rzeczypospolitej przedrozbiorowej.

Nie piszę tego dla samej przyjemności polemizowania, w dodatku z artykułem opublikowanym przed z górą czterema laty. Sprawa ta ma niemałe znaczenie także w ocenie sytuacji Kościoła polskiego u progu 2000 roku i jego perspektyw na przyszłość. W zachodnioeuropejskiej publicystyce katolickiej spotkałem się np. ze stwierdzeniem, iż tym, co wyróżnia korzystnie Kościół polski wśród innych Kościołów naszego kontynentu, jest właśnie fakt, że nie splamił się on udziałem w dwuznacznych aliansach, zachowując żywą więź z powierzonym mu ludem, nawet za cenę prześladowań. Przypomina się tu zwłaszcza jego postawę w latach okupacji podczas II wojny światowej i martyrologię duchowieństwa. Ale przecież ta tradycja sięga głębiej, splotła się nierozzerwalnie z obroną tak katolickiego, jak polskiego stanu posiadania w warunkach wspólnego zagrożenia, no i trwa już dostatecznie długo (z niewielkimi przerwami, jak np. w dwudziestoleciu międzywojennym), by nie wytworzyć trwałego stereotypu wzajemnych odniesień Kościoła i narodu i poczucia wzajemnej solidarności. Ów „model sytuacji” nie uległ zawieszeniu również po II wojnie światowej. Przesądził o tym fakt, iż niepodzielna władzę w Polsce objęła partia programowo materialistyczna. Nieunikniony spór światopoglądowy przy katolickiej większości społeczeństwa, a także społeczno-gospodarcze niepowodzenia władzy i kwestie związane z jej legitymizacją uruchamiają te same mechanizmy bez względu na to, że powojenny stan rzeczy bynajmniej nie jest identyczny z XIX-wiecznym czy tym z lat okupacji.

Nie zmieniło się natomiast jedno. To mianowicie, że Kościół polski we wszystkich tych okresach historii narodu konfrontowany jest ustawicznie z potrzebą pełnienia wspomnianej „funkcji zastępczej”, która zakłada oczywiście dialog, ba, kompromisy z władzą polityczną, ale którą trudno zakwalifikować jako przejaw „alianсу ołtarza z tronem”. Sądzę, że takim ujęciem sprawy nie byłiby zachwy-

ceni i jego dzisiejsi, marksistowscy partnerzy. Co ważniejsze jednak, ze sprawowania tej funkcji — a dodajmy, skutecznego sprawowania, widocznego szczególnie z dłuższej perspektywy czasu — wyrósł w niemającym stopniu olbrzymi autorytet Kościoła w społeczeństwie. Zatem skutek był raczej odwrotny aniżeli w historycznie znanych przypadkach przymierzy z władzą. Bo też inny był w istocie ów partner czy, powiedzmy, właściwy sojusznik. Było nim bowiem właśnie społeczeństwo, naród, a nie „tron”. Jeśli wspominałem przed chwilą o trwałym stereotypie wzajemnych odniesień Kościoła i narodu, to sedno zachodzących w nim „sprzężeń zwrotnych” dałoby się sprowadzić do tego, że Kościół narodu nie zawiódł, podtrzymał i krzepił w najtrudniejszych dlań momentach politycznego ubezwłasnowolnienia, nie zdradził po prostu, będąc za to odwzajemniany stałą i rzetelną wiernością umacniającą z kolei jego własną instytucjonalną pozycję.

Tej generalnej oceny zjawiska nie zmieni przypomnienie, że różnie z tym bywało jeszcze np. w dobie stanisławowskiej, w przededniu upadku dawnej polskiej państwowości, kiedy analizowany tu pobieżnie mechanizm nie bardzo jeszcze funkcjonował i w którym także później zdarzały się zgrzyty.

Ale z tego trwającego przez mniej więcej dwa stulecia szczególnego splotu narodowych i kościelnych dziejów wyłoniła się nie tylko współczesna pozycja polskiego Kościoła instytucjonalnego. Wywarły one również przemożny wpływ na kształt duchowej formacji polskiego katolicyzmu, dzisiejszego polskiego Kościoła ludowego w szerokim tego słowa znaczeniu. Nie sposób się więc o nim wypowiadać bez uwzględnienia tej tradycji. Tym bardziej, że cztery pierwsze z wymienionych przez ks. Piwowarskiego cech tego Kościoła — swoiście rozumiana otwartość, masowość, hierarchiczność i rytualizm — dałyby się stosunkowo łatwo uzasadnić w świetle tej piątej, pod warunkiem, że zostanie ona, by tak rzec, poprawnie zredagowana. Nie tu jednak miejsce na szczegółową argumentację. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę na inny aspekt sprawy, wiążący się ze sprawowaniem przez Kościół polski „funkcji zastępczej” i wynikającymi stąd konsekwencjami.

Otóż wydaje się pewne, że przyczyniło się ono walenie do znacznej polityzacji polskiej formacji katolickiej. Sugeruje to pośrednio sam Autor powołanego artykułu z „Przeglądu Powszechnego”, określając m.in. Kościół polski jako *organizację religijno-narodową*, co z eklezyjalnego (a nie socjologicznego) punktu widzenia wygląda poniekąd dziwnie. Niemniej nie ulega wątpliwości, że stał się on także instytucją życia narodowego, bywało, że — z wiadomych powodów — jedyną instytucją niezależną i wiarygodną. Złożyła się zaś na to nie tylko głębokość inkulturacji, obecność chrześcijaństwa (katolicyzmu) w kulturze polskiej, ale i owe wiadome powody specjalne. A wraz

z nimi „zastępczo”, szczególne zobowiązania Kościoła wobec politycznych oczekiwań wiernych.

Położone na tym polu zasługi oraz zdobyte zaufanie i wpływy nie powinny przysłaniać niepokojów ani zwalniać od krytycznej refleksji. Niepokoje budzi przede wszystkim nieuchronna wrażliwość na polityczną instrumentalizację, wbudowana jak gdyby w jego „zastępczą” rolę — i to niekoniecznie tylko ze strony jakiejkolwiek władzy. Również presja ze strony społeczeństwa może prowadzić do analogicznego skutku. Dodajmy też, że groźba ta pojawia się dopiero wtedy, kiedy skądinąd naturalna i uprawniona opcja polskiego Kościoła na rzecz narodowego dobra wspólnego staje się przedmiotem manipulacji zmierzającej do podporządkowania jej programom poszczególnych ugrupowań czy tendencji politycznych. W swoim czasie — i nie bez pewnego powodzenia — czyniła to Narodowa Demokracja, a nawet jej skrajnie nacjonalistyczne odpryski. Po II wojnie światowej aż po ostatnie lata także nie brakowało takich zabiegów, podejmowanych z różnych stron, bo któż nie chciałby mieć za sobą (bądź przynajmniej zneutralizować) tak wielkiego i wpływowego autorytetu moralnego. Wynika stąd potrzeba starannego przestrzegania nadrzędnego (żeby nie powiedzieć — „ponadpartyjnego”) charakteru obecności Kościoła w życiu publicznym, obecności dyktowanej przez racje moralne i sformułowane w oparciu o te racje prawa człowieka i prawa narodu.

W warunkach polskich nie było to i nie jest proste. Tym bardziej, jeśli się weźmie pod uwagę jeszcze jeden aspekt polityzacji polskiej formacji katolickiej, rzutujący na sam model religijności. Ks. Piwowarski napisał m. in., że w swym przepowiadaniu *Kościół był nie tylko głosicielem Ewangelii, ale także patriotyzmu*, oraz że *przepowiadanie o treści dogmatycznej miało mniejsze znaczenie dla słuchaczy niż przepowiadanie o treści patriotycznej*. To ostatnie bowiem *dodaje otuchy i nadziei dla podtrzymania na duchu społeczeństwa w trudnych warunkach*. Dodajmy — i da się zauważyć gołym okiem. Otóż ta preferencja treści (i wartości) patriotycznych w odbiorze społecznym, będąca wynikiem faktu, iż Kościół polski postrzegany jest jako czynnik narodowej integracji czy wręcz identyfikacji (żeby przypomnieć tyleż znamienne, co kontrowersyjne pojęcie „Polaka-katolika”) — i to zwłaszcza w „trudnych warunkach” — świadczy nie tylko o jego specjalnej pozycji w społeczeństwie. I nie tylko tłumaczy zamiłowanie do ceremonialnego rytuału, dostarczającego religijno-patriotycznych wzruszeń, pozycję duchowieństwa z hierarchią na czele, nie mówiąc już o masowości i patriotycznej „otwartości” tego Kościoła. Pośrednio wskazuje również na odwrotną stronę medalu, gdzie rodzi się owa refleksja krytyczna. Bierze się ona z tego, że „przepowiadanie o treści dogmatycznej” zaiste nie wzbudza już takiego zainteresowania. Nie jest to żadne nowe odkrycie. Wielokrot-

nie zwracano na to uwagę, znajdując potwierdzenie w socjologicznych analizach zjawiska: że, owszem, Polacy tradycyjnie i zasadniczo bez dyskusji przyjmują katolickie *credo*, ale ich świadomość religijna jest przeciętnie dosyć powierzchowna, wyrwykowa i niespójna, tak że niejednokrotnie niezbyt dokładnie wiedzą, jaka jest treść głoszonych przez Kościół prawd wiary. Nawiasem mówiąc, wydaje się, że jest to jedna z przyczyn swoistej lekkości polskiego laikatu, czującego się na tym terenie niezbyt kompetentnie. Może to tylko sprzyjać przejawom pewnego neoklerykalizmu. Co gorsze, ten rozdźwięk między deklaracją a świadomością wiary zaznacza się w nie mniejszym, za to bardziej widocznym stopniu w sferze moralności (koronnego dowodu dostarcza tu np. społeczna plaga pijaństwa). A to już wzbudzać musi zgorszenie, kładzie się przykrym cieniem na ten tyleż emocjonalny, co spektakularny model religijności.

W tym miejscu chciałbym się zastrzec, że metody socjologiczne nie bardzo, a w każdym razie nie do końca nadają się do pomiaru głębokości, autentyzmu i żarliwości wiary. Jest to fenomen zbyt intymny, wspierany działaniem Łaski, by móc dotrzeć do jego sedna wyłącznie za pomocą „szkiełka i oka”. Krytycyzm wobec religijności Polaków nie może więc być odczytywany jako chęć ferowania wyroków, kto wierzy „lepiej”, a kto „gorzej” — bo to w ogóle nie leży w ludzkiej mocy — bądź też jako przejaw inteligentnego malkontentstwa, które, kto wie, czy nie powinno uczyć się ufności w Bożą Opatrzność u analfabety. Z drugiej strony jednak człowiek chyba nie po to obdarzony został rozumem i wolną wolą, by — nie wysilając się samemu — liczyć tylko na pomoc teź Opatrzności. Trzeba to mieć na uwadze zwłaszcza wobec pokusy, że skoro Kościół polski przetrwał tyle burz i wyszedł z nich nie tylko nie osłabiony, ale wręcz potężniejszy niż kiedykolwiek, to wystarczy tylko „tak trzymać”, by zapewnić mu pomyślną przyszłość. Czy bowiem nie oznaczałoby to zgody na gruntowanie tej pomyślności w znaczącym oparciu o czynnik w istocie pozareligijny? Mianowicie w oparciu o preferencję oczekiwań społecznych na „przepowiadanie o treści patriotycznej”? Wzięta się ona przecież z określonych warunków zewnętrznych działalności Kościoła w Polsce, które to warunki nie muszą trwać wiecznie, ba, których nie należy sobie życzyć zakładając z góry, iż sprawowanie przez Kościół „funkcji zastępczej” będzie stale tak nieodzowne i intensywne, jak w ostatnich dwóch stuleciach.

Słowem to, co stanowi dziś nie byle jakie źródło siły polskiego Kościoła ludowego i co pozostaje w związku z polityzacją polskiej formacji religijnej może, w razie zmiany warunków zewnętrznych, okazać się czynnikiem słabości czy, inaczej mówiąc, odstąpić słabe strony tej formacji. Pewne symptomy tego niebezpieczeństwa są zresztą widoczne już teraz. Czy bowiem można uznać za zdrową sytuację, w której stosunek do Kościoła — a wolno przypuszczać, że

w niejednym wypadku, pośrednio, i do samej religii — kształtuje się w zależności od takiej czy innej linii postępowania hierarchii kościelnej w sprawach publicznych, takiego czy innego wystąpienia jej wysokich przedstawicieli, powiedzmy, że nie przypadającego do politycznego gustu takiej czy innej części wiernych? Opcje religijne zbyt zazębiają się tu z politycznymi, by nie dawało to do myślenia i nie wskazywało na pole potencjalnych konfliktów. Tym bardziej, że nie jest to symptom jedyny.

Podłożem innych jest zasygnalizowany już, przeciętnie niewysoki poziom świadomości religijnej i moralnej. Manifestacyjnie prokościelna i proreligijna orientacja Polaków, dyktowana „preferencjami patriotycznymi”, przysłania tu na ogół obraz spustoszeń spowodowanych zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach przez procesy uprzemysłowienia i urbanizacji, masowe migracje, wreszcie wzrost przeciętnego wykształcenia społeczeństwa łączonego celowo z materialistyczną indoktryną światopoglądową. Skutkiem działania wspomnianych czynników stało się zjawisko podskórnej, „pełzającej” — jak to kiedyś określiłem — laicyzacji, której głębokość też trudna jest do wymierzenia, lecz której w żadnym wypadku nie należy lekceważyć.² Natomiast można by sobie zadawać dosyć złowieszcze pytanie, co by się stało, gdyby pewnego dnia zapotrzebowanie społeczne na kościelne „przepowiadanie o treści patriotycznej” przestało dla niej stanowić wystarczającą i skuteczną przeciwwagę?

Pytanie to stawione zostało w sposób zapewne przesadnie alarmistyczny. Po stronie aktywów policzyć tu jeszcze trzeba samo ciśnienie religijnej tradycji w kulturze polskiej, przywiązanie do instytucji Kościoła, w szczególności zaś jego mocne zakorzenienie w polskich rodzinach. Dodajmy przy tym, że rodzina zdaje się być u nas czymś więcej niż „podstawową komórką życia społecznego”. Już w XIX wieku, wskutek braku własnej państwowości, urosła ona do rangi swego rodzaju „mini-instytucji życia narodowego”. A i dzisiaj mówi się o społeczeństwie polskim jako o „federacji rodzin”, co z kolei tłumaczy się niską wiarygodnością pośrednich sktruktur życia społecznego. Mocna pozycja Kościoła w tej „mini-instytucji” — poprzez sieć parafii — jest więc pozycją niewralgiczną, którą wszakże zawdzięcza on nie tylko zaspokajaniu potrzeb religijnych, lecz i tych związanych z jego „funkcją zastępczą”. Z drugiej strony to właśnie na konto znaczenia więzi rodzinnej zaliczyć trzeba w znacznym stopniu łagodzenie skutków „pełzającej laicyzacji”.

Zarysowuje się tu zatem jakby zamknięty krąg uwarunkowań, które — *rebus sic stantibus* — zdają się przemawiać raczej za trwałością polskiego Kościoła ludowego w jego dotychczasowym kształcie i, co za tym idzie, dominujących cech jego religijnej formacji. Rzecz jednak w tym, że przy swej względnej stabilności nie jest on całkiem statyczny. Nawet nie przewidując jakichś radykalnych zmian w ukła-

dzie warunków zewnętrznych — np. w postaci nieprawdopodobnej w dającym się przewidzieć czasie eksplozji dobrobytu, sprzyjającej rozprzestrzenianiu się konsumpcjonizmu i praktycznego materializmu w zachodnioeuropejskim stylu — można się liczyć z pewnymi zmianami w spowolnionym, ewolucyjnym (co nie znaczy, że wykluczającym społeczne wstrząsy) rytmie. Przyjmuję to założenie w ślad za ks. Piwowarskiem, który obok hipotezy względnej trwałości Kościoła ludowego przedstawia także hipotezę jego przemian. Myślę też, że na dłuższą metę nie straciła na aktualności pewna sformułowana przez niego przy okazji nader interesująca obserwacja.

Zauważa on mianowicie, że zjawisko sekularyzacji odnieść można nie tylko do Kościoła czy, dokładniej mówiąc, społeczności wierzących, lecz także do istniejącego państwa realnego socjalizmu. Dygresyjnie, celem uporządkowania terminologii, dodajmy tu, że pod pojęciem sekularyzacji Autor rozumie „laicyzację spontaniczną”, prowadzącą nie tyle do ateizmu, co do religijnego indyferentyzmu, a co pokrywa się w istocie z użytym przez mnie terminem „laicyzacji pełzającej”. Ten ostatni wydaje mi się dlatego bardziej właściwy, iż dotyczy zjawiska ujawniającego się u nas w sposób mniej niż gdzie indziej jaskrawy, ukrytego jak gdyby za fasadą raczej spontanicznego deklarowania przynależności do Kościoła. Oczywiście, w odniesieniu do państwa owa sekularyzacja daje o sobie znać na innych polach. Można by tu znowu sygnąć przygarścią z obca brzmiących terminów, takich jak decentralizacja, demokratyzacja, pragmatyzacja, reforma itp., które odzwierciedlają, jeśli nawet nie realne, to pożądane zmiany czy tendencje rozwojowe. Ich siłą napędową są przede wszystkim potrzeby gospodarcze. Ale presja tych potrzeb rzutuje również na sferę życia społecznego, sprzyja dążeniom do szerszego marginesu autonomii różnych istniejących w tym społeczeństwie grup interesów i, *mutatis mutandis*, ujawnianiu się różnych zainteresowań, postaw i poglądów. Inaczej mówiąc — sprzyja ujawnianiu się wymuszanego poniekąd przez samo życie społecznego i kulturowego pluralizmu, nurtującego pod jego powierzchnią. Zdaje się to wskazywać na słabnięcie ideologicznej kontroli państwa nad społeczeństwem, która to kontrola jest wzmocniana za pomocą innych środków, głównie prawno-administracyjnych, służących zachowaniu identyczności systemu realnego socjalizmu. Wyrazem tej tendencji może być ewolucja stosunku państwa do Kościoła, stosunku odcedzającego się, by tak rzec, z ideologicznej agresywności — rzecz jasna w porównaniu z tym, co działo się na „minionych etapach” — i nastawiającego się raczej na sterowanie i przykrawanie obecności Kościoła do ram istniejącego porządku politycznego.

Jak się to jednak ma do hipotezy przemian Kościoła ludowego w Polsce? Otóż — przypominając, iż nie jest to hipoteza jedyna, lecz alternatywna w stosunku do hipotezy jego względnej trwałości — to

perspektywa stopniowego „przebijania się” na powierzchnię pluralizmu społeczeństwa polskiego, z jakimiś elementami instytucjonalizacji, oznaczałaby także perspektywę faktycznego wzrostu wiarygodności pośrednich struktur tego społeczeństwa. Przywołany przez ks. Piwowarskiego przykład „Solidarności” dowodzi przynajmniej, jak silnie odczuwa ono tę potrzebę. I nie dałoby się wtedy uniknąć pewnych konsekwencji polegających na tym, że przynajmniej na niektórych obszarach życia społecznego i kultury sprawowanie przez Kościół „funkcji zastępczej” ulegałoby odpowiedniej redukcji. A wraz z tym rozluźniałby się ów szczególny gorset podtrzymujący niemal ilość Polaków w ich przywiązaniu do Kościoła i religii.

Jest to tym bardziej warte zastanowienia, że koresponduje z odpowiednimi objawami wewnątrz polskiej społeczności katolickiej, stanowiącymi efekt trwającej ją podskórnie sekularyzacji. Była już mowa o tym, iż nader rzadko manifestuje się ona w ostentacyjnym ateizmie, częściej w ubóstwie świadomości religijnej, w bezrefleksyjnym indyferentyzmie o różnym stopniu nasilenia. Ale nie tylko w tym.

Przejawem szczególnym tej sekularyzacji — choć może należałoby powiedzieć: przejawem szczególnego reagowania na sekularyzację, mającym także swe niezależne, głębsze przyczyny duchowe — jest bowiem sygnalizowany również w przypominanym tu artykule z „Przeglądu Powszechnego” jeszcze jeden fenomen. Mianowicie fenomen „religijności selektywnej” nie mieszczącej się w ramach ani tradycyjnej, ani instytucjonalnej pobożności, poszukującej jakby sensu wiary na własną rękę. Jego rozmiary szacuje się na ok. 30 procent ogółu wierzących. Byłoby to już bardzo dużo, oznaczając nieznaną dotąd silną barwę w obrazie polskiego Kościoła ludowego. Sprawą kapitalnej wagi jest bowiem fakt, że — w odróżnieniu od religijnie obojętnych — ci wierzący „selektywnie” odczuwają potrzebę kontaktu z wartościami religijnymi. Z wartościami zawartymi w dziedziczonej tradycji, budzącymi zainteresowanie ze względu na swe sprzężenie z „preferencjami patriotycznymi”, a także ze względu na osobę polskiego papieża. Słowem — z wartościami „swojskimi”, emocjonalnie i kulturowo bliskimi, lecz już nie tak oczywistymi, by nie rodziły krytycznych pytań. Jeśli przyczyną najogólniejszą zjawiska, tłem, na którym występuje, jest sekularyzacja, to jej parametrem szczególnym wydaje się wspomniany już raz wzrost przeciętnego wykształcenia społeczeństwa. Sprawia on, że dla coraz większej liczby ludzi — i to niekoniecznie tylko ze środowisk inteligenckich — dotychczasowe tradycyjne, zwyczajowe formy religijnej ekspresji i katechezy zdają się już niezupełnie wystarczać, że poszukują oni czegoś bardziej odpowiadającego ich własnym przemyśleniom, wątpliwościom i, ogólnie rzecz biorąc, podwyższonym wymaganiom intelektualnym i duchowym. I jeśli mimo tych wątpliwości odczuwają oni potrzebę kontaktu z wiarą — co jest pośrednio hołdem składanym

sile przyciągania chrześcijaństwa, jego kulturowego zakorzenienia i roli odgrywanej przez Kościół w Polsce — to wolno przypuszczać, iż jest to potrzeba kontaktu poddanego pogłębionej refleksji. Nie minę się też chyba z prawdą przyjmując, że spośród tej kategorii wierzących rekrutują się w niemałym stopniu uczestnicy różnych powstających w Kościele i coraz bardziej się w nim zdomowiających ruchów i wspólnot o zainteresowaniach religijnych czy religijno-społecznych, takich np. jak neokatechumenat, „oazy” czy ruch klubów inteligencji katolickiej. Stanowi ona zatem naturalną, aczkolwiek może „trudną”, bazę społeczną sprzyjającą i zarazem wymagającą pogłębienia tradycyjnego modelu religijności polskiego Kościoła ludowego.

Byłoby bowiem niepowetowaną stratą, gdyby przyszło tę bazę, choćby częściowo, utracić. Nie trzeba też dodawać, jak wielkie znaczenie ma odpowiedź na to swoiste wyzwanie, może nawet swoisty polski „znak czasu”, ze strony polskiego Kościoła instytucjonalnego. Kierunek przemian rysuje się tu wyraźnie, dyskusyjna może być jedynie kwestia ich tempa. Mianowicie w stronę dowartościowania elementów wspólnotowych obok hierarchiczno-urzędowych oraz podniesienia rangi wartości religijnych obok rytuału, a także bardziej wyspecjalizowanego duszpasterstwa i — *last but not least* — zwiększonej aktywności laikatu. Kto wie jednak, czy może już na zbliżającym się przełomie tysiącleci nie będzie się to stawać jednym z nieodzownych warunków utrzymania masowości tego Kościoła. Zwłaszcza gdyby istotnie następowała redukcja jego obowiązków związanych z pełnieniem „funkcji zastępczej”, a jego autorytet miał wspierać się przede wszystkim na tym, co stanowi pierwszorzędną rację obecności Kościoła w świecie ludzi — na misji ewangelizowania, na owym „przepowiadaniu o treści dogmatycznej”.

Byłoby zarazem fatalnym nieporozumieniem, gdyby zostało to odczytane jako jakieś pomniejszanie jego patriotycznej „otwartości”, stopnia uczestnictwa w zmiennych kolejach narodowego losu. Można by to potraktować jako przysłowiowe wolne żarty już w kontekście wysiłków zmierzających do opanowania lawinowo dziś narastających objawów społecznej demoralizacji, wyrażających się zresztą nie tylko w pijaństwie i osłabiających poczucie narodowej odpowiedzialności. Z drugiej strony zainteresowanie społecznym nauczaniem Kościoła może tu również i powinno dopomagać do postrzegania relacji między religijnością a patriotyzmem we właściwych wymiarach. Mianowicie że to nie patriotyzm jest racją czy przesłanką wiary, ale dokładnie na odwrót: że z ugruntowanej na wierze nauki Kościoła wyprowadzać należy naturalne prawa człowieka i zbiorowości ludzkich, w tym narodów, do samostanowienia, wolności i swobodnego rozwoju. Sobór Watykański II sformułował to w sposób wystarczająco klarowny, rozwinął w swych wystąpieniach

Jan Paweł II. Zawiera się w tym również orędzie patriotyzmu, ale patriotyzmu ujmowanego w uniwersalnej perspektywie, nie dającego się pogodzić z jakąkolwiek narodową ksenofobią czy ciasnym prowincjonalizmem.

Widziałbym tu jednak pewien dylemat, tylko na nieco innym, by tak rzec, poziomie sprawy. Żeby go lepiej pojąć, warto czasem przyrzeć się sobie w oczach innych. Okazji zaś po temu nie brak, odkąd polski kardynał wybrany został papieżem, a Kościół polski stał się przedmiotem wzmożonego zainteresowania światowej opinii katolickiej. Chciałbym więc jeszcze nawiązać do artykułu Petera Hebblethwaite'a w 1 numerze niemieckojęzycznego wydania „Concilium” z 1981 r. pod frapującym tytułem: „Czy Kościół polski może być modelem dla Kościoła Powszechnego?”³ Nadawałby się on właściwie do osobnego, krytycznego omówienia. Być może moment, w jakim został ogłoszony, sprawił, iż — o ile mi wiadomo — nie znalazł u nas wcześniej echa.

Otóż — przechodząc do rzeczy — konkluzję tego artykułu dałoby się zawrzeć w słowach: dobrze, że istnieje taki odważny i heroiczny Kościół lokalny, ale jego specyficzne cechy nie nadają się do przyjęcia przez Kościół Powszechny. Krytycyzm Autora wzbudza przede wszystkim inkryminowane przezeń ciążenie Kościoła polskiego ku konserwatyzmowi na płaszczyźnie eklezjalnej: ograniczony zapał do „otwarcia się na świat”, nacisk kładziony na wymóg jedności i dyscypliny itp. Równocześnie w sposób zdradzający znaczną znajomość przedmiotu przedstawia on okoliczności, które ten Kościół tak właśnie uformował. Przypomina jego związki z trudnymi losami narodu i ewidentną dla obu nieprzychylną otaczającego „świata”, które skłaniały raczej do „zwierania szeregów” aniżeli do autokrytycznej refleksji mogącej wprowadzać w te szeregi zamieszanie. Wskazuje też na fakt, że Kościół polski wyszedł z tych prób obronną ręką, jest zatem powód, by miał poczucie słuszności swego postępowania i pewności siebie, interpretowane na Zachodzie „zbyt lekko” jako przejaw triumfalizmu i niechęci do wewnątrzkościelnego *aggiornamento*. Co więcej jednak, wychodząc od związków z polską tradycją kulturalną, w szczególności z polskim mesjanizmem, Autor sugeruje — i ta sugestia zawiera się właśnie już w tytule — iż w Kościele tym tkwi zarazem poczucie uniwersalnego posłannictwa, paralelnego jakby do hasła „za wolność naszą i waszą”.

W tym ostatnim punkcie Hebblethwaite zdaje się iść za daleko, ulegać nastrojom niezadowolenia i niepokoju, jakie nie od dziś wywołują na Zachodzie niektóre aspekty pontyfikatu Jana Pawła II, a za którymi „opozycja” dopatruje się nieco obsesyjnie prób „polonizacji” Kościoła Powszechnego.⁴ Ale przyznać trzeba, że w nakreślonym przez angielskiego eks-jezuicę wizerunku Kościoła polskiego zawiera się sporo spostrzeżeń trafnych. W rzeczy samej, walcząc

o swój stan posiadania i jednocześnie o stan posiadania katolickiego narodu, wykształcił on w sobie swoisty *esprit de corps* „Kościoła frontowego” — i to nie tylko w ciągu ostatnich dwóch stuleci. Przemawiają za tym także głębsze jeszcze tradycje Kościoła położonego na peryferiach chrześcijaństwa, czy choćby tylko chrześcijaństwa rzymskiego, w każdym razie na kulturowym pograniczu, a zatem tradycje „przedmurza”, „pierwszej linii”, „oblężonej twierdzy” czy jakiego by tu użyć „militarnego” porównania. Tłumaczy to nie całkiem wygasłe sympatie do „twardego” polskiego nacjonalizmu, tłumaczy też ową skłonność do „zwierania się w sobie”, niełatwą — co tu dużo mówić — do pogodzenia z duchem demokratycznego pluralizmu. Ale też trudno się dziwić, że cechy te są niejednokrotnie trudne do pojęcia, tym bardziej do przyswojenia w Kościołach „niefrontowych”.

Zawierają się w nich wszakże wartości, których ranga jest bardzo wysoka. Przede wszystkim wierność i wytrwałość w stawianiu czoła przeciwnościom losu. Te trzeba chronić zawsze i wszędzie. Tylko że czasy, mimo wszystko, się zmieniają. Do tego stopnia, że — nie od dziś zresztą — rodzi się pytanie, gdzie przebiega podstawowy „front” zmagania o rząd dusz i jakie środki są dlań najwłaściwsze? Sobór Watykański II wskazał tu na metodę dialogu ze „światem” z pozycji wiary, w duchu otwartości, ale i, rzecz jasna, z troską o tożsamość jej nieprzemijających prawd. W warunkach współczesnej cywilizacji alternatywa dla dialogu byłaby zbyt złowroga, by w ogóle można było ją rozważać. Przemawia za nim wreszcie duchowy stan świata zagrożonego atrofją religijności i zarazem coraz bardziej świadomego swego uwikłania w nie dające się przekroczyć sprzeczności, gdzie nawet siła — tyle przecież znacząca w polityce — okazuje coraz częściej swą bezsilność. Np. bezsilność wobec groźby nuklearnej samozagłady czy ekologicznej samodewastacji.

„Front” walki o rząd dusz staje się zatem coraz bardziej frontem walki o jakość człowieka i jakość jego życia, w tym jego życia moralnego. Kontury tego „frontu” zarysowują się coraz wyraźniej także u nas, na co m. in. starałem się zwrócić uwagę. Sądzę też, że postępującego „przegrupowania sił” na ten właśnie „kierunek” domaga się dziś od Kościoła polskiego tak troska o trwałość i integralność depozytu wiary, jak i poczucie narodowej odpowiedzialności. Ale wynika z tego może trochę paradoksalna konkluzja, że od formuły „Kościoła frontowego” winien on zmierzać w kierunku formuły „Kościoła dialogu”, który poprzez sięgającą w głąb ewangelizację, poprzez realizowanie będącej jednym z jej aspektów funkcji krytyczno-profetycznej — słowem, poprzez udział w wysiłkach zmierzających do humanizacji naszego życia — najlepiej służy i narodowi, i sobie.

Bez obawy posądzenia o narodowe samochwalstwo czy o chęć

przypodobania się komukolwiek można przy tym powiedzieć, że to nie tylko postulat, to także stająca się po części na naszych oczach rzeczywistość tego Kościoła. Wypada jednak powtórzyć, iż nie jest to proces łatwy. Jego przebieg zależy przede wszystkim od postępów kształtowania i ugruntowywania w nim samego postawy dialogu, rozwoju świadomości ekumenicznej w stosunkach z wierzącymi inaczej, ducha tolerancji i cierpliwości odpowiadającego sile własnych przekonań. Zależy też w niemałym stopniu od okoliczności zewnętrznych, bo skuteczność dialogu ze „światem” zależy nie tylko od jednego z partnerów. Zdarza się, że spotyka się on z odmową, nawet represją, w czym mieści się i przypadek ks. Popiełuszki. Strach zresztą pomyśleć, co by z zablokowania tego poniekąd naturalnego, nie znajdującego rozumnej alternatywy procesu mogło jeszcze wyniknąć, jakie zahamowania, frustracje i mentalne ślepe uliczki w modelu polskiej religijności.

Spytano mnie wszakże, co sędzę o Kościele polskim u progu dwutysięcznego roku. Odpowiadam zatem w duchu zaprawionego optymizmem realizmu: że na przełomie tysiącleci będzie on gdzieś w drodze między tymi dwiema zaproponowanymi wyżej „formułami odniesienia”.

Lipiec 1986

Wojciech WIECZOREK

PRZYPISY

1. Por. Ks. WŁADYSŁAW PIWOWARSKI: „Miejsce i rola Kościoła ludowego w społeczeństwie polskim”, „Przegląd Powszechny”, nr 1/2 z lipca-sierpnia 1982 r., s. 61-76.
2. Por. „Pytań ciąg dalszy. O kształt polskiego katolicyzmu”, „Więź”, nr 3 (293) z marca 1983 r., s. 3-15.
3. Por. PETER HEBBLETHWAITE: „Kann die polnische Kirche ein Modell für die Gesamtkirche sein?”, „Concilium”, nr 1/1981, s. 34-41. Aus dem englischen übersetzt von Karel Hermans.
Peter Hebblethwaite pochodzi z Manchesteru, w 1948 wstąpił do zakonu jezuitów, studiował w Chantilly, Oxfordzie i Heythrop College. Wystąpił z zakonu za zgodą jego władz. Od września 1979 watykański korespondent „The National Catholic Reporter”. Autor licznych publikacji książkowych.
4. Autor, który w swej analizie Kościoła polskiego opierał się głównie na wypowiedziach Jana Pawła II (i kardynała Wojtyły), uchwycił się tu fragmentu jego warszawskiej homilii z 1979 r., wrywając z kontekstu zdania: *...Czyż (...) nie wolno nam wnosić zarazem, że Polska stała się w naszych czasach ziemią szczególnie odpowiedzialnego świadectwa? oraz ...że właśnie tu, na tej ziemi, na tym szlaku, trzeba stanąć, aby odczytać świadectwo Jego Krzyża i Jego Zmartwychwstania* — i przypisując im mesjanistyczną proveniencję. Nie pominął również wiersza-przepowiedni Słowackiego o słowiańskim papieżu. Szkoda, że nie wczytał się lepiej w homilię wygłoszoną w tym samym roku na krakowskich Błoniach, gdzie była mowa o *olbrzymim doświadczeniu dziejów, któremu na imię Polska* — swego rodzaju autointerpretacyjny przyczynek do papieskiej historiozofii, która nie potrzebuje wsparcia u polskich mesjanistów i o których myśmy w Polsce już trochę zapom-

nieli. Nigdzie zaś nie można by się u niego dopatrzeć nawet wzmianki, że jest to doświadczenie przykładowe dla wszystkich. Ewentualne nauki z cudzych doświadczeń, rzecz w końcu nie do pogardzenia, wyciąga się samemu i na swój sposób.

Nie mogę sobie odmówić jeszcze jednej uwagi. Kreśląc sylwetkę obecnego Papieża Hebblethwaite sytuuje go w kontekście polskim jako „umiarkowanie postępowego”, w kontekście zaś Kościoła Powszechnego jako „wyraźnie konserwatywnego”. Sypie argumentami. O to, co jest postępowe, a co konserwatywne, można się też dobrze pospierać, podobnie jak o to, czy szczypta konserwatyzmu nie bywa czasem pożyteczna. Szkoda tylko, że Autor nie dostrzegł i nie skomentował jeszcze jednego rysu — w jego oczach zapewne „konserwatywnego” — postawy Jana Pawła II. Mianowicie jego sprzeciwu wobec skłonności do moralnego permisywizmu.

Ks. Jan Chrapek CSMA

Autor jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Powściągliwość i Praca” wydawanym w Polsce przez Księży Michaelitów.

WSPÓŁCZESNE TECHNOLOGIE KOMUNIKOWANIA NOWYM WYZWANIEM DLA KOŚCIOŁA

Obserwując postęp techniczny na przestrzeni ostatniego stulecia, zauważyć można bez trudu jego przyspieszone tempo. Dziś nie jesteśmy w stanie śledzić wszystkich osiągnięć w tej dziedzinie. Pojawiające się technologiczne udoskonalenia już nas nawet nie szokują. Podobny proces przyspieszonego rozwoju występuje w zakresie technologii komunikowania umożliwiając tym samym tradycyjnym środkom masowego komunikowania, takim jak radio, film i telewizja coraz szersze oddziaływanie.

Początki przyspieszonego rozwoju środków masowego komunikowania sięgają drugiej połowy ubiegłego wieku, kiedy to wynaleziono elektryczność, a następnie zastosowano ją do urządzeń informujących. Szczególnie imponujące wynalazki z zakresu technologii komunikowania obserwuje się w ciągu ostatnich 15 lat. Wiele z państw wysoko rozwiniętych postawiło na rozwój szeroko rozumianej informatyki i komputeryzacji. Przeglądając amerykański album *The Timetable of Technology*, omawiający wynalazki naszego stulecia, zauważyć można, iż udoskonalający postęp w zakresie technologii komunikowania ma charakter postępu geometrycznego. Dziś bez żadnej przesady możemy powiedzieć, że cywilizacja nasza wkroczyła w epokę informatyki i telematyki wyznaczając dalszy postęp współczesnego świata.

Słuszne więc wydaje się pytanie o samą istotę tego postępu i o jego rolę w kulturze i w życiu człowieka. Nie wystarczy już pytanie

o charakterze behawiorystycznym o wpływ treści przekazywanych przez nowoczesne technologie komunikowania na życie człowieka. Właściwsze wydaje się pytanie o naturę tych nowych technologii i o jej wpływ na ludzką kulturę. To nie oznacza, że należy zaprzestać prowadzenia badań nad oddziaływaniem treści przekazywanych za pomocą tych technologii na życie człowieka.

Pytanie o naturę nowych technologii komunikowania i jej wpływ na życie człowieka stawiali i stawiają tacy naukowcy, jak Herold Innis, M. H. Mc Luhan, Walter Ong, John Carey, G. Gerbner, Elizabeth L. Eisenstein, Daniel J. Czitrom, Robert White i inni.

Odpowiedzi, które wyżej wymienieni uzyskali, są inspirujące do prowadzenia dalszych badań na powyższe tematy.

Celem niniejszego artykułu jest uświadomienie, że wszelkie zmiany w zakresie technologii, a szczególnie technologii komunikowania, powodują daleko idące reperkusje w szeroko rozumianej kulturze, tzn. wpływają na:

- przemianę środowiska życia człowieka,
- mentalność i wrażliwość człowieka,
- sposób postrzegania otaczającego świata,
- sposób myślenia,
- organizację życia społecznego, gospodarczego, pracy i czasu itp.

Z tych właśnie względów nowoczesne technologie komunikowania są także wyzwaniem dla Kościoła naszych dni, pragnącego tu i teraz komunikować tego samego odwiecznego Boga, który w Jezusie Chrystusie objawił człowiekowi swą zbawczą Miłość.

Droga rozwoju narzędzi komunikowania międzyludzkiego była bardzo długa. Interioryzacja poszczególnych technologii przebiegała bardzo powoli i niosła ze sobą określone skutki społeczne i psychologiczne, znajomość których może pozwolić przewidzieć z dużym prawdopodobieństwem skutki obecności w naszym życiu nowych elektronicznych technologii komunikowania, tak przynajmniej twierdzili: Herold Innis, M. H. Mc Luhan i żyjący jeszcze Walter Ong. Przypatrzmy się więc pokrótce tym skutkom, by uświadomić sobie lepiej, jakie reperkusje może wywołać obecność elektronicznych narzędzi komunikowania.

Od niepamiętnych czasów podstawowym pragnieniem człowieka było pragnienie zawładnięcia przestrzenią i czasem. Ta chęć wynika z ontologicznie pierwszego w człowieku pragnienia poszerzenia doświadczeń poznawczych, a poprzez to stanie się „źródłem poznania” dla innych. To dzięki poznawaniu człowiek staje się bardziej osobą. Tak więc wszystko to, co pomaga człowiekowi poznać bardziej otaczającą go rzeczywistość, czyni go bogatszym i innym. Zmienia także jego jakość życia.

Państwa i narody, które w zakresie pokonania przestrzeni i czasu zdołały dokonać usprawniających odkryć, stały się na jakiś czas potęgami kulturowo-politycznymi. Trwało to zazwyczaj tak długo, jak długo inne państwa czy narody nie dokonały odkryć udoskonalających poprzednie, a pozwalających lepiej zrozumieć przestrzeń i czas. Odkrycia i udoskonalenia w tych dwu dziedzinach posiadały daleko idące reperkusje przekraczające polityczno-militarną płaszczyznę.

Przemiany w sposobie komunikowania (fundamentalnym elemencie pokonywania czasu i przestrzeni) z początkowo tylko ustno-obrazowego zaczęły przybierać coraz bardziej formę pisemną. Udoskonalenia zaś w zakresie pisemnego sposobu komunikowania szły po linii znalezienia form fonetycznego zapisu treści o linearnej naturze.

Przykładem klasycznym pierwszego alfabetu fonetycznego o naturze linearnej i logice sylogistycznej (litery logicznie w linii następują po sobie, logiczna budowa zgłosek) jest alfabet grecki. Natura alfabetu fonetycznego dała możliwość, nie tylko od strony formalnej, między innymi stworzenia filozofii nowożytnego typu sylogistycznego (Platon, Arystoteles itp.). Nie znaczy to jednak, że wcześniej nie istniała filozofia lub że nie było filozoficznego myślenia. Istniało, ale miało — ze względu na tradycję — formę sentencji, przysłów lub aforyzmów. Natura alfabetu fonetycznego, którym zaczęła posługiwać się pewna grupa narodowościowa, swoim istnieniem i używaniem ukształtowała tak mentalność i wrażliwość tej właśnie grupy ludzi, że było możliwe myślenie logiczne linearne dające podstawę do budowy traktatów filozoficznych. Proces ten, stwierdzają badacze tej problematyki, trwał bardzo długo a dalsze precyzowanie logiczno-linearne (w przeciwieństwie do logiczno-obrazowego czy też postrzegawczego) myślenia dokonało się w ramach rozwoju języka łacińskiego, dającego początek językom nowożytnym. Oczywiście, historycy kultury wymieniają jeszcze problem uściśleń pisowni łacińskiej (reformy Karola Wielkiego) i rolę tychże w przemianach, a raczej w integracji europejskiej kultury. Nie będę tu jednak szerzej o tym pisał także dlatego, że nie jest to konieczne do zrozumienia problemu niniejszego artykułu.

Także mechanizacja pisma, poprzez wynalazek druku, wywarła zdaniem większości autorów liczne reperkusje w życiu społecznym, religijnym i politycznym. I tak:

- a) druk ułatwił dostęp do książki,
- b) wpłynął na szybki w tamtych czasach przepływ prądów myślowych,
- c) tym samym powiększył grupę ludzi umiejących czytać i pisać,
- d) zmienił charakter szkoły (sposób nauczania),
- e) ułatwił zorganizowanie prasy,
- f) jak wielu stwierdza — przyczynił się do rozwoju indywi-

dualizmu społecznego (każdy indywidualnie może w zaciszu swego mieszkania, bez konieczności maga wiedzy — profesora, wgłębiać się w tajniki wiedzy, kiedyś zamkniętej w trudno dostępnych bibliotekach manuskryptów).

Wspomniany wyżej indywidualizm miał także swe reperkusje w życiu religijnym w postaci protestantyzmu. Luter bez druku nie byłby Lutrem, którego znamy. Jego idee dzięki wynalazkowi druku natrafiły na podatny grunt — dużą chłonność i łatwość kolportowania. Jak wielu twierdzi, bez druku nie byłoby protestantyzmu. Bowiem jedna z podstawowych jego zasad — obowiązek indywidualnego studiowania i odczytywania znaczenia tekstu dla indywidualnej osoby, mogącej mieć także potrzebne natchnienie do rozumienia tekstu, bez pomocy interpretacyjnej funkcji autorytetu eklezjalnego mogła zaistnieć tylko w sytuacji łatwego dostępu do Biblii (rola druku).

Druk wpłynął także na rozwój języków narodowych. Fakt ten wzmógł rozwój tendencji narodowo-nacjonalistycznych. W polityce przykładem jest wojna 30-letnia w Niemczech. Można jeszcze wymienić cały szereg innych reperkusji mechanizacji pisma, np. w filozofii — prądy mechanistyczne, w życiu społecznym i kulturowym.

Wynalazek telegrafu miał także reperkusje w żegludze, wojskowości i życiu politycznym. Wpłynął również na sposób redagowania czasopism. Ułatwił bowiem szybki przekaz informacji, a więc pomógł pokonać czas i przestrzeń. Pomniejszył jakby świat, dał człowiekowi poczucie tego, że świat jest możliwy do ogarnięcia go własną świadomością i zrozumieniem.

Pochodny telegrafowi wynalazek — radio, które stało się kolejnym dla człowieka narzędziem rozszerzającym możliwość komunikowania. Przy czym wynalazek ten jest dlatego tak istotnym narzędziem w zakresie komunikowania, że ułatwił i ułatwia szybką wymianę informacji. Zakłada on również pewną centralizację, konieczną do zbierania i rozprzestrzeniania informacji. Charakterystyczną cechą tej technologii komunikowania jest jednokierunkowość oddziaływania, z możliwością manipulacji ludzkim poznaniem. Wynalazek ten ułatwił człowiekowi szybkie porozumiewanie się, skracając odległości między ludźmi i dając słuchaczowi poczucie uczestnictwa w zdarzeniach. W przeciwieństwie do druku radio bardziej wykorzystuje zmysł słuchu niż wzroku.

Centralizacja, jako jeden z owoców wynalazku radia, wpłynęła na powstawanie i rozwój systemów totalitarnych. Twierdzi się np., że nie byłoby Hitlera i różnego typu innych współczesnych nam totalitaryzmów bez radia.

Film, a później telewizja, wykorzystując równocześnie dźwięk i obraz spowodowały nowy typ reperkusji w życiu indywidualnym i społecznym człowieka, ponieważ angażując jednocześnie wiele

z jego zmysłów dają mu równocześnie iluzoryczne poczucie uczestnictwa w zdarzeniach. Wyżej wymienione środki, dzięki ich naturze, stwarzają namiastkę realnych niemal przeżyć. Wprowadzają wielki świat ludzkich spraw i problemów w zacisze domu rodzinnego (w prywatność życia).

W ostatnich dwudziestu latach audiowizualne środki komunikowania — film i telewizja, zostały w sposób zasadniczy udoskonalone poprzez nowsze technologie. Uzyskały dzięki temu jeszcze większe możliwości oddziaływania.

Dziś już w wielu krajach świata istnieje telewizja satelitarna i kablowa. Komputeryzacja, banki informacji, używanie laseru do celów komunikowania, światłowody są szeroko w użyciu. Dzięki temu właśnie współczesna cywilizacja technologiczna, wkroczyła w epokę informatyki i komputeryzacji, wyciskając tym samym piętno na kulturze, życiu religijnym, społecznym, gospodarczym, politycznym i militarnym. Informatyka we wszystkich swych odmianach technicznych zastosowana w gospodarce przyczynia się np. do automatyzacji pracy ludzkiej, zmienia politykę zatrudnienia, znikają już coraz bardziej tzw. zawody ciężkie, wzrasta zaś zapotrzebowanie na pracowników obsługi technicznej i usług. Pod jej wpływem wydłuża się czas nauki podstawowej, zmienia się nawet sposób nauczania przybierając niekiedy bardziej formy seminariów niż typowych lekcji.

Dalszy rozwój informatyki w dużej mierze jest sprzężony z zastosowaniem światłowodów i laseru do celów komunikowania.

Za pomocą jednej małej wiązki laseru można przesłać jednocześnie już teraz 25 000 rozmów telefonicznych (a w przyszłości miliony) oraz kilkanaście programów telewizyjnych.

Istnieją także niebezpieczeństwa grożące człowiekowi ze zbytniego zafascynowania się tymi technologiami. Przede wszystkim telewizja satelitarna może w sposób zasadniczy przyczynić się do neokolonializmu kulturowego, zwiększając dystans między krajami biednymi a bogatymi na skutek tego, że te ostatnie mają większe możliwości ekonomiczne rozwoju tej formy oddziaływania propagandowego. Zaś telewizja kablowa przy wszystkich zaletach, którymi są: dobry odbiór, możliwość dwustronnego przepływu informacji może przyczynić się do splecenia zainteresowań odbiorców do programów lekkich i rozrywkowych, które najczęściej nadają telewizje komercyjne — prywatne, z zaniechaniem oglądania programów ambitnych i poszerzających kulturę odbiorcy.

Szczególne zaś emocje budzi zastosowanie współczesnych technologii komunikowania do tzw. banków informacyjnych posiadających możliwość gromadzenia informacji naukowych, gospodarczych, politycznych lub też danych o prywatnych osobach. Cały ten tworzący się system może być niezwykle pomocny dla człowieka, a zastosowany w gospodarce i badaniach naukowych, może je

niezwykle zdynamizować. Istnieje jednak niebezpieczeństwo nieograniczonego niemal manipulowania informacjami, naruszania prywatności życia itp.

Wymienione wyżej technologie komunikowania mają tę wspólną cechę, że angażują jednocześnie kilka ludzkich zmysłów. Im bardziej środek jest nowoczesny, tym więcej zmysłów angażuje. Szczególnie jednak angażowany jest zmysł słuchu, tak jak to było w społeczeństwach przed-alfabetycznych. Kultura naznaczona technologią alfabety i druku była *kulturą wzroku*, gdyż przede wszystkim dzięki temu zmysłowi człowiek komunikował się. Zaś kultura epoki narzędzi elektronicznego komunikowania jest przede wszystkim *kulturą słuchu*.

Jest to więc, jak mówi zarówno Ong, jak też Innis i Mc Luchan, druga epoka słuchu. Poza tym, jak mówi Ong w *The Presens of the Word: współczesne środki komunikowania jakby zatarty poczucie czasu i przestrzeni. Nie chodzi tu o to, że przestrzeń i czas nie stwarzają już trudności do pokonania, ale o coś ważniejszego, że straciły swój ciężar psychologiczny, który kiedyś miały dla człowieka. Człowiek je zdominował, całkowicie. Zmniejszyła się ich tradycyjna rola w życiu człowieka, zwiększyło się zaś u współczesnych ludzi poczucie jednoczesnego uczestniczenia w wielu odległych zdarzeniach oraz potrzeba odpowiedzialnej obecności wszędzie.*

Nie istnieje już prawie dla człowieka, jak mówi Abraham Moles, pojęcie blisko i daleko — dalekie stało się bliskie i odwrotnie, bliskie dalekim. Wszystkie rzeczy, fakty są jakby w tej samej odległości.

Omówione wyżej w sposób niemal telegraficzny niektóre aspekty reperkusji, jakie w życiu społecznym i w kulturze wywołało pojawienie się kolejnych w historii narzędzi komunikowania, zmierzały do uświadomienia czytelnikowi, że istnieje konieczność szerszego zapoznania się ze wszystkimi skutkami obecności w życiu człowieka różnych technologii komunikowania, tak by można było, nie nadużywając ich natury, wykorzystywać je do tego, co jest istotą obecności Kościoła w świecie, tzn. do apostołstwa.

Kościół zgodnie ze swym powołaniem ma ukazywać po wszystkie czasy zbawcze oblicze Boga. Ma iść na cały świat nauczając o Bogu, który pragnie zbawiać człowieka. Ma także ze swej natury bronić godności człowieka, nienaruszalności jego osoby itp.

Z tego też względu ma prawo i obowiązek posiadania takich narzędzi komunikowania, które ułatwiłyby mu najpełniej w danej epoce realizację tego właśnie zadania. Nic więc dziwnego, że na przestrzeni dziejów Kościół zawsze bardzo żywo interesował się narzędziami komunikowania i wykorzystywał je do pełnienia swej apostołskiej posługi.

Nowoczesne środki społecznego komunikowania, będące — jak mówi Sobór Watykański II — „darem Boga”, muszą być także

w zasięgu jego pragnień. Chcąc jednak w sposób właściwy wykorzystać współczesne nam technologie komunikowania dla celów apostołskich Kościoła, należy przede wszystkim poznać ich naturę po to, by je móc owocnie wykorzystać, bez stosowania przemocy. Nie można bowiem współczesnych technologii komunikowania używać w ten sam sposób, jak technologii alfabetu czy druku.

Dlaczego mówi się, że współczesne technologie komunikowania są wyzwaniem dla Kościoła?

Przede wszystkim dlatego, że kształtują nowy rodzaj szeroko pojętej kultury, cechą której — jak było wyżej powiedziane — jest jej akustyczność. Tworzą one także, dzięki swym technicznym możliwościom, nowy obraz świata i kosmosu, nową wrażliwość człowieka (akustyczną, spontaniczną i holistyczną), nowy sposób postrzegania świata, nowy język porozumiewania się (obrazowy), nowe symbole i są przyczyną powstawania nowych problemów etycznych.

W tej sytuacji Kościół, jeśli chce pełnić zadanie zlecone mu przez Chrystusa, musi odpowiedzieć na cały szereg szczegółowych pytań. Przede wszystkim musi rozpoznawać tworzącą się rzeczywistość, tak by w sposób właściwy i na czas adresował we właściwej formie odwieczne treści, których jest kustoszem.

Mc Luchan i Ong twierdzą, jak już wspomniałem, że reformacja jest wynikiem zaistnienia technologii druku, która swą obecnością stworzyła nową rzeczywistość, do której w początkowej fazie Kościół nie był należycie przygotowany.

W. Ong uważa, iż Kościół współczesny musi wypracować taki rodzaj refleksji kosmologicznej, która uwzględniłaby zmiany, jakie dokonują się we współczesnej kulturze. Jego zdaniem dotychczasowa kosmologia jest zbyt statyczna i nie ukazuje całego bogactwa świata. Dlatego też Ong widzi potrzebę wzmoczonej refleksji Kościoła na tym właśnie polu, jeśli Kościół chce, by jego przekaz był zrozumiały dla współczesnego człowieka posiadającego nową wrażliwość i nowy sposób widzenia kosmosu.

Kolejne pytanie stojące przed Kościołem dotyczy nauczania w seminariach. Tu nie chodzi tylko o to, czy nie należałoby wprowadzić dodatkowego przedmiotu zajmującego się problematyką środków społecznego komunikowania, choć taki przedmiot by się przydał, ile raczej o właściwy sposób nauczania filozofii i teologii w sytuacji nowej wrażliwości człowieka będącej owocem elektronicznych narzędzi komunikowania.

Dalszy problem, przed którym stoi Kościół w dobie środków masowego komunikowania, to problem szeroko pojętego przepowiadania. Leży on nie w tym, jak wykorzystać te technologie w kaznodziejstwie czy katechezie od strony formalnej, ile raczej chodzi o to, jak należy organizować od strony językowej przekaz kaznodziejski, katechetyczny, tak by był zrozumiały dla pokolenia, które wyrasta

w symbiozie z elektronicznymi technologiami komunikowania przywłaszczając sobie ich język, symbolikę i wszystkie cechy ich natury.

Wielu znawców tej problematyki, zwłaszcza z obszaru języka angielskiego, twierdzi np., że współczesna młodzież wychowywana w kontekście środków masowego komunikowania nie lubi interpretatorów lecz prezentatorów — jako typ osobowości, tzn. lubi ludzi, którzy żyją tym, co mówią. W dobie kultury słuchowej — akustycznej, twierdzą ci teoretycy, jej odbiorcy zostali tak uformowani, że nie przemawia do nich skostniała doktryna spisana w księgach, lecz doktryna ucieleśniona w człowieku. Stąd rośnie zapotrzebowanie na nowy typ autorytetu.

Cały szereg pytań, który niesie ze sobą rozwój nowych technologii komunikowania, ma charakter etyczny. Wzrost źródeł informacji, zwiększenie możliwości manipulowania ludzkim poznawaniem, zagrożenie prywatności, nierówny dostęp do informacji, wykorzystywanie ich niezgodnie z posiadaną naturą i celami, którym jako środki komunikowania mają służyć, to tylko niektóre z problemów.

Dlatego też szczególnie ważne jest takie ukształtowanie współczesnego człowieka, by umiał wybierać, by umiał i chciał być odpowiedzialny za siebie i za społeczeństwo. A więc podstawowym zadaniem Kościoła w dobie nowych technologii komunikowania jest takie formowanie ludzi, by byli zdolni do osobistej odpowiedzialności za wybory, których dokonują, by zawsze mieli dobro osoby ludzkiej na względzie.

Ks. Jan CHRAPEK CSMA

Przy opracowaniu wykorzystano:

1. ENRICO BARAGLI, *Informatica e pastorale*, „La civiltà cattolica”.
2. HEROLD INNIS, *The Bias of Communication*, Toronto 1967.
3. WALTER ONG, *The Presens of the Word*, Chicago 1968.

Z Dokumentów Konferencji Episkopatu Polski

Z ŻYCIA KOŚCIOŁA W POLSCE

30.VIII—3.XI.1986

30 sierpnia — Ks. bp Kazimierz Majdański wygłosił w bazylice katedralnej św. Jakuba w Szczecinie, w szóstą rocznicę podpisania umów społecznych z 1980 r., kazanie, w którym powiedział m.in.: *...żyjmy po ludzku, po polsku i po Bożemu, rugując z naszego życia wszystko, co podcina korzenie życia i co niesie śmierć — w życiu każdego człowieka, każdej rodziny i całego narodu. Rozmawiamy z sobą wszyscy, cały naród, w poczuciu wspólnej odpowiedzialności, w poczuciu godności wszystkich, ze spokojem i rozumnie. W kościołach całej Polski, szczególnie na Wybrzeżu i Śląsku, odbyły się w kolejną rocznicę podpisanie umów i powstania „Solidarności” uroczyste Msze św. z udziałem robotników.*

Ks. bp Majdański poinformował jednocześnie, iż wystosował w imieniu wiernych diecezji zaproszenie do Ojca Świętego by odwiedził Szczecin w czasie trzeciej pielgrzymki do Polski.

5—6 września — pod przewodnictwem Józefa kard. Glempa, Prymasa Polski, obradowała w Tarnowie 215 Konferencja Plenarna Episkopatu Polski. Biskupi zebrali się w Tarnowie, by uczcić dwóchsetną rocznicę powstania tej diecezji. W opublikowanym po zakończeniu obrad komunikacie wyrażono żal, iż inicjatywa Fundacji Rolniczej nie została zrealizowana. Przede wszystkim jednak wyrażono nadzieję, iż na mocy nowej ustawy amnestyjnej wszyscy więźniowie polityczni zostaną zwolnieni, a następnie będą mieli możliwość włączenia się do życia kraju. *Aby jednak każdy obywatel mógł uczestniczyć w działalności społecznej i publicznej bez wyrzekania się swych słusznych przekonań, w zgodzie z nakazami sumienia, konieczne jest rzetelne respektowanie zagwarantowanych konstytucyjnie praw obywatelskich. Żadna jednostka ani żadna grupa społeczna nie powinny podlegać dyskryminacji w zakresie korzystania z tych praw z powodu*

wyznawanej wiary, światopoglądu i przekonań ideowych. Oznacza to, że każdy powinien mieć możliwość zajmowania stanowisk publicznych i awansu zawodowego według rzeczywistych kwalifikacji, stosownie do rzetelności i efektywności własnej pracy. Państwo jest dobrem wspólnym. Zakłada to powszechne obowiązki i powszechne prawa każdego obywatela. Konieczne jest także stworzenie rzeczywistej możliwości korzystania z konstytucyjnego prawa do zrzeszania się, bez warunkowania tego zależnością od partii politycznych. Brak takich możliwości powoduje zubożenie życia publicznego.

6 września — biskupi zebrani w Tarnowie wystosowali słowo pasterskie o chrześcijańskim kształtowaniu opinii publicznej, na Dzień Środków Społecznego Przekazu, obchodzony 21 września. Biskupi sprzeciwili się w swym słowie m.in. szerzeniu w państwowych środkach przekazu „materialistycznej wizji człowieka i społeczeństwa”. Dzieje się to w kraju katolickim, wbrew woli wiernych, a za ich pieniądze.

10 września — Prymas Polski przyjął posła na sejm PRL, profesora KUL Ryszarda Bendera i wysłuchał relacji o jego pracach publiczno-społecznych.

15 września — Biuro Prasowe Episkopatu Polski opublikowało oświadczenie, w którym stwierdza się, iż Episkopat Polski przyjął z zadowoleniem informację o zwolnieniu więźniów politycznych. Wyrażono nadzieję, iż otwiera to okres, w którym ludzie o innych światopoglądach będą mogli w pełni działać dla dobra Ojczyzny.

10—14 września — w Aachen (RFN) odbyły się 89 Dni Katolickie. Uczestniczyła w nich delegacja Episkopatu Polski: kard. Franciszek Macharski, bp. bp. Kazimierz Majdański i Alfons Nossol oraz grupa dziennikarzy z prasy katolickiej w Polsce.

16 września — abp Bronisław Dąbrowski, bp Jerzy Dąbrowski oraz ks. dr Edward Sobieraj spotkali się w Sekretariacie Episkopatu Polski z przebywającą w Polsce delegacją urzędów do spraw wyznań Chińskiej Republiki Ludowej. Celem przybycia delegacji było zapoznanie się z sytuacją Kościoła w Polsce oraz poinformowanie o sytuacji Kościoła w ChRL.

23 września — obradowała w Warszawie Komisja Wspólna przedstawicieli rządu i Episkopatu. Było to już 35 jej spotkanie. Z komunikatu: *Omówiono możliwości i nowe prawno-instytucjonalne formy działalności publicznej i społecznej dla dobra narodu, grup społecznych, zwłaszcza kierujących się światopoglądem katolickim.*

26 września — zakończyło się w Częstochowie seminarium dla dziennikarzy katolickich, przebiegające pod hasłem: teologia Kościoła i Eucharystii. Wzięło w nim udział 35 dziennikarzy z 22 pism katolickich w Polsce. Druga część spotkania miała miejsce w Rzymie (hasło: Stolica Święta w działaniu), gdzie dziennikarze z Polski uczestniczyli w spotkaniu z Ojcem Świętym, informując go m.in. o pragnieniu powołania katolickiego stowarzyszenia dziennikarskiego. Organizatorem seminarium było Biuro Prasowe Episkopatu Polski, Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie oraz Komisja Episkopatu Polski ds. Środków Społecznego Przekazu.

26 września — Prymas Polski przyjął w swej rezydencji przedstawicieli Duszpasterstwa Rodzin: *Myszę, że to, co robi wasz zespół w obronie rodziny, w obronie życia i w trosce o właściwy poziom moralny, jest absolutnie priorytetowe, na pierwszej linii działania Kościoła...*

2—4 października — w Warszawie odbyło się posiedzenie Rady Konferencji Episkopatów Europy. Wzięło w nim udział 21 przedstawicieli z całej Europy. Biskupi przybyli na zaproszenie przewodniczącego Rady, ks. kard. Basila Hume'a, a podejmowani byli przez Prymasa Polski. Dyskutowano na temat różnych form działalności Kościoła katolickiego w Europie. Wiele uwagi poświęcono sprawom ekumenizmu — wyrażając zadowolenie ze współpracy z Konferencją Kościołów Europejskich. Poruszono sprawy dotyczące ewangelizacji Europy. Dyskutowano też sprawę spotkania wszystkich przewodniczących Konferencji Episkopatów kontynentu europejskiego, które będzie miało miejsce 7 i 8 marca 1987 r. we Frankfurcie (RFN).

4 października — Ojciec święty podniósł do godności biskupiej ks. Józefa Michalika z Łomży, rektora Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie i kierownika sekcji ds. młodzieży przy Papieskiej Radzie dla Świeckich, ustanawiając go Ordynariuszem w Gorzowie.

7 października — Prymas Polski Józef kard. Glemp, w towarzystwie bpa Szczepana Wesołego, delegata do spraw Duszpasterstwa Emigracji i bpa Jerzego Dąbrowskiego, zastępcy Sekretarza Episkopatu Polski — udał się z dziesięciodniową podróżą duszpasterską do Kanady. Przebywając w Ottawie wziął udział w plenarnej sesji Konferencji Katolickich Biskupów Kanady. Odwiedził także polskie placówki duszpasterskie w Ottawie, Hamilton, Brantfort, Mississauga, Toronto, Edmonton, Calgary, Vancouver i Montrealu. Była to jedna z ważniejszych podróży duszpasterskich Prymasa Polski do środowisk emigracyjnych w świecie — po podobnych do USA, Ameryki Południowej, W. Brytanii, Francji. Bp Jerzy Dąbrowski w wywiadzie

udzielonym po niej „Tygodnikowi Powszechnemu” określił ją jako ważny moment podtrzymania więzi Polonii z Kościołem i krajem.

7 października — rzecznik rządu PRL Jerzy Urban, na konferencji prasowej w Warszawie odpowiadał na pytanie o stosunek władz komunistycznych do problemu stowarzyszania się ludzi: *Zależy to od konkretnych inicjatyw oraz od charakteru i programu takich ewentualnych grup (...). W miarę jak takie inicjatywy się pojawią w formie skrytalizowanej, istnieje droga do ich urzeczywistnienia.* Ale już 22 października Z. Morawski na łamach „Życia Warszawy” udowodnił, iż cały istniejący dotychczas system ciał i instytucji w PRL jest wystarczający dla pełnego udziału obywateli w życiu publicznym, a cenzura zakwestionowała w prasie katolickiej wypowiedź dyrektora Biura Prasowego Episkopatu ks. A. Orszulika na temat prawa katolików do stowarzyszania się. Ta ostatnia wypowiedź ukazała się w nr 41 „Pisma Okólnego Biura Prasowego”. W dalszym ciągu zatem jest niejasne: mamy czy nie mamy prawa...

W październiku — odbywały się w Polsce uroczyste inauguracje roku akademickiego także w uczelniach katolickich, m.in. w KUL, papieskich fakultetach teologicznych, Wyższym Seminarium Duchownym Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej w Poznaniu, Wyższym Seminarium Duchownym Księży Pallotynów w Ołtarzewie.

19 października — *W dzisiejszą niedzielę szczególną pamięcią modlitewną obejmujemy wszystkich misjonujących na całym ziemskim obszarze* — powiedział w czasie Mszy św. radiowej ks. bp Edmund Piszcz, przewodniczący Komisji Episkopatu ds Misji z okazji Światowego dnia Misji. Zaaapelował o wsparcie działalności misjonarzy.

20 października — Prymas Polski mianował ks. dr Stanisława Kura, rektora Seminarium Metropolitalnego w Warszawie, delegatem narodowym do spraw 44 Kongresu Eucharystycznego, który odbędzie się w roku 1989 w Seulu (Korea).

21 października — w Warszawie odbyła się pod przewodnictwem ks. kard. Józefa Glempa 216 Konferencja Biskupów Diecezjalnych. Wysłuchano informacji z przebiegu podróży Ojca Świętego do Francji, Prymasa Polski do Kanady, przebiegu obrad Konferencji Biskupów Europejskich w Warszawie oraz Papieskiej Rady Rodziny w Rzymie. Wezwano wiernych w Polsce do wspólnych z Papieżem modlitw o pokój w dniu 27 października. Omawiano także sprawę trzeciej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w czerwcu roku 1987.

W Komańczy odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika

Stefana Kard. Wyszyńskiego, w trzydziestą rocznicę zakończenia jego internowania w tej miejscowości. Pomnik, dłuta A. Kossa z ASP w Warszawie, odsłonięto w obecności Prymasa Polski, bpa S. Moskwy z Przemyśla, wicegenerała OO. Paulinów z Częstochowy oraz prowincjała Księży Saletynów z Dębowca.

Jerzy Urban na konferencji prasowej w związku z przygotowaniem do powołania tzw. Rady Konsultacyjnej przy Radzie Państwa PRL ogłosił, iż „środowiska, grupy i osoby”, do których „polityka otwarcia” jest adresowana — powinny ją wzmocnić, inaczej może dojść do ochłodzenia. Wymienieni powinni najpierw przystąpić do „uczestniczenia w procesie wypracowywania polityki”, a potem dyskutować co dalej. W podobnym duchu wystąpił na łamach „Polityki” D. Passent. Wcześniej rzecznik rządu PRL dementował, iż nie chodzi tu o powołanie żadnej komisji „katolicko-rządowej”.

26 października — w Polsce modlono się w intencji budowy kościołów. Z tej okazji zarówno Prymas Polski jak i biskupi diecezjalni wystosowali do wiernych listy informujące o stanie i trudnościach budownictwa kościelnego i sakralnego. Prymas podał do wiadomości, iż na terenie osiedla Marymont-Ruda w Warszawie, gdzie wierni starają się o budowę kościoła i czynny był kościół prowizoryczny — doszło do... kradzieży krzyża, ołtarza i ławek, a sprawcy nie zostali wykryci. W Białymstoku od 1984 r. władze nie wydają decyzji na lokalizację domu księży emerytów, mimo iż budowa ta była już wówczas ujęta w planie inwestycyjnym. Podobnie bezskuteczne są wnioski składane władzom w wielu województwach. W ostatnich latach — co też podkreślono — udało się w Polsce częściowo nadrobić kilkudziesięcioletnie zaległości, ale jeżeli nastąpi nowa blokada budów, powstaną nowe.

W październiku — „Niedziela”, tygodnik diecezji częstochowskiej, wygrała w Naczelnym Sądzie Administracyjnym sprawę z Głównym Urzędem Cei o zatrzymanie jednego numeru zachodnioniemieckiego pisma „Sonntagsblatt” (zawierał on jakoby treści wrogie ustrojowi i krajom sojusznicznym). Wyrok opublikowano na łamach pisma...

„Żołnierz Wolności” i „Trybuna Ludu” nazwały „Przegląd Katolicki” pismem reprezentującym „poglądy Stowarzyszenia Paktu Atlantyckiego”.

27 października — zmarł w Warszawie bp Jerzy Modzelewski.

1 listopada — w całym kraju ochodzono Święto Zmarłych. Ze szczególną powagą odwiedzano groby i miejsca zapisane w naszej historii.

3 listopada — do Rzymu udał się Prymas Polski, w towarzystwie kierownika Sekretariatu Prymasa, ks. dra Andrzeja Dziuby. Ksiądz Kardynał przyjęty został przez Ojca Świętego na prywatnej audiencji, w czasie której omawiano sprawę Kościoła w Polsce, a szczególnie plany podróży Jana Pawła II do Ojczyzny.

W wydawnictwie EDITIONS DU DIALOGUE w Paryżu
ukazało się specjalne, luksusowe wydanie
KSIĘGI APOKALIPSY

w tłumaczeniu Czesława MIŁOSZA.

Księga zawiera 16 kolorowych reprodukcji
obrazów Jana LEBENSTEINA,
specjalnie do niej wykonanych.

Format duży, albumowy, oprawa twarda, imitacja skóry.
Nakład ograniczony, egzemplarze numerowane.

Cena egzemplarza wraz z przesyłką 1 000F F (lub równo-
wartość w innej walucie).

Zamówienia prosimy przysyłać na adres:

EDITIONS DU DIALOGUE

25, rue Surcouf

75007 - PARIS, France.

Książki

Dariusz Winkler

„NIE MOŻNA O TYM SPOKOJNIE MÓWIĆ”*

Śledząc ostatnie wydarzenia w Austrii obserwujemy wzmożone wysiłki nad wyjaśnieniem złego okresu historii tego kraju, który upłynął pod znakiem nazizmu i antysemityzmu.

Trudno zaprzeczyć opiniom, że dotychczasowe nastawienie Austriaków do wspomnianego okresu ich historii wolne było od głębszych refleksji. Austria to kraj, który został oficjalnie uznany za ofiarę agresji Niemiec hitlerowskich. Fakt ten wywołując określone wyobrażenia związane z okupacją hitlerowską, z cierpieniem podbitych narodów, prowadził z jednej strony do obciążenia narodu niemieckiego całkowitą odpowiedzialnością za wszystko, co się wydarzyło, z drugiej strony zwalniał z niej Austrię.

Sytuacja ta ulega jednak gwałtownej zmianie. Obserwowane obecnie wysiłki, mające na celu okazanie i wyjaśnienie „zapomnianych” wydarzeń, stanowią jakby próbę nadrobienia straconego czasu.

Przypadek, czy też zbieg okoliczności spowodował, że w tym samym roku 1986, w którym doszło do poważnych wydarzeń, wywołujących potrzebę refleksji o przeszłości, ukazała się bardzo interesująca książka Hansa Weigela pt.: *Man kann nicht ruhig darüber reden*, wydana nakładem wydawnictwa „Styria”.

Hans Weigel, obywatel austriacki pochodzenia żydowskiego, pisze siedemnaście listów do nieistniejącego przyjaciela, dzieląc się z nim swoimi rozważaniami, dotyczącymi kwestii związanych z faszyzmem i antysemityzmem. Każdy list to jakby oddzielny obraz życia, doświadczeń i refleksji autora. Weigel jest krytyczny w stosunku do siebie, do narodu żydowskiego, krytyczny do obecnie

* HANS WEIGEL, *Man kann nicht ruhig darüber reden*, Verlag Styria, 1986.

panujących mitów i uprzedzeń. Pozwala mu to na zupełnie inne spojrzenie, spojrzenie wolne od *«jüdische» Totalitätsanspruch in der Seele* (żydowskie prawo wyłączności w duszy). Autor, objaśniając wspomniane „prawo”, przytacza kilka epizodów z czasów swojej młodości. Jest wśród nich związane pytanie, dotyczące nowo poznanej osoby, czy jest pochodzenia żydowskiego. Jest również cicha rezerwa, jeżeli ktoś ze znajomych był zaprzyjaźniony z chrześcijanką.

Man kann nicht ruhig darüber reden znaczy po polsku: „nie można o tym spokojnie mówić”. Weigel często stwierdza ten fakt w swoich listach do wyimaginowanego przyjaciela. Wyjątkowość tej książki polega jednak nie na prostym stwierdzeniu faktu, lecz na próbach jego wyjaśnienia.

Trudno jest mówić o faszyzmie, o związanym z nim nieodłącznie antysemityzmie, ponieważ od razu staje nam przed oczyma tragedia narodu żydowskiego w czasie drugiej wojny światowej. Czytając *Man kann nicht ruhig darüber reden* odnosi się wrażenie, że autor poddał się z własnej woli pewnemu wewnętrznemu rygorowi, który umożliwił mu inne ujęcie drażliwych problemów, wolne od starych i nowo powstałych uprzedzeń. Weigel podkreśla momenty, które, jego zdaniem, powodują, że spokojna i rzeczowa rozmowa o tych drażliwych sprawach staje się niemożliwa.

Autor zdaje się pytać: Dlaczego nie można o tym swobodnie rozmawiać? Czy jest to strach przed tym, ażeby nie zostać nazwanym antysemitą? Czy jest to parawan przywilejów, stworzony i ciągle tworzony na gruncie tragedii narodu żydowskiego i poczucia winy innych?

Gdybyśmy chcieli ustalić centralny punkt, charakterystyczną cechą wszystkich listów Weigla, sądzę że byłby nią występujący często wątek tzw. *Mischung aus Denkmalschutz und Narrenfreiheit*. Po polsku znaczy to mniej więcej tyle co: „krzyżówka ochrony zabytków i wolności błaznów”. Dokładne znaczenie wspomnianego wątku oddają własne refleksje autora z podróży do Stanów Zjednoczonych. Weigel relacjonuje w jednym z listów, że właściwie bez powodu zachowywał się szczególnie przyjaźnie wobec „czarnych” Amerykanów. Tylko dlatego, że byli czarni. W pewnym momencie przeraził się myśli, że również wobec niego może się ktoś zachowywać przyjaźnie, z tych samych powodów, a właściwie bez powodu, tak jak on wobec amerykańskich Murzynów. Dalej konkluduje autor, że on, owszem, lubi, jeżeli jest się wobec niego miłym, lecz z konkretnych, rzeczywistych przyczyn. Nie dlatego, że jest Żydem!

Wyżej omówiona charakterystyczna cecha listów Weigla, zawarta w idiomatycznym zwrocie, *Mischung aus Denkmalschutz und Narrenfreiheit*, zawiera również wiele innych aspektów, które autor wyodrębnia i dokładnie omawia. Sróbujmy przyjrzeć się niektórym z nich.

Analizując panoramę polityczną Austrii Weigel wyodrębnia pewne ugrupowanie, które określa jako *Interessengemeinschaft* (wspólnota interesów). Usiłując określić skład tego ugrupowania sugeruje, że czynnikiem decydującym o przynależności do niego nie jest „pochodzenie”, lecz wspólny „interes”. Weigel wspomina przy tym, że niektórych opinii się nie wyraża, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo podejrzenia o antysemityzm. Jakich to opinii nie można wyrażać, oddaje najlepiej następujące porównanie: „Jeżeli mnie (tzn. autorowi — D. W.) ktoś nadepnie na nogę, powiem «ty durniu». Jeżeli Kortnerowi (Fritz Kortner, aktor — D. W.) ktoś nadepnie na nogę, powie on «ty nazi»”. O czym mówi ten przykład? Czyżby o konflikcie interesów, w którym wykorzystuje się określenie „nazi” aby zdyskredytować konkurenta?

W ścisłym związku z wyżej przedstawionym problemem jest jeden, z tak licznie przytaczanych przez autora dowcipów. Otóż w jednym przedziale wagonu sypialnego jedzie Żyd i nie-Żyd. Żyd prosi nie-Żyda aby mu pożyczył mydło. Później prosi, go aby mu pożyczył krem do golenia, później pastę do zębów. Wreszcie prosi go o szczoteczkę do zębów. „Nie!” — krzyknął nie-Żyd — „to już za wiele” — „Pan jest antysemitą”, odpowiedział spokojnie Żyd.

„Antysemita”, „nazi”. Te dwa określenia stoją ze sobą w ścisłym związku. Trudno jest je od siebie oddzielić. Używane są jednak w różnych kontekstach znaczeniowych, niejednokrotnie bez pokrycia. Fakt ten stwierdza Weigel bardzo często.

W jednym z listów przytacza autor fragment przez siebie napisanej recenzji książki pani Henriette von Schirach, żony Baldura von Schirach, jednego z wyższych funkcjonariuszy hitlerowskich, przywódcy Hitlerjugend i gauleitera Wiednia. W recenzji tej Weigel podkreślił bezmyślność, z jaką stosuje się określenie „nazi” do wszystkich, którzy nie byli ofiarami Hitlera. Dotyczy to przede wszystkim Niemiec. Nie traci na znaczeniu również w Austrii. Istotę tego stwierdzenia oddaje doskonale pewne autentyczne zdarzenie z 1938 roku, które autor przedstawił w jednym z listów. Otóż pewna „rodzina żydowska” załatwiała w urzędzie finansowym dokumenty potrzebne do emigracji. Urzędnik zajmujący się sprawą pozwolił sobie na taki oto komentarz: „I jak tu nie zazdrościć! Państwo wyjeżdżacie, a my musimy tu zostać!”. I dalej zastanawiająca refleksja autora, że „wielu chętnie by wyjechało, a musieli pójść do Wehrmachtu”.

Jednym z następnych aspektów tzw. „krzyżówki ochrony zabytków i wolności błaznów” jest motyw szczególnej pozycji w państwie. Jest to również moment, który uniemożliwia spokojną rozmowę o tych sprawach. Weigel stwierdza, że dopiero tam można się swobodnie czuć, gdzie człowieka może być obrzucony wyzwiskami.

Nie jest to jednak takie łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka

wydawało. Istnieje dziwny mechanizm, powstrzymujący krytykę pod adresem Żyda. „Czy wolno Żydowi mieć złe cechy” — stawia pytanie Weigel. „Owszem, wolno mu je mieć, lecz nie mogą zostać wymienione” — odpowiada dalej. Dlaczego? Czyżby obawa, aby nie zostać nazwanym antysemitą?

Czytając *Man kann nicht ruhig darüber reden* odnosi się wrażenie, że autor ujmuje te problemy z dużym spokojem, świadomie wskazując te punkty, które stawiają sprawę na głowie. No bo czyż nie jest swego rodzaju skrajnością to, że krytykując politykę państwa Izrael można się narazić na wiele nieprzyjemnych epitetów? Czy też wyrażając niektóre opinie, kolidujące z bliżej nieokreślonym „interese”, być nazwanym „nazi”?

Tragedia, którą przeżył naród żydowski w okresie drugiej wojny światowej, to pierwszy w dziejach ludzkości przypadek planowego, metodycznie przeprowadzonego ludobójstwa. Fakt ten spowodował z pewnością, że tragedia ta została przedstawiona i przyjęta jako jedyny przypadek ludobójstwa w historii. Również pod tym względem Weigel jest obiektywny. Wspomina często, że najnowsze dzieje ludzkości notują również inne przypadki mordów dokonanych na ludach i narodach. Naród żydowski nie jest jedynym narodem, dotkniętym tragedią ludobójstwa. Autor wymienia tu Armeńczyków i Tatarów krymskich; ludy, które przeżyły wiele cierpień na skutek masowej eksterminacji. I ponownie zaskakuje nas jego refleksja. Na pytanie, dlaczego się o tym nie pamięta? — odpowiada: że Tatarzy nie mają wpływowego lobby w USA.

Man kann nicht ruhig darüber reden to fascynująca lektura, ukazująca zupełnie inne strony zdawałoby się dobrze znanych problemów. Autor traktując czytelnika jako swojego przyjaciela, dzieli się bardzo osobistymi przeżyciami. Odnosi się nawet wrażenie, że dzieje się to na pograniczu intymnej sfery jego życia, własnych, osobistych doświadczeń.

Wspomniałem wcześniej, że Weigel poddał się z własnej woli wewnętrznemu rygorowi, który umożliwił mu inne spojrzenie na te drażliwe problemy. Sądzę, że ten „zabieg” był tylko z tego powodu możliwy, ponieważ autor posiada odpowiedni dystans do tragicznej przeszłości, jak i niewesołej terażniejszości. A propos terażniejszości. Weigel odnosi się do niej ostrożnie, w pewnych momentach nawet podejrzliwie. Z jednej strony świadomy jest faktu, że jego rozważania mogą wywołać wiele radości po „niewłaściwej stronie”, u nazistów lub rzeczywistych antysemitów, z drugiej strony wie doskonale, jak zostaną one przyjęte przez „syjonistów”, „filosemitów” czy w ogóle Żydów. Przewidywania autora dotyczące reakcji społeczności żydowskiej na jego krytyczne uwagi łączą się z dowcipem. Otóż w pewnym miejscu Weigel stwierdza, że zawsze i wszędzie wszyscy są

winni, tylko nie Żydzi. Po czym następuje krótki komentarz: „Ale niech pan (pani) spróbuje to powiedzieć jednemu z nich”.

Dystans Weigela wobec omawianych przez niego problemów przejawia się więc nie tylko w fakcie, że jego podpis znajdował się pod petycją o zwolnienie Rudolfa Hessa, lecz również w tym, że autor z powodzeniem wznosił się ponad wszelkie bariery, powstałe na gruncie starych i nowych uprzedzeń. Wszystko to spowodowało, że Weigel odróżnia to, co ponadczasowe, od tego, co uległo dezaktualizacji. O tym właśnie traktuje powyższa książka, stanowiąc unikalną próbę „przewyciężenia przeszłości” przez naród, który tak wiele wycierpiał. Osoba autora i jego książka budzi podziw i szacunek.

Dariusz WINKLER
Wiedeń

Dialogi

Andrzej Micewski

IGNORANCJA LUB ZŁA WOLA?

W dodatku felietonowym „Süddeutsche Zeitung” z 31 października i 1—2 listopada 1986 r. ukazał się na całej kolumnie wielkiego formatu tej gazety artykuł Leonida Luksa o stosunku Kościoła i katolików polskich do Żydów. Autor jest prywatnym docentem na uniwersytecie w Bremie. Reprezentuje pogląd, że nie tylko przedwojenny katolicyzm polski, a nawet Kardynał Prymas August Hlond, lecz także współczesny katolicyzm w naszym kraju jest nacjonalistyczny i antysemicki. Jedyny wyjątek stanowi — według autora — grupa „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”. „Intelektualiści katoliccy — stwierdza w konkluzji docent Lusk — są w nowym nastawieniu do żydowskości względnie izolowani wśród ludności. Symboliczny gest pochodzącego z Polski papieża — jego odwiedziny w rzymskiej synagodze — powinien uwolnić ich z tej sytuacji”.

Sprawę okresu przedwojennego omówimy osobno w poważnym opracowaniu historycznym na łamach „Znaków Czasu”. Mniejszość żydowska liczyła wtedy w Polsce ponad dziesięć procent, a w niektórych miastach i osiedlach przekraczała pięćdziesiąt procent. Wynikało to z faktu, że około sześćdziesiąt pięć procent liczyła ludność wiejska. Antysemityzm w Polsce miał podłoże gospodarcze. Rasizmu w naszym kraju nie było. Ugrupowania narodowo-radykalne stanowiły margines społeczny, choć ich brutalność zwłaszcza na uniwersytetach, budzi do dziś głęboki smutek i potępienie. Nacjonalizm był przed wojną prądem wpływowym, co wynikało tak z roli ruchu narodowego w odzyskaniu niepodległości, jak i z faktu, że co trzeci obywatel kraju należał do różnych mniejszości narodowych. Polska nie umiała wtedy rozwiązać problemów mniejszościowych, choć kiedyś była państwem wielonarodowym, a Żydzi przez wieki szukali u nas schronienia.

Część ludzi wierzących, a także duchowieństwa była związana z orientacją narodową, choć katolicy należeli także do niemal wszystkich innych partii politycznych, z socjalistyczną włącznie. Przywódca narodowców Roman Dmowski wyrzekł się terminu „nacjonalizm”, by zjednać sobie katolików. Kościół zaniepokojony zaciętą walką ekonomiczną z Żydami, starał się przede wszystkim łagodzić jej formy. Podobnie postępował antynacjonalistyczny, przedwojenny rząd piłsudczyków. Nie myślimy niczego usprawiedliwiać, będziemy jednak zmuszeni przedstawić na naszych łamach w poważnym opracowaniu naukowym całą złożoność ówczesnej sytuacji społeczno-historycznej. Dodam, że w czasie wojny wielu ludzi z obozu narodowego pomagało ludności żydowskiej, a bardzo wielu działaczy tego ruchu zginęło w hitlerowskich obozach i więzieniach. Opracowanie historyczne, które planujemy, musi uwzględnić także sprowokowany zaraz po wojnie pogrom Żydów w Kielcach.

Zarzut nacjonalizmu i antysemityzmu wobec współczesnego Kościoła w Polsce jest przejawem ignorancji lub złej woli. Autor artykułu nie wie (?), że wizyta Ojca Świętego w synagodze rzymskiej miała swoje odpowiedniki w Polsce. Kardynał Prymas Józef Glemp celebrował Mszę św. w warszawskim getcie w rocznicą tragicznego powstania ludności żydowskiej z kwietnia 1943 roku. W Pieniężnie u Ojców Werbistów odbywają się nadzwyczaj interesujące judaistyczno-katolickie sympozja teologiczne. Powszechnie obserwuje się zbliżanie intelektualistów, także pochodzenia żydowskiego, do Kościoła, uczestniczenie w tygodniach kultury chrześcijańskiej i imprezach artystycznych. Pewna ilość Polaków pochodzenia żydowskiego nawróciła się, została ochrzczona i stanowi po prostu część wspólnoty katolickiej w Polsce. Już w czasie wojny w zakonach znalazło schronienie wiele dziewcząt żydowskich, niektóre z nich zostały zakonniami. Iluż Żydów kryło się po parafiach, zakonach, a nawet w świątyniach. Autor artykułu w „Süddeutsche Zeitung” próbuje dzielić Hierarchię kościelną i środowisko „Tygodnika Powszechnego”. Któż bronił tego środowiska w okresie stalinowskim, jak nie Kardynał Wyszyński. „Tygodnik” został zamknięty w tym samym 1953 roku, w którym Kardynał poszedł do więzienia. Jak niepoważne są symplifikacje Luksa, świadczy fakt, że przez ostatnie kilka lat byłem jednocześnie radcą społecznym Prymasa Polski i członkiem redakcji „Tygodnika Powszechnego”.

Leonid Luks został zainspirowany i zdezinformowany przez pewne koło Kościołowi nieżyczliwe. Świadczą o tym trzeciorzędne szczegóły, o których jest nieściśle poinformowany, „nie znając” zasadniczych spraw z życia naszego Kościoła, które w skrócie przytoczyłem. Dowodzi więc, że Janusz Zabłocki napisał, za wiedzą wysokiego autorytetu kościelnego, artykuł krytykujący słynną interpelację posłów ZNAK-u, z 1968 roku, przeciw brutalnej akcji milicji

wobec studentów. Zabłocki był jednym z pięciu posłów, którzy podpisali interpelację i nigdy swego podpisu nie cofnął. Później rzeczywiście napisał artykuł, przekonując mnie do wspólnego podpisania, ale tekst ten nie stanowił krytyki interpelacji, lecz błędnego jej odczytania przez jeden z dzienników zachodnich. Minister do Spraw Wyznań oświadczył Zabłockiemu, że wspomniany artykuł nie zostanie puszczony przez cenzurę. Tekst zawierał jednoznaczne potępienie antysemityzmu. Odcinał się natomiast od walki grup partyjnych, która skończyła się krwawymi wydarzeniami na polskim Wybrzeżu w 1970 roku i zmianą ekipy rządzącej. Społeczeństwo wpłynęło na tę zmianę po raz drugi, lecz nie ostatni w powojennej Polsce.

Leonid Luks usiłuje być wiarygodny i odciął się od antypolskich fragmentów głośnego filmu Lanzmanna o zagładzie Żydów. Treść, choć z pewnością nie zasięg, artykułu Luksa jest jednak bardziej szkodliwa niż sceny ze wspomnianego filmu. Lanzmann znieślił kilku wyglądających gamoniowato, niewyrobionych ludzi z prowincji, relacjonujących na swój prosty sposób, ze szczerością i nie bez współczucia dla Żydów, okropieństwa okupacyjne, których byli świadkami. Leonid Luks i jego inspiratorzy uderzają zaś w największy autorytet moralny, jaki mają Polacy, w Kościół katolicki. Autor zapytuje, czy tej wielkiej moralnej sile, jaką stanowi Kościół, udało się przewyciężyć przedwojenne antyżydowskie uprzedzenia i resentymenty. Jego odpowiedź brzmi, że nie udało się. Fakty świadczą, że przygniatająca większość Polaków, zwłaszcza ludzi wierzących, jest wolna od antysemityzmu. Nie stało się to bez wpływu Kościoła, uważającego każdego człowieka za wartość na tym świecie najwyższą. Przejawy antysemityzmu pojawiły się w ruchu ideowym Kościołowi przeciwnym i napotkały dezaprobatę społeczeństwa.

Leonid Luks pisze, że komunizm i stalinizm w Polsce był dziełem samych Żydów. Z pewnością, był przede wszystkim wynikiem rezultatów II wojny światowej. Żydzi padli później ofiarą, jak już nie raz było w historii, walki o władzę. Ich tragedią, którą relacjonowali pisarze polscy, m.in. Stefan Kisielewski czy Kazimierz Brandys, był fakt, że jako mniejszość narodowa byli w okresie stalinowskim najbardziej widoczni i liczni w górze rządowej i administracyjnej. Zapłacili za to wysoką cenę, najczęściej zresztą ci, którzy byli niewinni.

Kościół nie zapomina o wspólnej z całym społeczeństwem polskim martyrologii wojennej Żydów. Otwiera drzwi świątyń także dla tych, którzy poszukują w Kościołach tylko wolności kultury i pociechy moralnej. Pomniki kultury żydowskiej są otoczone spontaniczną opieką ludności katolickiej. Prasa katolicka jest otwarta dla ludzi niewierzących, także pochodzenia żydowskiego. Kościół potępił wydarzenia roku 1968. W polskiej opinii niezależnej od dawna nie

słysząc już głosów niechętnych mniejszościom. Jest akurat przeciwnie. I nie jest to tylko sprawą jednego środowiska, lecz nastawieniem całego Kościoła. To nastawienie ma wielkie znaczenie dla świadomości społeczeństwa, bo Kościół jest w jego oczach strażnikiem polskiej tożsamości narodowej. Żaden chrześcijanin nie może rozumieć jej w duchu nieprzyjaznym dla mniejszości. Chrystus bowiem kierował swą naukę do wszystkich ludów, narodów, ras i kultur.

Andrzej MICEWSKI

SPIS TREŚCI

Ks. Bp Władysław MIZIOŁEK, W oczekiwaniu na II Krajowy Kongres Eucharystyczny w Polsce	5
Ks. Bp Marian PRZYKUCKI, Inicjatywy duszpasterskie Kościoła na rzecz rodziny	20
Maria J. RADOMSKA, Kilka uwag o szkolnictwie wyższym	39
Małgorzata CIESIELCZYK, Marksizm a teologia wyzwolenia	47
Z LITERATURY CZASÓW DZISIEJSZYCH	
Juliusz ŻUŁAWSKI, Przydługa teraźniejszość	56
DIAGNOZY GOSPODARCZE	
Stefan KUROWSKI, Reforma gospodarcza w PRL a katolicka nauka społeczna	69
Tomasz GRUSZECKI, Rafał KRAWCZYK, Prywatyzacja gospodarki polskiej — przypadek czy wzorzec	76
Wojciech ROMANOWSKI, Rozwój gospodarczy PRL w świetle teorii Janosa Kornaia	96
Raport o stanie wsi i rolnictwa	112
Jan KRÓL, Dylematy polskiej gospodarki	124
HISTORIA NAJNOWSZA	
Stefan Kardynał WYSZYŃSKI, „Pro memoria”, Rok 1952 (IV)	131
GŁOSY REDAKTORÓW PRASY KATOLICKIEJ W KRAJU	
Ks. Stanisław TKOCZ, Cele i zadania prasy katolickiej w Polsce	155
Wojciech WIECZOREK, Od „Kościoła frontowego” do „Kościoła dialogu”?	163
Ks. Jan CHRAPEK, Współczesne technologie komunikowania nowym wyzwaniem dla Kościoła	176
Z DOKUMENTÓW KONFERENCJI EPISKOPATU POLSKI	
Z życia Kościoła w Polsce	184
KSIĄŻKI	
Dariusz WINKLER, „Nie można o tym spokojnie mówić”	190
DIALOGI	
Andrzej MICEWSKI, Ignorancja lub zła wola?	195
	199

197	Andrzej MICZEWSKI, Ignorancja lub nie wola?
190	Dialogi
184	Życie Kościoła w Polsce
176	Z DOKUMENTÓW KONFERENCJI EPISKOPATU POLSKI
163	Ks. Jan CHRAPAK, Współczesne technologie komunikacji w Kościele
152	Wojciech WIECZOREK, „Ob Kościele frontowego” do „Kościoła dialogu”
134	Ks. Stanisław TKOCC, Ciele i zadania pracy katolickiej w Kraju
112	Rok 1952 (IV)
96	„Pro memoria”
80	HISTORIA NAJNOWSZA
76	Jan KRÓL, Dylematy polskiej gospodarki
69	Wojciech ROMANOWSKI, Rozwój gospodarczy PRL w świetle teorii Janosa Komara
56	Wojciech GRUSZECKI, Rafał KRAWCZYK, Piętyście lat gospodarki nauk społecznych
47	Stefan KUROWSKI, Reforma gospodarstwa w PRL a ka-
39	DIAGNOZY GOSPODARSTWA
30	Juliusz ŻUFAWSKI, Przybliżona techniczność
2	Z LITERATURY CZASÓW DZISIEJSZYCH
47	Małgorzata CIEŚLICKA, Markszm i teologia wywo-
39	Mała J. RADOMSKA, Kilka uwag o szkolnictwie wyższym
20	Kościół na terytorium
2	Krajowy Kongres Eucharystyczny w Polsce
2	Ks. Bp Władysław MIZIOLEK, Wskazywanie

IMPRIME EN FRANCE

sur les presses de l'Imprimerie de Busagny
2, rue des Pâtes, 95520 Osny

